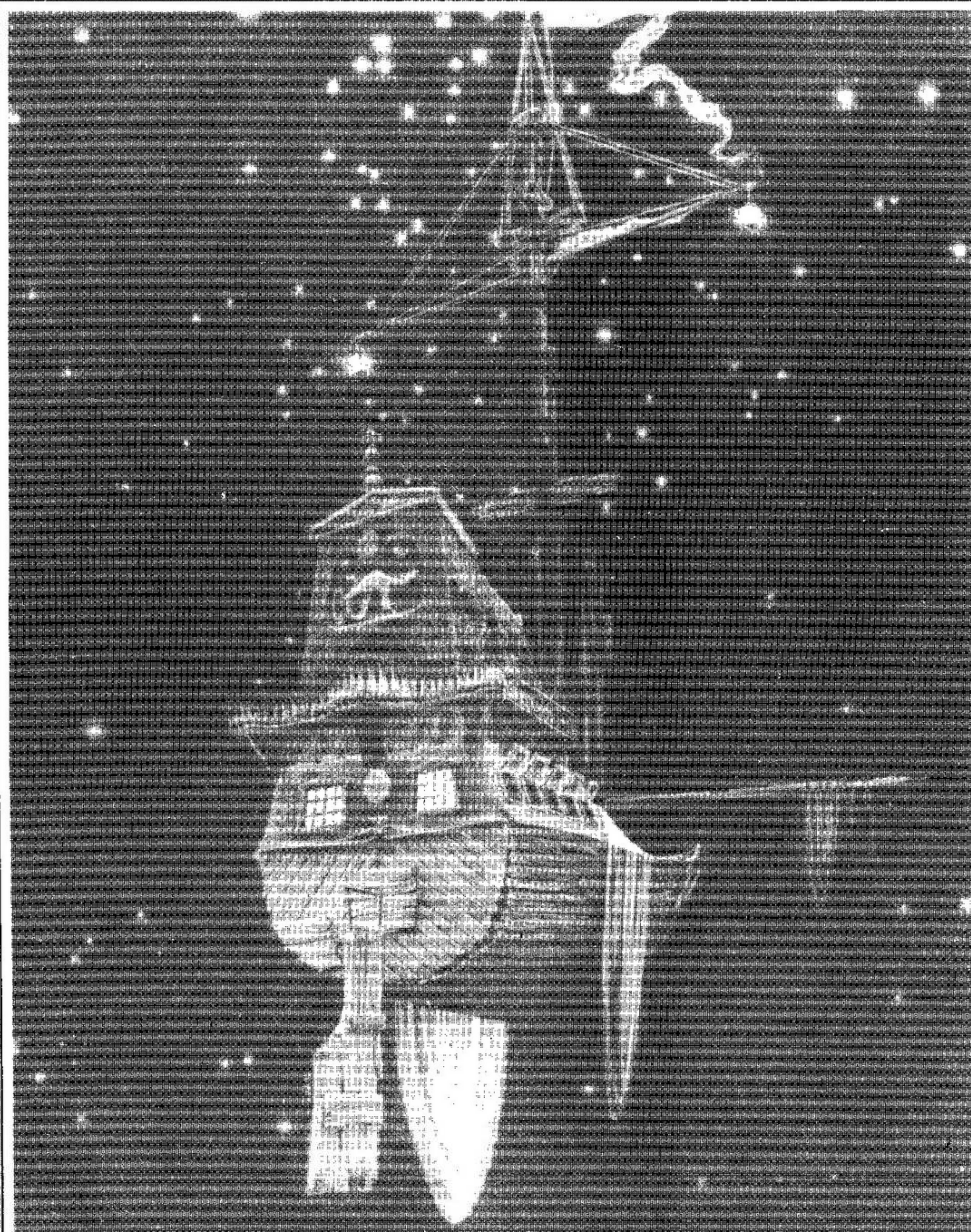
MIESIĘCZNIK
Fantastyka
12(87) GRUDZIEŃ 1989 CENA 3900 ZŁ
PL ISSN 0209-1631
NR INDEKSU 35839



Sondaż V — wyniki!

Dariusz CHOJNACKI



Janusz Kuśmierczyk

W szelkiej pomyślności
z okazji Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku
życzy zespół redakcyjny

„Fantastyki"



4

„Spodziewajcie się niezwykłych wydarzeń" – przedstawiamy Państwu młodego radzieckiego fantastę z Nowosybirska, Aleksandra Bacziłę, którego utwór nosi ten wiele obiecujący tytuł.

...3...2...1...



W fantastyce światowej, i to jest jedna z rzeczy w niej najbardziej zadziwiających, brakuje ogromnie elementów walki o nieśmiertelność. Chodzi mi tutaj nie o wieczne istnienie ludzkości, lecz o nieśmiertelność jednostek.

A przecież od najdawniejszych czasów ten motyw aktywizacji człowieczej odgrywa, jeśli nie główną, to w każdym razie jedną z głównych ról. Przepaja mitologie i religie starożytne, staje się motorem rozwoju medycyny dawnej i współczesnej. Tymczasem zarówno science fiction, jak i najnowsze kierunki tego gatunku, chociaż często przetykane paranauką, nawet mistycyzmem, nie bardzo się dążeniami do nieśmiertelności interesują. A kiedy już – to w innym sensie niż... prawie cała ludzkość. Tkwi więc jakaś zasadnicza sprzeczność w samej istocie fantastyki, jakaś zadra, która nie pozwala na twórcze szarże na pozycje tak wymarzone przez każdą jednostkę. Pisząc swe „Jeszcze trochę pożyć" przeciwstawiałem dwa światy tej powieści – jeden ludzki, pełen cierpiętnictwa, chorób, zawsze śmiertelny, drugiemu nigdy nie ginącemu – światkowi mizrakich, istot wyhodowanych przez ludzkie marzenia o wieczności i o istotach idealnych, niemal boskich, a może wprost boskich. I oto ten drugi, nieśmiertelny światek mojej książki marzy o... czyśćcu człowieczej egzystencji i o krótkości człowieczego życia. No cóż, to co idealne i z daleka wielkie i wspaniałe – w przybliżeniu, w praktyce, staje się potworne i nie do zniesienia. Idealne wytwory ludzkiej wynalazczości i marzeń pełnią w mojej książce role wręcz szatańskie. Jednakże bez drastycznej próby zwyczajnej człowieczej egzystencji i nie może być dostępu do boskości ani wieczności.

A tymczasem na znakomicie zorganizowanym, we wrześniu 1989 roku, w którym ten felieton piszę – jubileuszowym zjeździe chirurgów w Krakowie, angażującym w problemy przedłużania życia i dążenia do nieśmiertelności nie tylko 4 tysiące uczestników i całe niemal to piękne, starożytne miasto, lecz także największe sławy medycyny światowej, odsłonięto i uwypuklono bogactwo i nędzę tych zagadnień.

W kilkudziesięciu salach czołowe fabryki narzędzi chirurgicznych, aparatury diagnostycznej, elektroniki badawczej i leczniczej kłuły w oczy swymi przecudnymi i genialnymi cudami – cudeńkami. „Tłucze się i miota serce, jakby poranione zwierzę i od niego wprost zależy całe moje człowieczeństwo. Przez rentgeny prześwietlanie, zasypianie i budzenie, pigułkami ratowanie, nożem mięsa pokrajanie, jakież to wszystko kuchenne".

Ta nieodparta refleksja ciśnie się na usta, kiedy się to wszystko obejrzało. Ale nie tylko ona. Człowiekowi dotąd w gruncie rzeczy nie udało się dokładnie powtórzyć, naśladować żadnego procesu organicznego. Niezwykłe rozwiązania natury pilnie strzegą tajemnicy technologicznej. Nie ma na świecie sztucznego węchu lepszego od naturalnego, jakim np. dysponują psy, nie do powtórzenia okazała się też oryginalność takich tkanek jak skóra, i takich procesów jak obronność organizmu. Nasze ludzkie metody i materiały to tylko nędzne surogaty natury, bardzo, bardzo od niej dalekie i bardzo niedoskonałe, bardzo mechanistyczne, nawet w swym elektronicznym wykonaniu czy wykończeniu.

W tym kontekście – o czym zresztą mówiono i co pokazywano na krakowskim zjeździe – a były na nim hity światowe, wiadomo że stawiamy dopiero pierwsze kroki w swym upartym trendzie na nieśmiertelność. Jednocześnie widać ten ogromny wysiłek, który towarzyszy temu trendowi. Chirurg współczesny uczy się odbudowywania organizmu ludzkiego i ta odbudowa choć pierwotna, choć na kruchych podstawach teoretycznych oparta – już się częściowo udaje. Coraz więcej sztucznych części zamiennych służy dobrze przedłużaniu ludzkiego istnienia. Nie zbudowała ich natura, człowiek nie rodzi się z częściami do zamiany, tworzy je chirurgia i pokrewne jej dyscypliny, nie tylko medyczne. Można mówić dziś o wielkim dziale techniki, produkującym nowatorskie gadgety dla spełnienia marzeń człowieczych o wieczności. Nie powiem, żeby ta wieczność była tuż, tuż. Ale dzięki rozwojowi współczesnej medycyny na pewno wiele istot, które jeszcze niedawno skazane byłyby na śmierć żyje nadal, nawet może brać udział w twórczej pracy, działać normalnie, jak inni, ci którym zdrowie dopisało.

Oczywiście stwarza się problemy często wręcz drastyczne. Nie każdy bowiem może być leczony najnowszymi metodami, bo są kosztowne, więc tylko dla wybranych, na razie. Istnieje także sprawa handlu sercami, nerkami, wątrobami i innymi materiałami przeszczepowymi, a nie zawsze bywa to handel wykonywany z czystym sumieniem. W handlu, jak wiadomo, sumienie odgrywa w ogóle poślednią raczej rolę. Poza tym nowoczesna medycyna oferuje życie nie tylko tym, których natura wyposażyła w siłę fizyczną i intelektualną, lecz przede wszystkim słabszym. Takim, których za niemowlęctwa starożytni (Spartanie) zrzucali ze skały tarpejskiej.

Niemniej jednak jest to jedyna droga, pełna niebezpieczeństw, pełna bocznych ścieżek, pełna wątpliwości moralnych, ale jedyny szlak (jedyne meandry – powiedziałbym) w dążeniach ku nieśmiertelności. Na tym szlaku pionierami również byli nasi rodacy. Wspomnę tutaj chociażby profesora chirurgii, słynnego Ludwika Rydygiera, który jako pierwszy wykonał operację odźwiernika z powodu wrzodu żołądka i jako drugi na świecie operował żołądek – zrakowaciały. Odwagę trzeba wówczas było mieć szaloną żeby takie zabiegi przeprowadzić. On ją miał. Był także patriotą, jako profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie i Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, brał udział w walkach o wolność i niepodległość, a były to właśnie czasy wykuwania wolności po 1918 roku oraz trudnych zmagań z Armią Czerwoną w roku 1920.

Patriotę i nowatora, profesora Ludwika Rydygiera, pochowano na Cmentarzu Obrońców Lwowa, słynnym cmentarzu Orląt, który zdewastowany został za czasów breżniewowskich okrutnie i teraz dopiero ma pewne szanse odrodzenia. Napisano tam na wielkim łuku mauzoleum o tych co spoczywają pod nim „umarli, abyśmy wolni żyli". Rydygier także walczył o wolność a była to walka w sensie ogólnoludzkim, walka o wolność i o nieśmiertelność.

10-9-8-7-6-5-4-3-2-1-0

Adam Hollanek

MIESIĘCZNIK LITERACKI
Fantastyka
Adres redakcji:
00-640 WARSZAWA
ul. Mokotowska 5/6
Telefony: 25-34-75 (red. nacz., sekretariat, działy: techn., graf.), 25-50-51 (sekretariat, działy: zagr., literatury polskiej), 25-59-48 (z-cy red. nacz., dział krytyki).

Redaktor naczelny: Adam Hollanek.
Zespół redakcyjny: Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Anna Gładka, Lech Jęczmyk (kier. działu zagr.), Sławomir Kędzierski (z-ca sekr. red.), Zbigniew Lalala (fotoreporter), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Dorota Malinowska, Andrzej Niewiadowski (z-ca red. nacz.), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nacz.), Hanna Sosińska-Balcer, Krzysztof Szolginia (sekr. red.), Darosław J. Toruń, Rafał A. Ziemkiewicz (kier. działu publicystyki).
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Wydawca: Warszawskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Al. Jerozolimskie 125/127, 02-017 Warszawa, tel. centr. 28-52-31. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklamy Prasowej i Ogłoszeń, ul. Poznańska 38, 00-689 Warszawa, tel. 29-83-28, 28-86-41, fax: 28-61-36, telex: 814461, 814462, 814463, 814464 (redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń). Skład, druk i oprawa: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.
Nakład 167 000 egz. Zam. z. 3131/89

NR INDEKSU 35839 | PL ISSN 0209-1631 | | Oddano do składu 9 października 1989 r.

Lądowanie LXXXII

***Dopiero od kilku miesięcy** czytam Wasze pismo. Uważam, że jest to coś wspaniałego, coś co pobudza ogromnie wyobraźnię. Nie chciałbym poprzestać tylko na „Fantastyce”, dlatego mam do Pana prośbę. Chciałbym nawiązać kontakt z klubami fantastycznymi. Słyszałem od kolegów, że takie kluby też wydają swoje czasopisma, w których są także ciekawe opowiadania...*

Sławek

***Zbulwersowała mnie recenzja** napisana przez pana Wawrzyńca Sawickiego. Według mnie nie jest to recenzja książki, lecz nieuzasadniony atak na Wydawnictwa „Alfa” i jego redaktorów. Pan Sawicki pisze „Od początku można było się spodziewać, że wzrost popularności literatury SF spowoduje, iż część naszych wydawnictw zacznie produkować powieści z tego gatunku w tempie przyśpieszonym, byle tylko zapełnić kasę. O tym, że poziom tych produkcji w konsekwencji takich działań się obniża nie muszę nikogo przekonywać...” Wracając do samej recenzji, nie wydaje mi się, aby książka była tak beznadziejnie naiwna jak pisze pan Sawicki. To prawda, że treść pozycji nie jest odkrywcza, lecz jest to rzecz doskonała na lekką, wakacyjną lekturę dla młodzieży. Przy okazji chciałbym prosić Pana Redaktora o zmianę formy w pisaniu recenzji. Pragnąłbym, żeby w miejsce rozwlekłych profesorskich rozważań znalazły się krótkie i obiektywne informacje co na polskim rynku ma się ukazać...*

Wasz stały czytelnik
Włodzimierz Żukowski

***Napisaliście, że dostajecie** co miesiąc czasopismo o grach z Wielkiej Brytanii. Są w tego rodzaju czasopismach opisy gier. Moglibyście poświęcić zawsze kilka stron na opisanie kilku gier. Co Pan sądzi o tym?*

Igor Łukasik z Warszawy

***Jesienią 1987 roku** pisałem do redakcji o zamieszczenie w rubryce „komu, komu” mojej chęci pozbycia się kompletu całego wydania Waszego pisma. Motywowałem to tym, że straciłem zainteresowanie dla tej tematyki. Mam prawo podejrzewać, że Pan Redaktor niezbyt lubi swoich wielbicieli, oczekujących na pewno z pasją na takie oferty, skoro ponad rok nie uszczęśliwił ich przekazaniem tej informacji.*

Sławomir Kukliński
Skr. poczt. 28

***Ucieszyłem się** z dwóch dodatków do „Fantastyki”, sądzę jednak, że nie wszystkie zainteresowania czytelnicze zostały dzięki nowym zeszytom zaspokojone. Moim zdaniem brak jest trzeciego zeszytu, który mógłby nazywać się „Film-Fantastyka”. Dodatek taki byłby świetny szczególnie dla młodego pokolenia, które nie załapało się niestety na filmy wcześniejsze np. „Odyseja kosmiczna” czy „Metropolis”. Mam nadzieję, że pomysł nie wyda się Panu szalony, ja z góry dziękuję za taki prezent dla wszystkich kinomanów.*

Andrzej z Rawy

***Usprawiedliwiacie się** w każdym prawie numerze, że nie ma papieru na zwiększenie nakładu i objętości pisma, że jakość papieru podła, że nie stać was na kupowanie droższych tekstów, ach na cóż to sami nie narzekacie. A ja mam nową i dobrą radę, która Was zaprowadzi do dobrobytu, a nas Waszych czytelników podbuduje lepszym i bogatszym wyborem materiałów. Czy nie stać Was na zebranie pieniędzy najuczciwsze jakie sobie można wyobrazić poprzez rozpisanie i sprzedaż akcji, których nabywcy stawaliby się współwłaścicielami pisma? Czasy i przemiany w Polsce takim przedsięwzięciom jak najbardziej sprzyjają. Brakuje wam wszystkiego, bo brakuje forsy, którą zapewne wydziela Wam z Waszych zysków Wasz wydawca, no to dopuśćcie nas czytelników do władzy. A siebie do forsy.*

Jerzy Gwardecki z Warszawy

***Od dłuższego czasu** obserwuję niepokojącą tendencję. Dobrze zbudowane, interesujące, absorbujące intelekt opowiadania, pisane według kanonów klasycznej (czytaj – dobrej) fantastyki ulegają (jako bardziej popularne) słabym, konstruowanym za pomocą taniej intrygi, opowiadaniom fantasy. Dowodem tego są oficjalne badania poczytności utworów, przeprowadzane przez Waszą redakcję. Sondaż wygrywają „Piaseczniki” (choć to nie typowa fantasy – schemat ten sam) i „Wiedźmin” zostawiając w tyle takie hity jak „Człowiek który wracał do domu” Tiptree czy „Kompleks Hioba” Oramusa. Muszę dodać, że nie jestem wcale przeciwnikiem fantasy, ale Panowie, nie każdy potrafi dorównać Tolkienowi. Te grafomańskie próby (odnosi się to także do „Wilczej klątwy”) mogą tylko zaszkodzić gatunkowi. Może mała objętość nie pozwoliła Rafałowi Ziemkiewiczowi, którego pamiętam dowanie fabuły. Amulet, czarownica, puszcza, rycerze żywcem wzięci z epoki Mieszka. Opowiadanie Ziemkiewicza jest po prostu naiwne, nie mówiąc o oryginalności, która jest żadna. To tyle gorzkich słów. Pozostaje mi czekać na solidny komiks w dużej „Fantastyce”. Nie ukrywam sympatii do Funky'ego Kovala.*

Adrian Ołdak z Tych

PS. Wpadł mi do ręki numer z nową ceną. Wychodzi, że „Fantastyka” przynosi miliony i to grube zysku. Po odliczeniu kosztów własnych chyba nie powinna być dotowana. A czy jest, jak inne czasopisma? Czemu wyglądacie na biednych?

Przynosimy duże zyski naszemu wydawcy, pismo ma z nich niezwykle mało, co widać po naszej szacie graficznej. Musimy jakoś postarać się znaleźć wyjście z sytuacji. To my przecież dotujemy, nie zaś jesteśmy dotowani. Przygotowany mieliśmy numer filmowy, miał on rozpocząć regularniejsze wydawanie specjalnej edycji filmowej naszej „Fantastyki”, ale wydawca choć orientuje się świetnie w popularności pisma i zapotrzebowaniu na nie w naszym kraju, a także i poza granicami, nie potrafił wystarać się nam o więcej papieru. Więc filmowy numer dotarł do Państwa – w zwyczajnym fantastycznym trybie. Co do propozycji rozpisania akcji na udział w kapitale „Fantastyki”, zastanowimy się nad tym pomysłem. Kto wie czy nie pójdziemy na taką spółkę z Czytelnikami. Postaramy się także o uregulowanie informacji o nowych grach SF. Osobiście uważam też za słuszną uwagę pana Żukowskiego o zamieszczaniu not recenzyjnych o charakterze skomentowanej informacji raczej niż rozwlekłych recenzji. Ale nie sam pracuję w tej redakcji. Adresy klubów, do których można zgłosić akces wielokrotnie drukowaliśmy. To na dzisiaj wszystko. Do następnego „Lądowania”!

Redaktor

Aleksandr Bacziło

Spodziewajcie się niezwykłych wydarzeń

(Żditie sobytij)

Ostatni jęk Alika, przeleciałem po bębnach i strzeliłem talerzami. W oczy uderzyło ostre światło i zachwycona sala wybuchła oklaskami, pogwizdując z zadowolenia.

Dość, na dzisiaj starczy. Ale to jeszcze nie koniec święta, ustępujemy tylko miejsca wielowarsztatowcom – disc jockeyom.

– Drodzy przyjaciele! Nasz maraton trwa! Po Aliku Czerniajewie i jego grupie wita was i pozdrawia signor Celentano!

Odłączyliśmy aparaturę i zajęliśmy miejsce przy barze.

– Wina dla pracowników mikrofonu! – zawołał barman Wowka i zaczął nalewać nam do pucharów cocktail. Kiedy skończył, pochylił się do mnie i cicho spytał:

– Nie znasz czasem tych dziewczyn?

Wziąłem puchar i trochę odpiłem.

– Można się odwrócić?

– Wal.

Obróciłem się ze stołkiem i natychmiast zrozumiałem, o jakich dziewczynach mówi Wowka. Przy oknie stały cztery oszałamiające zjawiska i wytwornie się uśmiechając rozmawiały chyba o pogodzie i tuberozach. Co prawda, było w nich coś nienaturalnie telewizyjnego: idealne rysy twarzy, gładka skóra, wspaniałe włosy i bezbłędne figury podkreślone toaletami, które bez wątpienia wywoływały czarną zazdrość damskiej połowy sali i podniecenie męskiej.

– Hollywood i Cristal Palace – mruknął z tyłu Wowka. – Nawiasem mówiąc, one przed chwilą siedziały tutaj i przypadkiem słyszałem, o czym rozmawiają. Zupełnie jak jakieś tajne agentki. Jedna mówi: „Słuchajcie, coś tu jest nie tak... Wszyscy się na nas gapią... Za bardzo się wystroiłyśmy!" A druga na to: „To nic strasznego, to ich tylko pociąga". A ta, co teraz stoi po lewej, widzisz, melduje: „A ja mam coś z oczami. Już trzeci raz mi ktoś mówi, że mam niezwykłe oczy". A pierwsza na to: „No, nie wiem. Jak było na fotografii, tak zrobiono". Kapujesz? Ja akurat schyliłem się do lodówki, nie widziały mnie, słucham i nic nie rozumiem. O czym one gadają? Wyjrzałem ostrożnie zza bufetu, a ta w niebieskim mówi: „Dobrze, a jak wyniki?" „Normalnie – mówią. – Jutro już poczują, a pojutrze... pojutrze prawie każdemu coś się przydarzy". A ta z oczami powiada: „A mnie trafił się jakiś taki... czy to cham, czy całkiem głupi. Nie wyobrażam sobie, co z nim będzie". A te jej koleżanki: „Nie bój się, od tego się nie umiera". Łapiesz coś z tego?

Odwróciłem się z powrotem do Wowki.

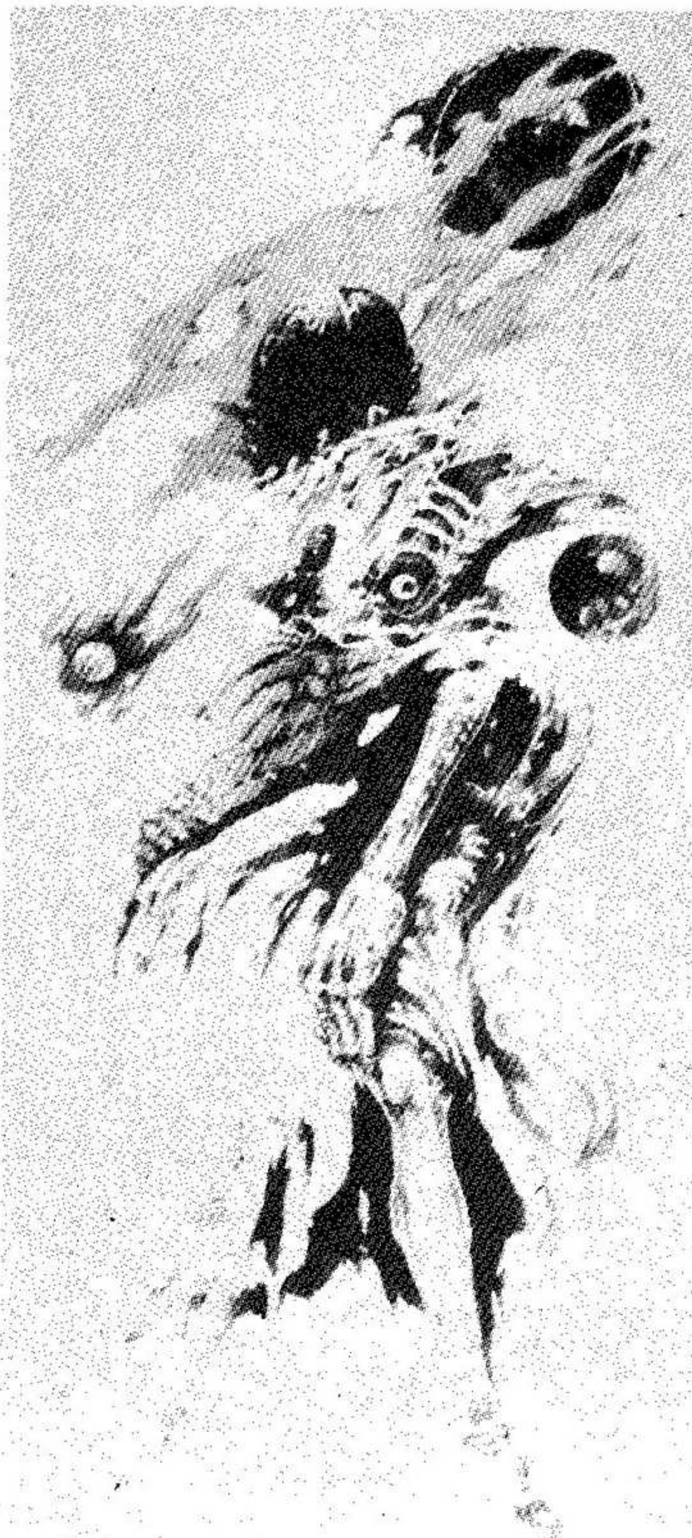
– Ta-ak. Niekiepskie dziewczyny. Chyba ich nigdy nie widziałem, ani tu, ani w instytucie.

– Ech, gdybym nie był teraz zajęty, zająłbym się nimi – westchnął Wowka.

– Hm! Może to i myśl.

Rozejrzałem się. Alik z Poliną rozpłynęli się już w tańczącym tłumie, a Wit'ka basista dalej pociągał cocktail.

Wstałem i luźnym krokiem skierowałem się w stronę



...gorz Komorowski

bym mu wierzył bez zastrzeżeń, ale rzeczywiście jakaś aura tajemnicy otaczała te dziewczyny jak z ekranu telewizora. Zatrzymałem się przed zgrabną, czarnooką ślicznotką i niewymuszonym tonem zaprosiłem ją do tańca... Ech, raz kozie śmierć! Uśmiechnęła się tak, jakby jej to sprawiło wielką przyjemność. Zastosowałem standardowe otwarcie i dowiedziałem się, że nazywa się Lena. („Rzadkie imię" – zażartowałem), uczy się, ale nie u nas i mieszka w pobliżu – na bulwarze Cwietocznom. Powiedziałem, że ja też mieszkam na Cwietocznom i wyraziłem żal, że nigdy się tam nie spotkaliśmy.

– Wie pani, Leno, proszę mi wybaczyć, ale wygląda pani tak, jakby szykowała pani wszystkim obecnym wielką niespodziankę.

Spojrzała na mnie z uwagą i uśmiechnęła się.

– Ma pan coś przeciwko temu?

– Nie, skąd? Wprost przeciwnie. Nasze życie jest tak monotonne, że coś nadzwyczajnego, a nawet nadprzyrodzonego, jest absolutnie niezbędne. Proszę bardzo. Jeżeli po ulicach zaczną chodzić brontozaury i yeti, pierwszy jestem gotów krzyczeć „hura!" Z balkonu.

– Nic z tych rzeczy – uśmiechnęła się Lena. – Nawiasem mówiąc, nieładnie jest podsłuchiwać cudze rozmowy. Skoro jednak tak pan lubi tajemnicze przygody, to proszę bardzo, ile dusza zamarzy. Tylko proszę pamiętać, każdy dostanie to, na co zasłużył!

Ostatnie zdanie zabrzmiało całkiem poważnie.

– Kto dostanie? – zdziwiłem się. – I kiedy?

– No, dosyć tego dobrego! – powiedziała Lena. – Zagadaliśmy się!

Muzyka nagle ucichła i zapaliły się wszystkie światła. Przede mną stał Alik Czerniajew i krzyczał, że czas coś wypić i że wszyscy są już na górze. Rozejrzałem się. Sala opustoszała. Na estradzie potrzaskując stygła aparatura, w rogu wymieniano żarówkę reflektora. Leny nie było.

Czerniajewowi znudziło się w końcu patrzeć na moją otępiałą fizjonomię, chwycił mnie więc za rękaw i pociągnął do sali bankietowej.

Tego wieczoru nie widziałem już Leny ani jej koleżanek, ale towarzyszyło mi niejasne przeczucie czegoś niezwykłego. Wrażenie to nie opuszczało mnie i następnego dnia rano. Natychmiast po przebudzeniu przypomniałem sobie o Lenie, ale nadal nie potrafiłem znaleźć żadnego sensownego wyjaśnienia wczorajszych zdarzeń. Po długich deliberacjach postanowiłem zadzwonić do Wowki. Może odkrywca „fenomenu hollywoodzkiego" dowiedział się czegoś nowego? Przecież to artysta w swoim fachu i osobistą znajomość z każdym i ze wszystkimi uważa za swój obowiązek.

Podszedłem do telefonu i podniosłem słuchawkę. Sygnału nie było, słyszałem tylko słaby szmer i ciche elektryczne trzaski. „Do diabła, znów popsuty" – pomyślałem, ale w tej samej chwili z chaosu szumów dobiegł mnie daleki, zniekształcony, syntetyczny głos.

– No? – spytał głos.

– Halo! – krzyknąłem. – Halo!

– Ty nie haluj, tylko mów czego chcesz – niezbyt grzecznie odpowiedział głos.

– Czego chcę?... Przepraszam, widocznie się pomyliłem.

– Przecież jeszcze nie wybrałeś numeru – oświadczył głos.

– Tak? Chciałem powiedzieć... – przez chwilę wydało mi się, że to może być głos Wowki. – A kto mówi?

– Wszystko by chciał wiedzieć – burknął głos i po chwili przerwy odpowiedział: – Tu dżinn.

– Jim? Cześć.

– Sam jesteś Jim. Powiedziałem dżinn. Telefoniczny.

– Aha, dżinn! Teraz wszystko rozumiem – postanowiłem odpowiedzieć żartem na żart. – Tylko dżinn powinien odpowiadać „Słucham i wykonuję".

– A ja cię już ile czasu słucham i nadal nie wiem, co mam wykonywać – odgryzł się gniewnie głos. – No jak? Będą życzenia, czy odnotować wezwanie jako chuligańst-

– Chwileczkę, a jakie życzenia?

– W porządku. Zapiszemy – sam nie wie czego chce.

– Zaraz, panie dżinn, a może pan zrobić tak, żeby... hm... żeby zaczął działać mój zepsuty telewizor?

– Życzenie przyjęte – szybko odpowiedział głos. – Proszę odłożyć słuchawkę.

Okazało się, że to ja mam wykonać polecenie. Wzruszyłem ramionami i odłożyłem słuchawkę. „Dzień dobry! – usłyszałem za plecami. – Dzisiaj opowiem wam o hodowli cebuli i czosnku na waszej działce przyzagrodowej..."

Odwróciłem się ostrożnie. Nasz telewizor, który od pół roku nie zdradzał oznak życia, radośnie demonstrował sadzenie cebuli na czyjejś działce przyzagrodowej. Na ekranie migały dłonie i odświętnie nowe łopaty z różnobarwnymi trzonkami, co było trochę nie na miejscu w czarno-białym telewizorze marki Krym-206. Czujnie podszedłem do rozgadanej skrzynki, zajrzałem od tyłu do jej rozbebeszonego przy licznych próbach naprawy wnętrza i cicho gwizdnąłem. Ani jedna lampa się nie paliła, niektórych w ogóle nie było, sznur z wtyczką starannie zwinięty wisiał na telewizorze, ale zmartwychwstały agregat nie zwracał na takie drobiazgi uwagi i w najlepsze plótł coś o witaminach i sałatkach. Przez jakiś czas stałem gapiąc się w ekran a potem opanowało mnie gorączkowe podniecenie. No, tak. Zaczyna się. A dalej może coś jeszcze ciekawszego. Okazuje się, że nie na darmo dręczyły mnie przeczucia. Telefoniczny dżinn... Ale ze mnie idiota! O czym ja z nim rozmawiałem? W każdym razie nie o telewizorze. Po diabła w ogóle przyplątał mi się ten telewizor? Aha, chciałem tego dżinna wypróbować, przyłapać na jakimś oczywistym przykładzie. Trzeba by pomówić z nim jeszcze raz, tylko co mu powiedzieć? Podszedłem do telefonu. „Złota rybko, złota rybko, usłysz, usłysz me wołanie" chodziło mi po głowie. Podniosłem słuchawkę i obleciał mnie strach. Słuchawka buczała jak zwykle, równo, bez szmerów i trzasków, tak, że natychmiast zrozumiałem – nikt mi nie odpowie odszczekując się dalekim, syntetycznym głosem i nie będzie spełniać moich życzeń. Byłem zdziwiony bardziej niż za pierwszym razem i okropnie rozczarowany. „Ech ty!... – wymyślałem sobie w duchu. – Przez głupotę przegapiłeś taką okazję!... Miałeś jedno jedyne życzenie i co? Telewizora mu się zachciało... Może lodówki. Szafy z lustrem. Abażura różowego w kwiatki! Trzeba było o trochę rozumu poprosić!"

Ale jak kto głupi, to głupi. Rozumu nie kupi. Przypomniało mi się, że chciałem dzwonić i zacząłem wykręcać numer. Telewizor z tyłu grzmiał marszami. Pokażę go Wowce i wszystko mu opowiem. Ostatecznie to nie jakiś tam drobiazg.

Wowka odebrał natychmiast, jakby czekał przy telefonie.

– Cześć – powiedziałem. – Słuchaj, nie mógłbyś do mnie wpaść?

– Cześć – odezwał się Wowka, pomilczał chwilę i niepewnie dodał – a kto mówi?

– Co ty, nie wyspałeś się? O której wczoraj wróciłeś?

– A, to ty! – Wowka westchnął nie wiadomo dlaczego z ulgą. – Właśnie miałem do ciebie dzwonić. Zdarzyła mi się taka historia...

„Tak – pomyślałem – historia. A więc on też miał do czynienia z naszymi nieznajomymi. Ciekawe".

– Z którą z nich wczoraj rozmawiałeś? – spytałem.

– Co?

– Pytam, z którą z tych wczorajszych dziewczyn rozmawiałeś. Z tych, co to Hollywood i Crystal Palace.

Usłyszałem sapanie w słuchawce.

– A ty skąd wiesz?

– Przyjdziesz, to ci opowiem. Więc co to za historia?

– Diabli wiedzą... Boję się nawet o tym mówić, zupełne bzdury wychodzą.

– Mimo to spróbuj.

– Dobra, przyjdę to opowiem... Tylko pamiętaj, że wczoraj nic nie piłem. I w rodzinie mam wszystkich nor-

sam nie wiem. Wszystko doskonale pamiętam, a dowodów nie ma.

Na chwilę obaj zamilkliśmy. Telewizor za moimi plecami znów zagrał coś dziarskiego.

– Przychodź – powiedziałem. – Chyba są dowody.

– Gdybym tego nie widział na własne oczy... a nawet choćbym widział! Gdyby nie to całe diabelstwo...

Wowka od dziesięciu minut grzebał w telewizorze. Uzbroił się w mój próbnik, ale jak dotychczas nie mógł złapać ani jednego sygnału świadczącego o jakichkolwiek procesach w elektronicznych łańcuchach. W rozpaczy zaczął wyjmować pozostałe lampy, rozebrał gołymi rękami blok wysokiego napięcia i już się przymierzał, żeby wyjąć kineskop. Opowiedziałem mu o swoich wczorajszych przeżyciach i o telefonicznym dżinnie. Milczał przez chwilę a potem nagle się rozchmurzył.

– A to nieźle! – powiedział. – To całkiem nieźle!

Zrozumiałem, jak bardzo gnębiły Wowkę jego własne przeżycia. Zebrawszy na odwagę zaczął opowiadać:

– Wczoraj, jak tylko odszedłeś, pojawiła się jedna z tych ślicznotek, miło się uśmiechnęła i mówi: „Przepraszam, czy nie ma pan gdzieś latarki?" – „Oczywiście – mówię – zaraz poszukamy, była tu gdzieś, specjalnie na taki wypadek. Proszę siadać, odpocząć, poczęstuję panię koniaczkiem."

Nalewam jej i podaję z cytryną. „Jeżeli to nie tajemnica – pytam – to co pani zamierza robić z tą latarką? Tu wszędzie poza salą taneczną jest jasno."

Czuję, że się waha i nie wie co powiedzieć. A ja znów: „Niech pani siada, skoczę tylko na zaplecze i przyniosę".

Siada, ale widać, że bardzo się śpieszy albo ma w głowie co innego, z roztargnieniem bierze koniak i bach go, jednym łykiem!

Osłupiałem, a ona jakby nigdy nic, odstawia kieliszek i patrzy na mnie, jakby chciała powiedzieć: no, na co czekasz? O, kochana, myślę, dawno nie widziałem, żeby ktoś tak golił koniak. „Rozumie pan – mówi – przyjaciółka zgubiła pod schodami łańcuszek, nic tam nie widać i światło nie działa". – „Niech się pani nie martwi – odpowiadam – zaraz znajdziemy".

A myślę: żeby chociaż cytryną zakąsiła.

Poszedłem na zaplecze, znalazłem latarkę, wracam i mówię: „Chodźmy, poszukamy tego łańcuszka".

Na to ona: „Proszę wybaczyć, ale wolimy same. Przyjaciółka jest bardzo nieśmiała i stanowczo mi zabroniła odrywać kogoś od zabawy dla takiego głupstwa."

„O rany – myślę – i mówi też jakoś nienormalnie". Ja jeszcze trochę ponalegałem, że to niby żaden kłopot, proszę się nie niepokoić, bardzo chętnie na coś się przydam, ona jednak grzecznie, ale stanowczo odmawiała. Co było robić, dałem jej latarkę, życzyłem powodzenia i poszła.

A ja stoję i myślę. A im dłużej myślę, tym silniejsze mam uczucie, że coś tu nie gra. Głupota jakaś. Wyraźnie robią mnie w konia. Jak u nas można coś zgubić pod schodami? Przecież tam między podestami nie ma ani szczeliny. I cóż to za nieśmiałość: nie daj Bóg ktoś pomoże znaleźć łańcuszek? Taka mnie zdjęła ciekawość, że postanowiłem pójść i zobaczyć, niby przypadkiem, co się tam wyprawia. Wyszedłem na korytarz i na schody. Szybko zszedłem na parter i widzę, że idzie moja ślicznotka z latarką, przechodzi przez hol i prosto na korytarz. Jasna sprawa – myślę – po co ma łazić pod schody? Czego tam będzie szukać? Pewnie idzie do dyrektora albo do gospodarczego porozmawiać o bolączkach naszego życia. Krótko mówiąc w głowie mam kaszę i cicho idę dalej. Zatrzymałem się w cieniu za kolumną i co widzę: ślicznotka idzie do końca korytarza, zatrzymuje się przed drzwiami, otwiera je i schodzi... do piwnicy. Jak w kryminale! Podbiegłem na palcach do drzwi i uchyliłem je. Gdzieś w dole błyska światło, kroków nie słychać. Wszedłem do piwnicy i po cichu skradam się do światła. Szedłem tak co najmniej dziesięć minut. Wreszcie widzę jasny prostokąt drzwi i jakby słychać głos. Podszedłem całkiem blisko, zajrzałem do środka i skamieniałem. Oj, myślę, po kiego diabła ja tu lazłem? Nie trzeba było tu wchodzić. Nie lubię mistyki i nie wierzę w nią. A tutaj... Piwnica jak piwnica: wzdłuż ścian rury, jakieś otwory wentylacyjne, tynk gdzieniegdzie odpada... Ale pośrodku tej nory stała nasza ślicznotka w stroju gwiazdy filmowej i cichym, monotonnym głosem tłumaczyła coś trzydziestu albo czterdziestu kotom najróżniejszej maści!

Zrobiło mi się po prostu słabo. Czy to ze strachu, czy diabli wiedzą z czego, stanąłem jak dureń w drzwiach i nie mogę palcem ruszyć. W tym momencie koty mnie zauważyły, odwróciły się wszystkie i patrzą. Spokojnie tak patrzą, z godnością. I ona też się odwraca, kieruje na mnie latarkę i mówi: „Ach tak! Czy śledzenie ludzi to pańskie hobby, czy część obowiązków służbowych?" Ja milczę jak kto głupi, a ona zaczyna mnie strofować, i co najważniejsze, takim tonem, jakbym się do niej w tramwaju przyczepił. „Panu też – mówi – pewnie nie byłoby przyjemnie, gdyby ktoś pana śledził. Pewnie pan nigdy nie doświadczył takiego uczucia". Już miałem coś powiedzieć, kiedy nagle latarka zgasła i zrobiło się ciemno jak w grobie. Stoję i boję się ruszyć. Cisza, żadnego szmeru, kroków, oddechu. Nic. Aż mnie dreszcz przebiegł. „Hej – mówię. – Gdzie pani jest?".

Żeby choć najcichszy odgłos, a tu nawet echa nie ma. Jak pod pierzyną. Powoli się odwróciłem i zjeżdżam. Ciemno, choć oko wykol. Idę, macam rękami ścianę. „Żeby tylko – myślę – nie zabłądzić". Wreszcie usłyszałem muzykę, więc wyjście blisko. Ruszyłem szybciej i nagle z rozpędu na kogoś wlazłem. Tamten odskoczył w bok i stanął. Stoi i sapie. Chyba chłop, bo trącił mnie dość mocno. „Kto tu?" – pytam. On milczy i ostrożnie się wycofuje. Nagle trafił w smugę światła i zobaczyłem go. Starszy gość, w okularach i jakby nawet łysiejący. Więcej nic nie zdążyłem zobaczyć, bo odwrócił się i – prysk gdzieś w ciemności. Dłużej nie czekałem, drzwi były uchylone i widziałem schody. Czym prędzej wylazłem z piwnicy na korytarz.

Widzę, że wszyscy już poszli na górę, bankietują. Ledwo wszedłem na salę, podchodzi do mnie Sława Mołczanow i mówi:

– Gdzie się tak wypaćkałeś? Cały bok masz w wapnie.

– W piwnicy – mówię.

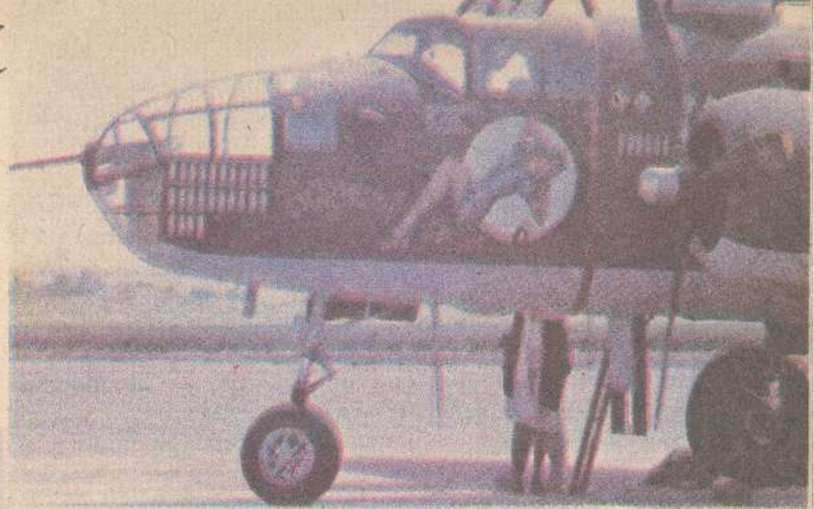
Kiedy pomagał mi się oczyścić, opowiedziałem mu całą historię od początku do końca. Słuchał mnie, słuchał, a potem mówi:

– Tobie, Wowka, ta praca w barze szkodzi. Masz tam niebezpieczne opary. Ty się tam, bracie, do białej gorączki dowąchasz. Siadaj lepiej, przekąś grzybkiem, grzybki są dziś znakomite, a ty zakąsić obowiązkowo powinieneś.

Próbowałem się spierać, a potem myślę: „Rzeczywiście, brzmi to jak czysta bzdura. Nie mogę nikomu nic udowodnić. Niech ich wszystkich diabli!" Machnąłem w końcu ręką na tę całą ich mistykę, dosiadłem się do stołu i zabrałem się za zakąski. Stopniowo doszedłem do siebie, rozprężyłem się, opowiedziałem dowcip. Pewnie zapomniałbym o wszystkim, ale wyszło inaczej.

Wracam po bankiecie do domu, noc, na ulicy żywego ducha, tylko przede mną jakaś samotna postać. „Może to ktoś z naszych" – pomyślałem. Dogoniłem go, widzę – nie, nie nasz. Starszy człowiek, nieco przygarbiony. Wtedy on odwraca głowę i patrzy na mnie mrużąc oczy. „Rany boskie – myślę – przecież to ten gość w okularach, na którego wpadłem w piwnicy!" Stanąłem jak wryty, a on tylko przyśpieszył kroku i znikł za rogiem. Od razu mi się przypomniała i piwnica, i ta ślicznotka, i to jak koniak goliła. Do samego domu oglądałem się na każdym kroku, cały czas miałem wrażenie, że skrada się za mną jakiś cień. Już przy bramie biorę za klamkę i nagle czuję na sobie czyjeś spojrzenie. Czuję plecami. Nigdy wcześniej mi się to nie zdarzyło. Odwracam się ostrożnie i co widzę: stoi pod latarnią wielki kocur nieokreślonej maści i patrzy mi prosto w

Philip Castle





giem na swoje piętro. Dopiero w domu się uspokoiłem. „Dobra – myślę – wystarczy tych strachów". Położyłem się, ale całą noc nie mogłem zasnąć, przewracałem się z boku na bok.

Wowka umilkł. Ja też nic nie mówiłem zbierając myśli. Tak, on chyba oberwał mocniej niż ja. Wyobraziłem sobie siebie na jego miejscu i dostałem gęsiej skóry. Wszystkie te piwnice, koty, nieznajomi i diabli wiedzą co, musiały potężnie działać na psychikę. Mnie się, niewątpliwie, upiekło: telewizor, dżinn telefoniczny to też, co tu dużo gadać, magia, ale bez tego koszmarnego podtekstu, bez diabelstwa.

Wowka poczuł się znacznie lepiej, jak tylko zrozumiał, że nie jest sam. Są jeszcze inni, którzy odczuli tajemnicze oddziaływanie i mają na to niepodważalne dowody. Można odnaleźć tych ludzi i wspólnie z nimi rozwikłać tajemnicę. Wreszcie, mając w ręku te niepodważalne dowody, można zwrócić się do poważniejszych instancji, na przykład do szerokich mas pracowników nauki.

Zostawiwszy na jakiś czas telewizor w spokoju przystąpiliśmy do oceny naszej sytuacji i opracowania planu działań. Przede wszystkim uznaliśmy, że to nie mistyka. Diabłów nie ma. Zresztą te nie wpadłyby na coś podobnego. Co do nas, wszystko wskazuje na to, że jesteśmy zdrowi na umyśle, chyba że jeden z nas jest halucynacją drugiego. To byłoby po prostu nieciekawe.

Teraz – istota tego co się dzieje. Wowka bez wahania uznał wczorajsze ślicznotki za przybyszów z kosmosu. Ja się nie zgadzałem. Na nieszczęsnych przybyszów i tak już zwala się za dużo. Wszystkie niewyjaśnione zjawiska przyrody to teraz skutki działania przybyszów. Wystarczy, że starożytnym lepiej wyszła jakaś piramida, a już się im odbiera prawa autorskie i oddaje przybyszom... Nie przybysze, to byłoby zbyt proste. To niemożliwe właśnie ze względu na swoją banalność.

Przez jakiś czas dyskutowaliśmy, potem zaproponowałem kawę i przejście do opracowania planu działania z pominięciem przedmiotu sporu. Wowka wyraził zgodę i wyskoczyłem do kuchni. Wróciwszy do pokoju stwierdziłem, że telewizor nie milknie ani na chwilę i przyszło mi do głowy, że warto by sprawdzić, czy to co nam demonstruje zgadza się z programem. Akurat w tym momencie lektor ogłosił następną audycję.

– Słuchaj, Wowka! – powiedziałem. Wowka odwrócił się do mnie. – Gdzieś tu miałem gazetę z programem – zacząłem i zastygłem z wzrokiem utkwionym w ekran. Głos lektora nadal płynął z głośnika, ale obraz zamglił się i znikł. Na jego miejsce wyłoniła się z mgły ogromna na cały ekran, zarośnięta gęba wpatrzona w Wowkę. Chciałem krzyknąć, ale nie mogłem wydobyć z siebie dźwięku. Wowka akurat patrzył na mnie i nie widział tego, co się dzieje na ekranie. Widocznie jednak mój wzrok był wystarczająco wymowny, bo gwałtownie odwrócił się do telewizora. Lektor zakończył zapowiedź czarującym uśmiechem i rozpoczął się następny punkt programu.

– Co tam było? – spytał Wowka. Był wyraźnie bledszy niż przed minutą. Opowiedziałem mu.

– I patrzył prosto na mnie?

– Tak. I jeszcze... był taki... wypukły, stereoskopowy.

Przez kilka minut wpatrywaliśmy się intensywnie w ekran a potem poszliśmy na kawę do kuchni. Wowka przez cały czas milczał.

– Taaak – mruknął w końcu. – Myślałem, że z tymi sztuczkami koniec, a oni, zdaje się, mnie śledzą.

– Mówię ci, nie zwracaj na nich uwagi. Zresztą, chyba nie o to im chodzi. Nie w tym celu urządzili cały ten cyrk.

– A w jakim?

– To właśnie musimy zrozumieć. Nie wolno nam siedzieć z założonymi rękami, musimy działać.

Po dziesięciu minutach wychodziliśmy z mieszkania. Telewizor ogłosił nam na odchodne przerwę techniczną i pokazawszy wymyślny obrazek zgasł. Nasz plan był następujący: Wowka obleci kogo się da z tych, którzy byli wczo-

naszą pakę. Należy ustalić, kto jeszcze miał do czynienia z tymi miłymi panienkami i jakie pociągnęło to za sobą następstwa.

– Będziemy ujawniać kontakty – mruknął Wowka.

Na ulicy życzyliśmy sobie powodzenia i rozeszliśmy się w przeciwne strony.

Alik Czerniajew mieszkał na drugim końcu miasta, telefonu nie miał i jedynym środkiem łączności z nim był autobus. Na przystanku kłębił się tłum. Sądząc z tego z jakim ożywieniem przestępowali z nogi na nogę niektórzy z oczekujących, można się było domyśleć, że autobusu dawno nie było. Co prawda o kilka kroków przed przystankiem stała pusta dziewiątka, akurat to, czego potrzebowałem, ale rozwalony w kabinie kierowca sprawiał wrażenie, że nie wybiera się nigdzie przez najbliższe dwa tygodnie. Jakaś babka widocznie już chodziła mu napyskować i teraz donośnym głosem składała sprawozdanie:

– Leży sobie i śpiewa. „Żeby winem napełnił się kielich". Tylko to im w głowie. Znalazł się artysta!

Życie toczyło się jak co dzień. Nikt z tych ludzi nawet nie podejrzewał, że miasto może już kipi od nieprawdopodobnych wydarzeń, że może jutro nie poznają ani miasta, ani samych siebie. Sądząc z tego, co już się zdarzyło, każdemu teraz może się przytrafić wszystko...

Kierowca w końcu ożył. Usiadł, nieśpiesznie zapalił papierosa, długo skrzypiał, jak należy, ręcznym hamulcem i dopiero wtedy podjechał na przystanek. Trafiłem w dobry prąd, zostałem wniesiony do autobusu, wciśnięty w kąt i przyparty do ściany. Kierowca zaproponował, żeby wszyscy skasowali bilety i autobus ruszył.

Przez pierwszą połowę drogi cała publika stanowiła zwarty monolit, potem zrobiło się nieco luźniej. Na jednym z przystanków przez przednie drzwi wczołgał się solidnie nawalony młody człowiek i utrudzony zatrzymał się na stopniu. Poznałem go. To był Antocha Taraszczuk z naszego domu. W dzieciństwie przyjaźniliśmy się, ale potem coś się stało, Antocha zszedł na manowce, to próbował zarabiać, to sterczał tygodniami na podwórku, głównie koło delikatesów, kilka razy próbował się żenić, ale żony szybko go rzucały. Obecnie najlepszą charakterystyką Antoszy mógł być napis na ścianie domu koło drzwi na jego klatkę: *Antocha-wypiwocha*.

Teraz stał oparty o drzwi i obrzucał publiczność mętnym wzrokiem. A publiczność jak zwykle z oburzeniem odwracała oczy i wyzywająco odsuwała się byle dalej.

– Żeby choć jedna zaraza ustąpiła miejsca – warknął Antocha. – Widzą przecież, że człowiek ledwie stoi.

Na przednim pomoście, plecami do mnie, stała dziewczyna w białym futerku i puszystej czapce, która odwróciła się i ze zdziwieniem popatrzyła na Antochę. Zaparło mi dech w piersiach. To była Lena!

Gdyby nasz autobus wzbił się w górę i zaczął nabierać wysokości, nie byłbym bardziej zdziwiony. Kogo jak kogo, ale Leny nie spodziewałem się tu zobaczyć!

Antocha zauważył jej spojrzenie.

– No i czego się gapisz, gały wywalasz? Chcesz się zapoznać? Zaraz to...

Zaczął się wdrapywać na wyższy stopień, a ja już przeciskałem się na przedni pomost. Niesłychana szansa! Byłem prawie wdzięczny Antosze, przecież Lena mogła się nie odwrócić i wysiąść gdzieś, a ja bym nawet nie zauważył. Teraz to co innego! Usadzę tego rozpanoszonego chuligana, zaproponuję damie swoje usługi... No i tak dalej, według znanego scenariusza.

Tymczasem nic takiego się nie zdarzyło. W ogóle nic się nie zdarzyło. Autobus stanął, drzwi się otworzyły i Lena spokojnie wysiadła przechodząc przez miejsce, na którym przed chwilą stał Antocha. Antochy nie było. Zupełnie jakby jakiś wytrawny magik schował go do rękawa. Nikt nic nie zauważył.

Drzwi się zamknęły i pojechaliśmy dalej. Stałem zapatrzony w jeden punkt i chyba o niczym nie myślałem. Może

Leny i w ogóle, może wszystko to mi się zwyczajnie przyśniło?

Dopiero kiedy kierowca ogłosił koniec trasy, doszedłem do siebie i przypomniałem sobie, że jadę do Czerniajewa, żeby mu opowiedzieć o wczorajszych i dzisiejszych wydarzeniach, do których przed chwilą przybyło jeszcze jedno.

Otworzył mi sam Alik. Ucieszył się, wciągnął mnie do mieszkania i wesoło na mnie naskoczył:

– Gdzie się włóczysz? Już dwa razy wychodziłem, żeby do ciebie dzwonić!

Był jakiś ożywiony, nastroszony, koniecznie chciał mi coś opowiedzieć.

– Czy coś się stało? – spytałem.

– Stało się – odpowiedział Alik. – Trochę zwariowałem. Poza tym wszystko normalnie.

Rozebrałem się i weszliśmy do pokoju.

– Wyobraź sobie – zaczął Alik – nagle ubzdurałem sobie, że jestem geniuszem. Dzisiaj rano skomponowałem już dwie sztuczki i wymyśliłem trzecią. Jest mi teraz strasznie potrzebny ktoś, kto tego wysłucha i powie mi wreszcie, że to chała, bo w przeciwnym razie nie wiem co będzie. Sam tego jakoś nie czuję i walę jedną rzecz za drugą. I wiesz, mam uczucie, że wszystko to tylko tak, drobiazgi, a w głowie dojrzewa już coś planetarnego, takiego, że mnie samego strach bierze.

Chciałem zadać mu pytanie, ale on nie dał mi dojść do słowa.

– Siadaj! – komenderował, pchnął mnie na kanapę i wziął gitarę.

Z początku po prostu się dziwiłem, że Alikowi tak dobrze wychodzi dość skomplikowany wstęp, a potem usłyszałem jego śpiew. Siedziałem i patrzyłem na niego szeroko otwartymi oczami. Ludzie prawosławni! Co tu się wyprawia? Czy to ten sam Alik Czerniajew, z którym wczoraj jak to się mówi „odwalaliśmy dyskuchę"? Kiedy on się nauczył tak grać? Kto mu ułożył te słowa i taką muzykę? Nigdy w życiu nie doświadczałem czarnej zazdrości, ale kiedy Alik skończył, przyznaję, że byłem zazdrosny.

– To twoje? – spytałem ostrożnie.

– Nie, hydraulika wzywałem – odpowiedział Alik. – No jak, może być?

No proszę! On się jeszcze zastanawia, czy może być! Przecież z tym można złote płyty odwalać i jeździć na występy do Liverpoolu! Tylko coś tu jest nie tak. Mógłbym przysiąc, że wczoraj wieczorem Czerniajew czegoś takiego jeszcze nie potrafił. Nie był w stanie zrobić czegoś takiego, nie miał do tego techniki ani szkoły. To przecież samouk, wykształcenie muzyczne zdobywa w domu i na próbach, tak jak ja i Witia-basista, tylko Polina jest u nas profesjonalistką. Co prawda, Alikowi od dawna mówią, że ma talent. Poważni ludzie mu to mówią, nawet go dokądś zapraszali, ale przecież nawet najbardziej utalentowany talent musi się długo uczyć, wszystko przychodzi stopniowo.

No, już ja wiem, kto tu przyłożył ręki! Jak tylko mi oświadczył, że zwariował, to już wiedziałem, a teraz... To te ślicznotki!

– To bomba – powiedziałem Alikowi z całą powagą. – Ty sam może tego nie czujesz, ale mnie możesz wierzyć. Zresztą ty i tak nie jesteś w stanie zrozumieć, jakie to znakomite.

Alik był zadowolony.

– A teraz posłuchaj drugiej – powiedział.

– Poczekaj chwilę. Powiedz, zauważyłeś wczoraj te nowe dziewczyny?

– Chodzi ci o te, o których szeptaliście z Wowką? Zauważyłem.

– A nie zapoznałeś się z którąś?

– Jakby ci powiedzieć?... Zatańczyłem z jedną, ale nic nadzwyczajnego. Była jakaś zastraszona, jakby pierwszy raz znalazła się wśród ludzi. Ani słowa nie potrafiła z siebie

Więc tak. Ten biedak nic nie zauważył. Ale rezultat jest namacalny, jestem pewien, że to ich robota. Trzeba...

Tu moje rozmyślania przerwał Alik drugą pieśnią. Po chwili tarzałem się po kanapie dusząc się ze śmiechu. Ten typ napisał kuplety! W życiu nie słyszałem czegoś podobnego, każda linijka była lepsza od poprzedniej, a wszystko razem śmieszne do rozpuku. Alik skończył, a ja jeszcze zanosiłem się ze śmiechu, zgięty w pół, wycierając łzy. Czerniajew wyraźnie sycił się moim widokiem.

– Niezłe, co? – zapytał skromnie.

Zresztą było po mnie widać, że niezłe. Pomimo niezwykłych wydarzeń towarzyszących mi od rana uśmiałem się serdecznie czując, jak stopniowo uwalniam się od nagromadzonego w ciągu dnia zmęczenia. Ulżyło mi i poczułem chęć uczestniczenia w oszałamiających przygodach, szukania ich, wychodzenia im naprzeciw. Alik był uszczęśliwiony efektem swojego występu. Nareszcie przekonał się, że to, co spłodził, podoba się nie tylko jemu, że to rzeczywiście coś dobrego. Zaproponował, żeby na próbę zapisać choćby jedną piosenkę, żeby naszkicować główne partie i przesłuchać, co z tego wychodzi. Nie mogłem mu odmówić i zaczęliśmy rozstawiać aparaturę.

Był najwyższy czas, żeby mu o wszystkim opowiedzieć. Już nawet otworzyłem usta, kiedy nagle przyszło mi coś do głowy. „Stój – pomyślałem. – Co ty właściwie chcesz mu powiedzieć? Chcesz mu wytłumaczyć, skąd się wziął jego dzisiejszy wybuch talentu? Powiesz mu, że on tu nie ma nic do rzeczy, że wszystkiemu są winne jakieś niesamowite dziewczyny zsyłające na jednego zarazę a na drugiego dar boży. I przedstawisz mu dowody. A jeżeli on uwierzy? Co ma wówczas robić? Siedzieć i czekać aż im się znudzi, przekręcą kontakt i wszystko minie? U ciebie wyłączy się telewizor, westchniesz i powiesz: „Szkoda! Ciekawe było zjawisko", a co ma robić Czerniajew? Nie, nie trzeba mu nic mówić, nawet nie wspominać, ani o mnie, ani o Wowce. Diabelskie pannice!..." Machnąłem na wszystko ręką i zacząłem pracować nad swoją partią.

Tak zmitrężyliśmy do zmroku. Zrobiliśmy kilka próbnych zapisów. Wyszło doskonale. Czerniajew przechodził sam siebie, stale zadziwiał mnie swoimi pomysłami. O siódmej z żalem włożyłem palto i ruszyłem do domu. Długa droga, zatłoczony autobus – wszystko przeszło niezauważalnie. Dopiero wysiadając przypomniałem sobie, że nie wiem, co zwojował Wowka i pośpieszyłem do domu.

Po wejściu do klatki schodowej usłyszałem głośny szloch i dostrzegłem w kącie zgarbioną, wstrząsaną dreszczami postać. Podszedłem bliżej, przyjrzałem się i nagle poznałem... Antochę Taraszczuka! Mnie też przeszedł dreszcz, kiedy sobie przypomniałem, jak znikł na moich oczach. Ciekawe, co przy tym czuł? Aż strach pomyśleć. A może jednak tylko mi się przywidziało?

– Ej, Antocha – powiedziałem. – Czego płaczesz?

Przestał szlochać i podniósł wzrok. Chyba długo nie mógł mnie poznać.

– Ludzie sobie żyją – przeciągnął ze smutkiem. – A ze mną koniec!

Znów zapłakał intonując wiązankę przekleństw.

– Zaczekaj! – przerwałem mu. – Mów z sensem, co ci się przydarzyło?

– Zapiłem się – wyszlochał Antocha. – Zapiłem się do białej gorączki. Dzisiaj było tak, że aż strach pomyśleć. Nie wytrzymam, jeśli jeszcze raz coś takiego, to się zabiję! Tak będzie lepiej dla wszystkich...

Ze zdziwieniem stwierdziłem, że Antocha jest całkowicie trzeźwy. Mówił wyraźnie, był tylko strasznie zdenerwowany. Alkoholem od niego nie zalatywało.

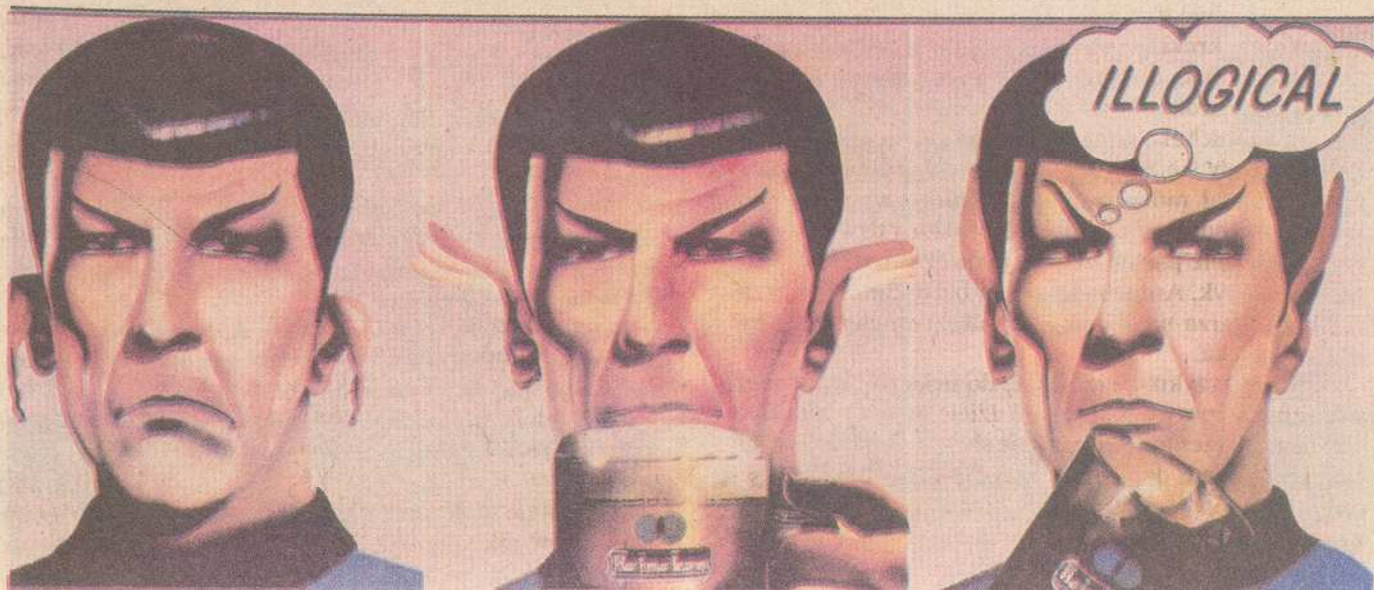
– Poczekaj, nie rycz! – Miałem powody, żeby nie wierzyć w delirium Antochy. – Jechałeś dzisiaj w dzień autobusem?

Spojrzał na mnie szeroko otwartymi oczami.

– A ty skąd...

Philip Castle





mnę, a ty mówisz – opowiadaj! Może ja w tym autobusie pół życia straciłem. To tam się wszystko zaczęło. Wypiłem trochę. Stoję sobie przy drzwiach, nikogo nie ruszam. Nagle jakby coś mnie uderzyło! W oczach mi pociemniało i więcej autobusu nie widziałem, a znalazłem się...

Antocha opowiadał strasznie chaotycznie, powtarzał kilkakrotnie to samo i wybiegał w przód, ale stopniowo odtworzyłem sobie jego przygodę.

Ocknąwszy się Antocha stwierdził, że siedzi na betonowej podłodze. Z początku pomyślał, że trafił jak zwykle na milicję, ale rozejrzawszy się zrozumiał, że się myli. Znajdował się... w pustym, zimnym betonowym korytarzu o płynnej krzywiźnie, tak że widoczność sięgała na dziesięć metrów w przód i tyleż w tył. Żadnych drzwi w ścianach nie było. Antocha wstał i zadarł głowę, ale w suficie też nie było żadnego otworu, przez który mógłby tu wpaść. Dotknął ściany i kopnął ją lekko. Ściana nie zareagowała. Była wilgotna, w rudych zaciekach i robiła wrażenie bardzo grubej. Antocha odwrócił się i ruszył korytarzem.

„Co za świństwo! – myślał gniewnie. – Ja im, cholerom, zaraz pokażę". Wydawało mu się, że jak tylko dotrze do ludzi, wytłumaczy komu trzeba, że z autobusu wysadzono go bezprawnie i zaraz go przeproszą i pokażą, jak się stąd wydostać. Zaczął sobie nawet na głos przepowiadać swoje przemówienie i tak się podniecił, że gdyby kogoś w tym momencie zobaczył, to mógłby go z rozpędu pobić. Jednak tajemniczy korytarz zdawał się nie mieć końca, a Antocha szedł już z dziesięć minut. Stanął i obejrzał się. Korytarz tak samo płynnie zakręcał z tyłu i z przodu, a wokół nic się nie zmieniało, jakby to było wciąż to samo miejsce. Nie zmieniało się nawet światło padające na ścianę zza zakrętów, jakby ktoś specjalnie przenosił jego źródło coraz dalej. Antocha ruszył przed siebie jeszcze szybciej i przez dwadzieścia minut kroczył korytarzem bez przystanku. Kiedy mu zabrakło tchu, przyszła mu do głowy interesująca myśl:

„Pies to trącał, przecież ja pewnie w kółko chodzę! Ale wymyślili, łobuzy!" Zatrzymał się, pomyślał, pogrzebał w kieszeniach i wyciągnął dawno oderwany guzik od marynarki. Położył guzik na podłodze i ruszył dalej. Teraz patrzył sobie pod nogi i jedną ręką dotykał ściany, żeby nie przegapić jakichś zamaskowanych drzwi. Po godzinie znudziło mu się. Guzika nie napotkał. Antocha machnął ręką i usiadł na podłodze. Opanował go żal i smutek. „Co to ma znaczyć? – myślał. – Gdzie też to mnie wepchnęli. Przecież jestem już głodny!... Hej, jest tam kto? Sierżancie! Tu jestem!" – Jego krzyk ginął, zdawało się, tuż za zakrętem korytarza. Wstał i znów poszedł, co jakiś czas pokrzykując i klnąc na czym świat stoi. W końcu dwugodzinna wędrówka wyczerpała Antochę. Był bezsilny wobec tego korytarza. Przytuliwszy się do ściany usnął wsłuchany w burczenie w brzuchu.

Obudził się z poczuciem niejasnego niepokoju. Gdzieś w niewyobrażalnej dali korytarza słychać było zbliżające się nieśpieszne kroki. Antocha zerwał się na równe nogi. Chciał krzyknąć, ale coś mu przeszkadzało. Coś dziwnego było w tych krokach, jakiś niesamowity, budzący lęk ciężar. Stał i słuchał czując coraz większy strach. Kamienne kroki zbliżały się nie przyśpieszając i nie zwalniając, ich rytm ugniatał mózg usuwając z niego wszystkie myśli. Wkrótce do odgłosu kroków dołączył inny dźwięk – równomierne sapanie parowozu. Co jakiś czas rozlegał się niski grzmot czy ryk. Antocha zastygł w bezruchu. Nagle zza zakrętu korytarza na ścianę padł olbrzymi cień. Nie był to cień człowieka.

Antocha krzyknął i rzucił się do ucieczki. Biegł niezbyt sobie zdając sprawę co się z nim dzieje, póki nie upadł z wyczerpania. Przez pewien czas nie słyszał nic prócz własnego oddechu, potem dotarło do niego, że kroków już nie słychać. Podniósł głowę i zastygł. Zobaczył na wprost siebie na murze krzywy napis *Antocha-wypiwocha*. Nieoczekiwanie całkiem blisko odezwał się zrzędliwy głos: „Popatrz, synek Wiery znów się schlał. Dał jej Pan Bóg podporę".

Antocha odwrócił się gwałtownie i stanął na nogi. Znajdował się na podwórku swojego domu, tuż obok swojej klatki. Matki wyprowadzały dzieci na spacer, na ławce, posyłając w jego stronę krytyczne spojrzenia, siedziały podwórkowe emerytki. Zmierzchało się i na ulicy paliły się już latarnie.

Strach rozwiał się razem z korytarzem. Antocha nagle poczuł chłód wieczornego powietrza, blask latarni i gwiazd, i w ogóle – że życie jest piękne. I jednocześnie przeraził się, uznał, że przeszedł delirium. „Boże – pomyślał Antocha – zapiłem się wreszcie. Zapiłem się do białych myszek!". Zrobiło mu się tak żal samego siebie, że się rozpłakał.

W takim właśnie stanie go znalazłem. Pozostawało mi tylko jakoś go uspokoić, nic mu nie wyjaśniając i odprowadzić go do drzwi jego mieszkania. Wróciwszy do siebie przykryłem narzutą niemilknący telewizor, usiadłem na kanapie i pogrążyłem się w myślach.

Więc to tak. Korytarz to silny środek. Aż strach pomyśleć. Przypomniały mi się słowa Leny: „Każdy dostanie to, na co zasłużył..." Widać Antocha zasłużył na ten swój korytarz. Widocznie on zasługuje na co innego, a Alik Czerniajew na co innego. A ja, na coś jeszcze innego. A Wowka... Tylko kto decyduje o tym, na co zasługuje Alik, a na co Antocha? Te nasze dziewczyny – ślicznotki? Depczą wszystkim po piętach i oceniają: grzeczny chłopczyk – dać mu cukierka, niegrzeczny – pod obcas go?...

A może nikt tu nie decyduje, nikt nikogo nie obserwuje, a wszystko dzieje się prawie samo? Może oni rzeczywiście przekręcili kontakt pozwalając spełniać się temu wszystkiemu, co powinno się spełniać i tylko miliony drobnych przypadków stały temu na przeszkodzie? Ciekawe, co?

Przecież Czerniajew ma talent, bez żadnych cudów! Wystarczyło więc odrobinę mu pomóc, uwolnić go od jakichś drobiazgów w świadomości zajmujących czas, zmuszających do przebijania się przez hałdy niepotrzebnych błędów, przesądów i licho jeszcze wie czego, i on sam, jak dobry uczeń, potrafił zrozumieć i dokończyć myśl nauczyciela.

Antocha? Jak wygląda jego życie? Czyż nie jest podobne, jak dwie krople wody, do tego korytarza z ograniczoną widocznością i nieskończoną monotonią ścian, podłogi i sufitu? Może on po prostu wpadł w ten ograniczony, mroczny świat, kiedy doszedł do takiego stanu, że bardziej był na miejscu tam, niż w naszym świecie, i czy fakt, że zdołał stamtąd wrócić, nie świadczy na jego korzyść? Może rzeczywiście ta wyprawa była dla niego zbawienna?

Wstałem i zacząłem chodzić po pokoju. Miałem uczucie, że jestem bliski prawdy. Jak się to dzieje? Tego na razie nie wiem, ale żadnych czarów w tym nie ma. Wiele jeszcze nie wiemy o naszym świecie. Może to czyjś eksperyment, a może działa tu jakieś jeszcze nie odkryte prawo przyrody. Jedno jest pewne: najbardziej nieprawdopodobne rzeczy wyrwały się na swobodę i hulają po całym mieście, a może już po planecie, ale nie są to ślepe żywioły niszczące życie i niosące śmierć na oślep, a wprost przeciwnie, wydarzenia ściśle uzależnione od świadomości człowieka, którego dotyczą. Niewykluczone, że można nimi nawet kierować. Jasne, że można! Nie wolno tylko dopuścić, żeby mózg zarósł tłuszczem, trzeba dążyć do zrozumienia siebie i świata, przeć do przodu, nieustannie tworzyć, przebudowywać, myśleć!

Podszedłem do okna. Tysiące światełek pełzało i migało po całym mieście. Co też tam się teraz dzieje? Czerniajew na pewno komponuje. To niewątpliwie tytan, a my z Wowką... No, cóż, na co zasłużyliśmy, to dostaliśmy. Tylko kto powiedział, że wszystko się skończyło? Sądząc z tego, co się dzieje, najważniejsze jest dopiero przed nami!

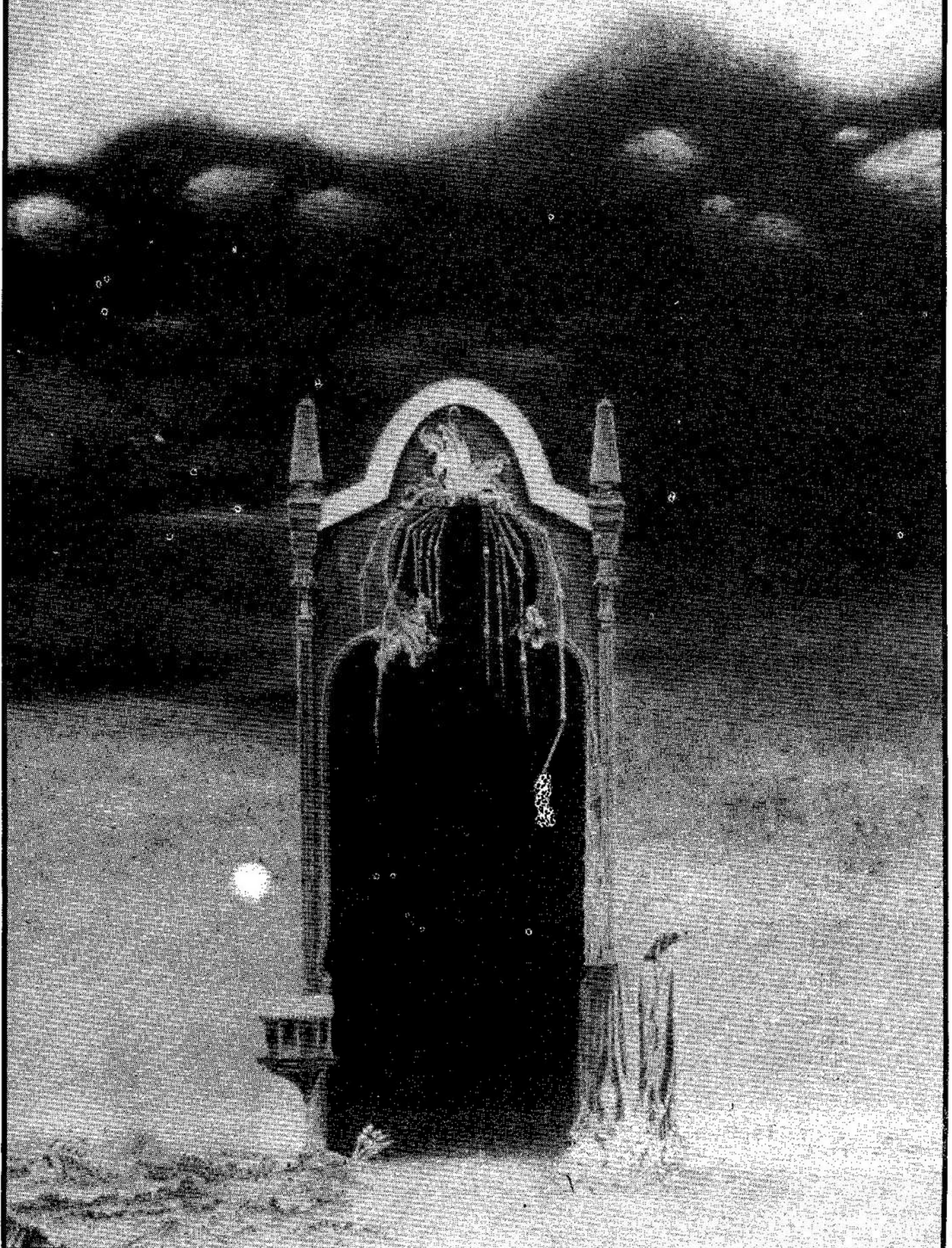
Nawiasem mówiąc, dotyczy to wszystkich. Was też. Tak że spodziewajcie się niezwykłych wydarzeń i pamiętajcie, że to, co się wam przydarzy, zależy tylko od was.

Przełożył Lech Jęczmyk

James Patrick Kelly

Taniec z krzesłami

(Dancing with the Chairs)



Janusz Kusmierczyk

Jack patrzył w lustro w męskiej toalecie u O'Briena i starał się przekonać sam siebie, że nie wygląda tak źle. Zacisnął mocniej węzeł jedwabnego krawata od Perry Ellisa – urodzinowy prezent od niej. Wyciągnął grzebień z tylnej kieszeni i poprawił włosy. Jeszcze parę miesięcy temu wyrywał siwe. Teraz było ich zbyt dużo. Cóż, niewątpliwie zobaczył w życiu parę rzeczy. Plamka zeschniętej krwi zebrała się na podbródku, gdzie zaciął się rano przy goleniu. Zanurzył palec pod strumień ciepłej wody i zmył strupek. Ale nic nie mógł zrobić z oczami.

Ktoś spuścił wodę. W długim lustrze Jack zobaczył przygarbionego mężczyznę w ciemnym garniturze, który wyłonił się z jednej z kabin i ociężale podszedł do rzędu umywalek. Garnitur był porządny, granatowy w białe prążki, chyba kamgarnowy, ale w jakiś sposób kojarzył się Jackowi ze starym, świeżo pomalowanym samochodem, jakby ubranie było jedyną rzeczą trzymającą biednego nieszczęśnika w całości. Tuż nad paskiem odpiął mu się guzik. A twarz mężczyzny była zmaltretowana jak zużyta torebka po herbacie. Wyglądał tak, jak Jack się czuł.

Kiedy facet namydlał ręce, spojrzał na odbicie Jacka i powiedział:

– Jest pan zakochany, prawda?

– Co? – Jack był zaskoczony. – Dlaczego pan to powiedział? – To było to, o czym właśnie myślał.

– Tak pan wygląda.

– To znaczy jak?

– Próbuje pan odnaleźć siebie w lustrach – mężczyzna odwinął papierowy ręcznik z dozownika. – Żonaty?

To nie było trudne do odgadnięcia, Jack nosił obrączkę. Przytaknął ostrożnie.

– Ale to nie ona.

W tym momencie Jack wiedział, że musi wyjść. Wynieść się do cholery. To nie w jego stylu zadawać się z takim typem. Poza tym, że facet miał rację.

– Nie – powiedział – nie ona.

Odkręcił gorącą wodę i przyglądał się swoim rękom, spłukując je.

Facet nie odezwał się, zanim Jack nie skończył.

– Ta kobieta... płakał pan przez nią kiedyś?

Jack żachnął się na absurdalność takiego przypuszczenia.

– Nigdy.

– A kiedy jest pan z nią w łóżku, czy kiedykolwiek wydaje pan, no jakieś, odgłosy?

Wtedy Jack wyszedł. Nie mógł uwierzyć, że w ogóle stracił tyle czasu zabawiając jakiegoś zboczeńca w męskiej toalecie. Pokręcił głową z niedowierzaniem. Dno.

Przeszedł przez hall do ciężkiego, dębowego podwyższenia, za którym była jadalnia. Stał tam kierownik sali sprawdzając nazwiska. U O'Briena zawsze w piątki było pełno. Sporo ludzi stało czekając. Jack minął ich. Kierownik uśmiechnął się bez przekonania, gdy wzruszając ramionami powiedział do Jacka, że może mu znaleźć miejsce natychmiast, ale wtedy nie może liczyć na stolik z widokiem na zatokę. Ten zwolni się za dziesięć czy piętnaście minut. Czy mógłby poczekać w barze? Jack zerknął na zegarek. Już była spóźniona. Obciągnął rękaw marynarki i odpowiedział, że poczeka.

Usiadł przy stole wielkości cadillaca i natychmiast zjawiła się kelnerka. Zamówił dla siebie manhattan. Pomyślał, czy nie poprosić zawczasu o margeritę, ale powstrzymał się. Susanne nigdy się nie spóźniała, to była jedna z cech, którą najbardziej w niej cenił. Była lepiej zorganizowana niż większość znanych mu mężczyzn. Doskonale wiedziała czego chce, a kiedy czegoś chciała, nie wahała się, żeby to sobie wziąć. Żadnych zbędnych ruchów. Był zachwycony, kiedy okazało się, że chce także i jego. Nieraz mówił jej, że był to największy wstrząs jego życia.

Zastanawiał się, co się jej mogło przytrafić. Dostał drinka i zaczął od zjedzenia wiśni, którą wyciągnął ze środka. Kiedy przychodził do restauracji z rodziną, zawsze musiał oddawać wiśnię któremuś dziecku. Znowu pomyślał o opuszczeniu dzieci. Zostawieniu Anny. Skreślić siedemnaście lat – czego? Kotletów wieprzowych, drętwych posiedzeń i kiepskiego seksu. Oddała mu najnudniejsze lata swego życia. Oczywiście wiedział, że każe mu za nie zapłacić. Będzie musiał łożyć na dzieci, może i na nią. Straci dom i te niewygodne, antyczne meble. Sączył drinka. I z Panem Bogiem. Pomyślał, że poradzi sobie. Jeżeli powie Susanne dzisiaj, może będą mogli być razem już przed końcem tego tygodnia i w następnym tygodniu, i w następnym. Szczęśliwi na zawsze, w świecie bez końca, amen. To wydawało się możliwe. Pociągnął następny łyk. To wydawało się nawet bardzo możliwe.

Mężczyzna w granatowym garniturze osunął się na sąsiednie krzesło.

– Przepraszam, jeżeli pana uraziłem.

Jack spojrzał na niego lodowato.

– To miejsce jest zajęte.

Jednak mężczyzna usiadł.

– Nie wiem, co mi się stało. Nie byłem sobą – oparł głowę na rękach. – Tak naprawdę, byłem nikim. Niech pan posłucha, odejdę zaraz jak tylko ona przyjdzie. Dobrze? Proszę pozwolić mi posiedzieć minutę. Nie musi pan nic mówić, ani nawet słuchać. Po prostu... proszę.

Jack przesunął krzesło odwracając się do dziwaka plecami. Nadal czuł niepokój. Miał dość swoich kłopotów. I jakim cudem ten facet wiedział, że on czeka na Susanne? Kolejne szczęśliwe trafienie? Może nie wystarczy go nie zauważać. Może powinien zawołać kogoś, żeby go wyrzucił? Ale nie chciał znaleźć się w samym środku awantury, kiedy Susanne wreszcie nadejdzie.

– Żona zostawiła mnie jakiś miesiąc temu. Nic nie podejrzewałem. Powiedziała, że spotyka się z kimś, że się zakochała. Zacząłem się nad tym zastanawiać. Gdzie byłem ja, kiedy ona była z nim? Myślę, że w jakimś nie istniejącym świecie. W strefie zmierzchu.

Jack patrzył jak barman napełnia kufle piwem. Nie do wiary, że facet tak się do niego przykleił. Nie chciał tego – nie teraz.

– Myśli pan pewnie, że jestem wariatem. Wiem. Problem w tym, że nadal nie mogę ustalić, co się stało. – Wciągnął głęboko powietrze. – Tak przy okazji, nazywam się Frank.

Cisza.

– No dobra – powiedział Frank. – Wiem, że pana denerwuję, ale czy nie mógłby pan dla mnie czegoś zrobić. Pomogłaby mi szkocka z lodem.

Wreszcie Jack zrozumiał o co chodzi. Facet po prostu naciągał na darmowe drinki. Drobny pijaczek – nie wiedział nawet biedny skurczybyk co, u diabła, ani do kogo mówi. Jack odwrócił się chcąc mu odmówić, kiedy zobaczył, że Frank przesuwa po stole dwudziestodolarowy banknot. Nie mógł też nie zauważyć złotego Rolexa na jego przegubie.

Nie wziął pieniędzy.

– Dlaczego nie kupi pan sobie sam?

– Wydaje mi się, że nikt mnie nie zauważa. – Frank sięgnął po serwetkę Jacka. – Może jak tym pomacham. – Potrząsnął dłonią i serwetka rozwinęła się. – Pijak w potrzebie. Przyślijcie Johnny Walkera.

Jack podniósł palec i kelnerka z drugiej strony sali odpowiedziała skinięciem. To było nieprawdopodobne, żeby nie zauważyła machania Franka. U O'Briena obsługa była nawet zbyt natrętna. Kręcili się służalczo dolewając do szklanek wody, zabierając brudne popielniczki, zmieniając srebrne sztućce. Czasami chciało się, żeby pozwolili zjeść w spokoju.

Kelnerka przecisnęła się do ich stolika. Jack czekał, żeby Frank coś zamówił. To było dziwne, widziała, że Jack ma manhattan, a przed Frankiem nie stoi nic, najwyraźniej jednak oczekiwała zamówienia od Jacka. Wreszcie odezwał się:

– Szkocka na lodzie. Podwójna. I jeszcze jeden manhattan.

Kiedy kelnerka odeszła w stronę baru, popchnął dwudziestodolarowy banknot Franka w jego stronę.

– Dzięki – powiedział Frank. – Ostatnio czuję się... nie wiem jak to... jakby nierealnie. Jak duch. Czasami boję się, że coś powiem, ale nikt nie zwróci na mnie uwagi. Czuł się pan kiedyś w ten sposób? Nie, na pewno nie. Kiedyś myślałem, że jestem prawdziwy. Byłem. Pracowało dla mnie dwudziestu ludzi. W 1988 zarobiliśmy prawie trzy miliony dolarów. Mam dzieciaka, gra na skrzypcach. Zaczęliśmy go uczyć jak miał trzy lata. Metoda Suzuki, wie pan. W zeszłym roku wziął udział w Krajowym Złocie Muzycznym w Michigan. Mówią, że może się dostać do Julliarda. I przez cały czas żona mówiła mi, że mnie kocha. Wierzyłem jej, oczywiście. Po co miałaby kłamać? – oderwał róg koktailowej serwetki, zwinął ją w małą kuleczkę i wrzucił do popielniczki. – A potem coś takiego się zdarza i okazuje się, że nie istniejesz. Jak zapis w komputerze, ktoś uderza w klawisz i jesteś skasowany. Na twoim miejscu jest już coś innego.

Pojawienie się drinków przerwało jego tyradę. Jack wpatrywał się w bar pragnąc, żeby zjawiła się Susanne wybawiając go z tej opresji.

– Dziękuję – powiedział Frank do kelnerki. W żaden sposób nie mogła go zignorować, jednak zrobiła to. Bolesny wyraz przebiegł mu przez twarz. Jack widział, że facet jest na krawędzi załamania. Kelnerka położyła rachunek na stole. Uśmiechnęła się, jakby oczekiwała od Jacka wysokiego napiwku i szybko odeszła.

Ręka Franka trzęsła się, kiedy podnosił szklankę do ust. Płyn wydawał się go uspokajać.

– Przepraszam za to, co powiedziałem w klo. O odgłosach. Po prostu staram się wszystko sobie ułożyć. Chcę ustalić, czego we mnie zabrakło. Myślałem, że ja to moja praca. Ale teraz zdałem sobie sprawę, że jesteśmy w biurze jak... części. Wymienne, tak po prostu – strzepnął palcami. – Gdybym miał przyjaciół, może by im mnie brakowało. Ale tak naprawdę ich nie mam. To znaczy znam mnóstwo osób, ale nikt z nich nie ma pojęcia, kim jestem.

Jack pozwolił, żeby ręka opadła mu poniżej blatu stołu i przekręcił nadgarstek, żeby sprawdzić, która godzina. Nie chciał, żeby Frank wiedział, że zerka na zegarek. Zaczęło mu być żal tego faceta. Musi być z nim rzeczywiście źle, jeżeli robi z siebie takiego głupca.

– I myślałem, że ja to moja rodzina. Ale dzieciak ma siedemnaście lat i myśli tylko o muzyce. Zajęty jest tworzeniem siebie. A żona... – Frank napełniał popielniczkę małymi kulkami z serwetki. – Tej nocy kiedy się rozstawaliśmy, powiedziała coś. O odgłosach. Zawsze mówiła, że kiedy jesteśmy razem w łóżku, nie rozmawiam z nią. Tej nocy powiedziała, że gdybym chociaż wydawał jakieś dźwięki, to już byłoby coś. Znaczyłoby, że tam jestem. A gdzie u diabła miałem być. A potem zacząłem się zastanawiać: o jakie dźwięki jej chodziło? Czy chciałaby, żebym chrapał, czy co? A może jodłował?

Jack uśmiechnął się na przekór sobie.

– To jest tak jakbym w ogóle nie istniał. Mam czterdzieści cztery lata i nagle zdaję sobie sprawę, że nic we mnie nie ma.

Naokoło ludzie opowiadali dowcipy, śmiali się, plotkowali, zrywali umowy, flirtowali, planowali wakacje. Bar był pełen hałasów, ale Jack słyszał jedynie okropne milczenie Franka.

– Mężczyźni tego nie robią, prawda? Nie mówią o tym. – Frank wysączył resztę drinka. – Zastanawiam się, dlaczego? – wpatrywał się w pustą szklankę, jakby tam mógł znaleźć odpowiedź. – Powiedziałem za dużo, wiem. Ale trzymałem to w sobie od czasu... – pokręcił głową, jakby chciał zatrzeć pamięć. – Więc powiedz mi o niej. O twojej prawdziwej miłości. Jak to jest, kiedy jesteś razem z nią?

Może to dwa manhattany naruszyły rezerwę Jacka. A może fakt, że Frank wywalił całe swoje wnętrze przed nim na stół w barze u O'Briena zrobiło na Jacku wrażenie.

– Jest bystra i twarda, i bardzo ruchliwa. Być z nią to najbardziej podniecająca rzecz na świecie – powiedział, myśląc, że pomoże biednemu skurczybykowi, kiedy ten usłyszy jak dobrze jest być z odpowiednią kobietą. – Niczego z tym nie można porównać. Nigdy nie czułem się tak żywy, jak wtedy, gdy jestem z nią.

Frank nie słuchał.

– Julia – powiedział. – Moja żona ma na imię Julia.

Jacka zirytowało to wtrącenie, mógł mówić o Susanne godzinami. I wtedy spostrzegł ją, stojącą w drzwiach i nic więcej się nie liczyło. Zerwał się z krzesła.

– Przepraszam, muszę iść.

W nagłym odruchu pochylił się i uścisnął rękę Franka.

– Powodzenia.

Frank skinął głową.

– Dzięki. – Na jego twarzy widać było mokry ślad. – Wzajemnie.

Jack przepychał się przez tłum ludzi skłębionych przy barze jak robactwo. Miał wrażenie, że specjalnie zastawiają mu drogę. Wreszcie ściskał ją.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziała.

Czuł ciepło jej policzka na twarzy. Jego ręka odruchowo sięgnęła jej biodra. Na jej widok czuł taką ulgę, że na początku nie mógł wymówić słowa.

– Długo czekałeś?

Jack zdał sobie sprawę, jak bardzo opowieść Franka wytrąciła go z równowagi.

– Sam nie wiem – powiedział, nie wiedząc czemu szeptem. – Spotkałem faceta, wypiliśmy razem drinka. – Pomyślał, że najlepiej będzie zapomnieć o tej rozmowie. Nie zawracać sobie tym głowy. To był problem Franka. Obejrzał się w stronę stolika. Franka nie było. Susanne oparła rękę na jego plecach.

– Chodźmy jeść – powiedział przepuszczając ją przed sobą.

Siedząc przy najlepszym stoliku u O'Briena miało się niezwykły widok. Chmury dryfowały po niebie koloru bławatków, a zatoka przybrana była w naszyjnik z perłowych jachtów. Słońce załamywało się na falach i rozsypywało po całej wodzie. Ale Jacka nie interesowała ta sceneria, zbyt był zajęty podziwianiem Susanne. Miała na sobie kostium w kolorze beaujolais i białą jedwabną bluzkę spiętą pod szyją srebrną różą, tam gdzie mężczyzna nosiłby krawat. Jej włosy były ciemne jak kawa. Kiedy spotkał ją po raz pierwszy, były krótko obcięte, ale kiedy stali się kochankami, pozwoliła im odrosnąć. Dla niego. Teraz sięgały do ramion i Jack był pewien, że to najbardziej zadziwiające włosy na całym świecie.

Nie mógł się powstrzymać, żeby nie pomyśleć o tym, jak pierwszy raz jedli przy tym stole, nazajutrz po wspólnej nocy. Powiedziała mu wtedy, że chciałaby kiedyś wyjść za mąż, mieć dziecko i przynieść je w takie miejsce jak to, żeby wszyscy je mogli zobaczyć. Może podnieść je w górę. Oczekiwałaby aplauzu. Jack miał zamiar jej to kiedyś przypomnieć.

Kelner zatrzymał się, żeby powiedzieć, jakie poleca im dania: homara kedgeree, filety z soli w sosie migdałowym, paprykę nadziewaną kurczęciem i placek ze szpinakiem.

James Patrick KELLY

Amerykanin, ma 38 lat i jak sam podaje, mieszka w domu zasilanym energią słoneczną (solar house). Jest autorem trzech powieści „Planet of Whispers" (Planeta szeptów, 1984), „Freedom Beach" (Plaża Wolności, 1985), i „Look into Sun" (Spojrzenie w słońce, 1989) oraz przeszło trzydziestu opowiadań i wierszy. Niektóre z nich kandydowały do nagród Hugo i Nebula. Tłumaczony we Francji, RFN, Włoszech i Japonii.

L.J.

Gdy zapytał, czy chcą się czegoś napić, Jack zwrócił się do Susanne:

– Ja już mam dosyć – rzucił jej przy tym swój najlepszy uśmiech, ponieważ nie chciał, żeby jego słowa zabrzmiały jak przyznanie się do winy.

Podniosła serwetkę, jakby ta była zrobiona ze szkła i nie odezwała się. Kelner z ironicznym uśmieszkiem patrzył przez okno, dopóki Jack nie przerwał ciszy, zamawiając to co zwykle: stek w pieprzu, średnio wysmażony. Susanne poprosiła o dużą sałatę, ale tak jakby robiła to wyłącznie przez grzeczność. Kelner pospiesznie odszedł, a Jack poczuł się nagle przestraszony perspektywą zostania z nią sam na sam.

– Starałem się z tobą skontaktować przez cały zeszły tydzień – powiedział. – Twoja sekretarka poinformowała mnie, że jesteś chora.

– Nie, wszystko w porządku. Wagarowałam i malowałam mieszkanie.

– Zostawiłem ci wiadomość.

– Wiem.

Odchylił się w tył.

– Więc co to ma oznaczać?

– Rozmyślałam.

– Przez trzy dni? O czym?

Przerwał im kelner, przynosząc koszyk z pieczywem i gałkę sera. Póki nie odszedł, starali się nie patrzeć na siebie.

– Po prostu było mi już niedobrze na widok barwy skorupki jajka – powiedziała. – Przypominała mi beżowy wystrój mojego biura. Spędzam w biurze cały dzień, martwię się biurem wracając do domu i co mnie czeka, kiedy tam wracam? Czasem nawet śpię ze swoim biurem – rzuciła mu krzywy uśmiech. – No więc wściekłam się. Sypialnia jest teraz brzoskwiniowa, a salon żółtozielony, myślę, że ten kolor nazywa się polny.

– Susanne, ja się martwię.

Uważnie przyjrzała się swoim dłoniom.

– Myślałam o nas. O tym co mówiłeś, że chcesz opuścić Annę.

– Mam zamiar tak zrobić. Zdecydowałem się. To właśnie chciałem ci powiedzieć. – Sięgnął do koszyka i wziął ciepłą bułeczkę z rodzynkami. – Myślę, że powiem jej o tym dzisiaj.

– Nie rób tego. – Susanne mówiła do swojej łyżki, ze spuszczoną głową.

– Muszę – Jack starał się zachować spokój. – Już czas. Chciał, żeby spojrzała na niego. Czego się obawiała? – Myślałem, że już to uzgodniliśmy.

Cisza.

– Susanne, o co chodzi?

Pokręciła głową.

– Ja nigdy nie powiedziałam tak. Na tym polega problem, Jack. Ty ustaliłeś wszystko za nas. Jeżeli nic nie mówię, myślisz, że to oznacza zgodę. Może usłyszysz, jak powiem nie.

– Susanne, muszę to zrobić, jeżeli mamy zamiar być razem.

Wydała dźwięk, który mógł być śmiechem, ale gdy podniosła głowę, zobaczył, że płacze. Chciał sięgnąć przez stolik, zatrzymać te łzy. Nie chciał, żeby płakała, ani teraz, ani nigdy. To było dla niego ważne.

– Nie wiem, co ci powiedzieć, Jack.

Uśmiechnął się współczująco.

– Powiedz po prostu, że mnie kochasz.

– Nikogo nie kocham – pokręciła głową i zauważył jak pasemka jej wspaniałych włosów zahaczają się o wełniany materiał kostiumu. – Chcę kochać kogoś. – Przypomniał sobie jak te włosy igrały z jej nagimi ramionami, jak rozsypywały się po białej poduszce. – Ale nie kocham.

Zmienił zdanie. Pomyślał, że jest bardzo odważna płacząc w takim miejscu jak O'Brien. Ludzie patrzyli na nią, ale ona nie zwracała na nich uwagi. Jej zapłakana twarz wyglądała tak wzruszająco. Kochał ją jeszcze bardziej.

– Ale ja ciebie kocham – powiedział. Sięgnął przez stolik w jej kierunku. Widziała jego rękę, ale nie dotknęła jej. Teraz moja miłość wystarczy dla nas obojga. Będę czekał, aż ty ją poczujesz.

Wytarła oczy serwetką i zapatrzyła się w okno.

– Kiedy chodziłam do szkoły, malowaliśmy domy. Wakacyjna praca, ja zajmowałam się wnętrzami. Nosiłam wielkie kombinezony, które wyglądały jak po eksplozji w fabryce farb. Nieraz sama się malowałam, tak dla zabawy. Teraz już nie robię takich rzeczy. Porządkowałam wczoraj sypialnię i zastanawiałam się, dlaczego? Poczułam nagle potrzebę... nie wiem. Zamalowałam na brzoskwiniowo okna... szyby... żeby nikt nie mógł zajrzeć. Nie lubię osoby, którą jestem, Jack. Myślę, że dziewczyna w umazanych spodniach nie chciała wyrosnąć na kogoś takiego jak ja.

– Nic się z tobą nie dzieje złego. Susanne, dla mnie jesteś wszystkim.

– Nie chcę być dla ciebie wszystkim. Chcesz zbyt dużo. Jestem po prostu osobą – i to nie bardzo inteligentną. A ty byś chciał, żebym była dla ciebie całym światem. Nie mogę. To za dużo. Więcej, niż ktokolwiek jest w stanie uczynić.

– Możemy być razem. Jestem gotowy. Myślałem, że tego właśnie chciałaś.

– Już nic nie wiem, Jack. Wiem co chcą inni, ale już nie wiem czego sama chcę. – Położyła rękę na jego dłoni. – Nie mogę być z tobą. Przykro mi.

– Mój Boże, Susanne, ja cię kocham. Czy to nic nie znaczy? Czy ty mnie nie słyszysz?

– Wiesz, nazywali mnie Susie, a ja nie miałam nic przeciwko temu. – Jej twarz stwardniała. Odsunęła się od niego. – Nie mogę cię więcej widywać.

– Nie zgodzę się na to – powiedział i w tym momencie kelner przyniósł ich obiad. Kiedy postawił sałatę, Susanne wstała i wyszła.

Przed Jackiem pojawił się stek na pieprzu, średnio wysmażony. Paliły go oczy jakby stał przy ogniu. Przeżył przez ostatnie chwile więcej niż przez poprzednie dziesięć lat. Czuł się źle – prawie nie do wytrzymania. Ratował się wyobrażając sobie, że stoi po przeciwnej stronie portu i ogląda sam siebie przez lornetkę. Tylko dzięki temu udało mu się nie rozpłakać. Ukroił kawałek steku i przesunął go po talerzu. Był pewien, że wszyscy patrzą na niego, ale kiedy wreszcie odważył się podnieść wzrok, zobaczył ludzi jedzących obiad, w ogóle nie zwracających na niego uwagi. Ukroił więcej mięsa. Kelner prześlizgnął się obok, niosąc homara kedgeree i paprykę nadziewaną kurczakiem. Nic nie świadczyło o tym, że był właśnie świadkiem tragedii.

Jack z ulgą odciął jeszcze jeden kawałek mięsa. Był bardzo uważny, kroił z dokładnością chirurga. Jaka szkoda, że nie był głodny. W pracy na pewno nikt nie wiedział o jego romansie. Bardzo uważał. Nikt o nim nic nie wiedział, a on nie płakał. Odłożył nóż i przez chwilę patrzył przez okno starając się przypomnieć sobie, co Susanne zamówiła, kiedy po raz pierwszy siedzieli przy tym stoliku. Najlepszy stół u O'Briena. Skończone, pomyślał. O nie, jeszcze nie zrezygnował. Nie mogła tak myśleć naprawdę. Tak ulegać nastrojom, to nie było w jej stylu. Nie była sobą. Powinien był starać się ją uspokoić – o co chodziło z tą całą farbą?

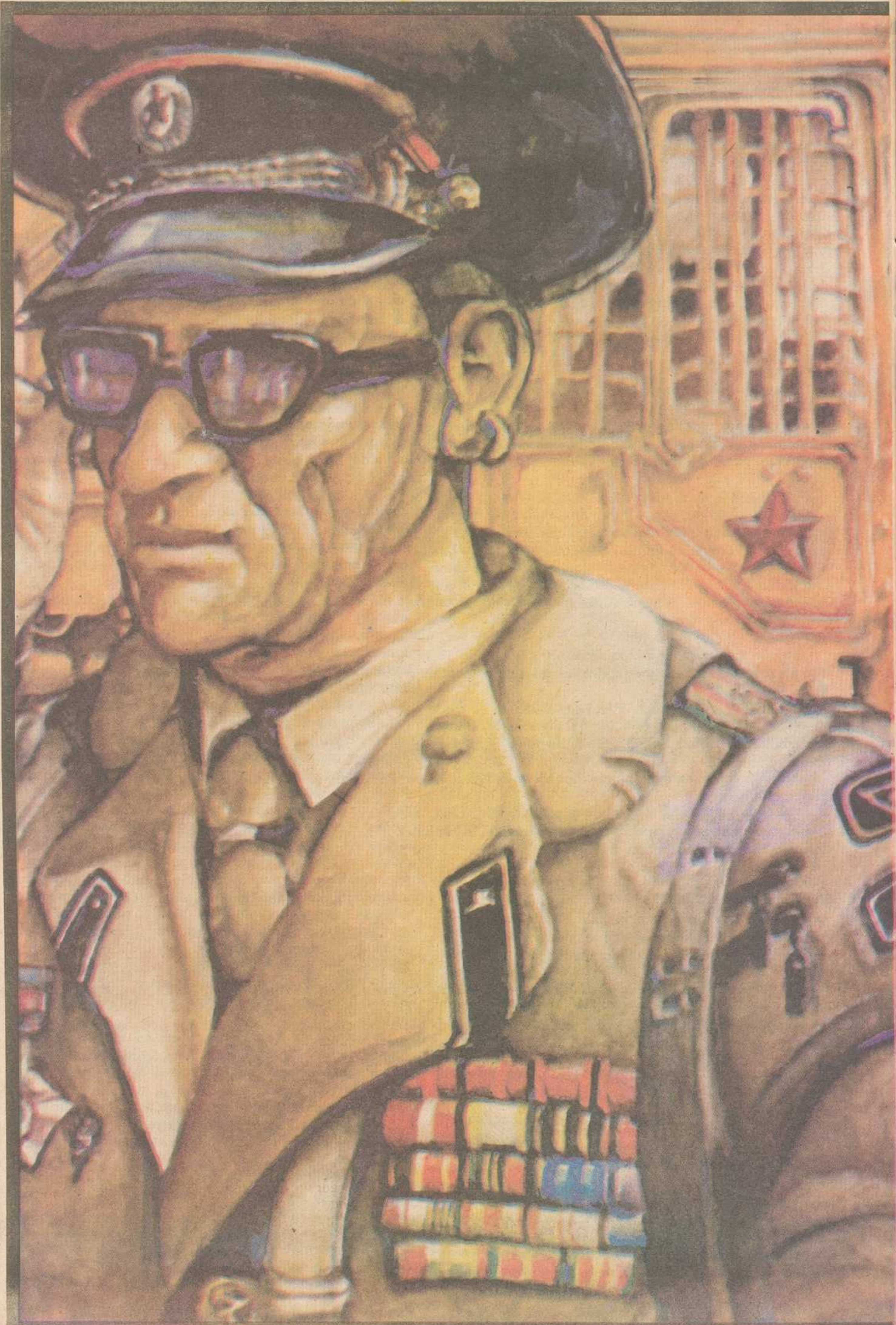
Dopiero kiedy kroił ostatni kawałek steku, zauważył plamy ściętego tłuszczu. Zdał sobie sprawę, że stracił poczucie upływającego czasu i rozejrzał się w panice po restauracji.

Dwóch mężczyzn w szarych fartuchach sprzątało pustą salę. Chłopak o kędzierzawych, jasnych włosach układał krzesła na stołach. Miał na uszach Walkmana i podczas pracy kołysał biodrami i ramionami w rytm jakiejś swojej własnej melodii: punkowy Fred Astaire tańczący policzek przy policzku z drewnianą Gingers. Starszy mężczyzna, mniej więcej w wieku Jacka czyścił odkurzaczem dywan w drugim końcu sali.

– Hej? – zawołał Jack. – Hej! Gdzie się wszyscy podziali?

Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Chłopak tańczył z krzesłami.

Przełożyła Dorota Malinowska



Krzysztof Gawronkiewicz

Ian Watson

POWRÓT DO DOMU

(Returning Home)

Bogu dzięki pas startowy był wolny. Widocznie załoga Aerofłotu wylądowała tuż przed wybuchem bomby neutronowej nad jej głowami, ale system nerwowy pilota działał jeszcze przez chwilę, pozwalając mu skierować maszynę z pasa na trawę – chyba że po prostu wpadł w poślizg.

Tak czy owak, lądowaliśmy jak po maśle. I całe szczęście, jeżeli uwzględnić, że za naszymi plecami tłoczyło się przeszło trzydzieści milionów bezdomnych Amerykanów. W samolocie było nas dwustu – drugi Iliuszyn miał nadlecieć po kilku godzinach.

Najpiękniejsze było to, że nie czekała na nas delegacja Chińczyków. A więc te kanadyjskie skurczybyki jednak nie kłamały. Chińczycy nie przelali się przez granicę i nie zajęli tego kawałka Związku Sowieckiego. Nie wiadomo dlaczego byliśmy przekonani, że Chińczycy tego nie zrobią. Było to tak, jakby duch, który nami kierował, obiecał nam tę ziemię i zachował ją dla nas.

Pozostawiając Grupę Czerwoną na lotnisku, reszta z nas zorganizowała kilka autobusów, uruchomiła je i konwojem ruszyliśmy do centrum Chabarowska, gdzie zajechaliśmy przed Hotel Dalekowschodni na ulicy Karola Marksa – równie dobre miejsce na tymczasową kwaterę jak każde inne.

Na ulicach nie widziało się zbyt wielu wysuszonych mumii. Same ulice wyglądały dość czysto i schludnie. Ludzie woleli widać umierać w swoich norach, jeżeli tylko udawało im się tam na czas dotrzeć…

Kazałem Hankowi Sullivanowi, żeby ze swoim pododdziałem przeszukał hotel i przeniósł wszystkie znalezione ciała do jednego pokoju. Rozdzieliłem zadania następnym grupom, kiedy zawołała mnie Mary.

– Greg, chodź tutaj! – krzyknęła wymachując słuchawką staromodnego telefonu. Początkowo nie miałem zamiaru zabierać Mary w nasz pierwszy lot. Tych dwustu ludzi stanowiło czołówkę techniczną, a Mary nie była marynarzem, mechanikiem ani maszynistą lokomotywy. Ale była znakomita w trudnych sytuacjach i niech mi kto powie, że przyrządzenie gulaszu z ryb i wiewiórek albo zupy grzybowo-pokrzywowej bez garnka i pieca nie jest osiągnięciem technicznym. Jakie więc cuda mogła robić dorwawszy się do radzieckiej kuchni! Ulegliśmy zatem jej naleganiom, zostawiliśmy małą Suzie w dobrych rękach na Magadanie i Mary przyleciała z nami jako oficer zaopatrzeniowy. Wciąż jeszcze była bardzo wychudzona – jak i my wszyscy – a jej jasne włosy nabrały barwy mysioszarej. Ale kochałem ją jeszcze bardziej po tym wszystkim, przez co razem przeszliśmy.

– Co się stało?

– Greg, ten telefon działa!

Podbiegłem do niej, wszyscy odwrócili się w naszą stronę i



Philip Castle



Bo ten cholerny kochany stary telefon czerpał skądś energię – pewnie z jakiejś elektrowni wodnej nadal produkującej automatycznie energię.

– Ej, Billy Donaldson! – krzyknąłem na drugi koniec holu. – Rusz no tyłek za kontuar recepcji i poszukaj tam drugiego telefonu. Powiedz jaki masz tam numer.

Rudowłosy Billy podciągnął długi radziecki płaszcz wojskowy i przekroczył przez kilka wyschniętych trupów w pogniecionych, zakurzonych garniturach i sukniach, uważając, żeby nie nadepnąć na nie butami.

Kiedy pierwsza grupa zwiadowcza przebyła Cieśninę Beringa, natychmiast po dotarciu do pierwszej radzieckiej placówki wszyscy zrzucili łapcie z łyka i słomy oraz cuchnące okrycia z psich i krowich skór. Reszta półżywych, ocalałych Amerykanów gromadzących się na krańcu Alaski tego powojennego lata będzie musiała jeszcze trochę poczekać na przyzwoitą odzież...

Automat telefoniczny miał otwór na monety dwukopiejkowe, ale domyśliłem się, że do połączenia wewnątrz hotelu nie trzeba pieniędzy – jakby telefon sam mi podpowiadał jak z niego korzystać.

Billy krzyknął mi swój numer, który wykręciłem.

– Halo? Słyszysz mnie Billy? – spytałem cicho.

– Jasne.

Zasalutowałem do telefonu. Był to naprawdę fantastyczny moment. Miałem prawie uczucie, że dzwonię do domu do Stanów. Tyle że tam nie ma już telefonów. Ani miast. A jednak.

– Mówi generał Greg Berry! Dotarliśmy do Chabarowska. Znajdujemy się na trasie kolei transsyberyjskiej! Grupa Czerwona ustanowi od jutra most powietrzny do Magadanu. Grupa Biała wyruszy pociągiem do Władywostoku i jeżeli tam też nie siedzą Żółci – mam głębokie przekonanie jakby sam Bóg mi to powiedział, że ich tam nie będzie! – wtedy Grupa Biała popłynie na Alaskę największym okrętem wojennym, jaki będzie w stanie uruchomić. A Grupa Niebieska puści w ruch lokomotywy na trasie przez Syberię. Pełny ruch w interesie!

Przez chwilę wygłupialiśmy się przez telefon jak dzieciaki. Ale, oczywiście, wszystko to była prawda. Na twarzy Mary po raz pierwszy od Bóg wie kiedy pojawił się uśmiech.

Straszna była ta zeszłoroczna wojna, ale przynajmniej teraz wiedzieliśmy, że ją wygraliśmy – i to na zawsze.

Ukoronowaniem amerykańskich poszukiwań nie niszczącej broni nuklearnej, która nie rujnowałaby bogactw świata, była świeżo wprowadzona na uzbrojenie Bomba Promieniotwórcza. Stanowiła ona taki postęp w stosunku do Bomby Neutronowej lat osiemdziesiątych, jak Bomba Neutronowa w stosunku do nieporęcznej Bomby Wodorowej.

BP nie powodowała prawie żadnych zniszczeń na skutek podmuchu lub gorąca; jeżeli wybuchła zgodnie ze wszystkimi regułami w powietrzu – w ogóle żadnych. Ale jej krótkotrwałe promieniowanie było wprost niewiarygodne, nie dając przy tym żadnego efektu wtórnego. Jedna BP zrzucona na Moskwę zabiłaby wszystko co żyje w mieście i okolicy – może z wyjątkiem karaluchów – pozostawiając wszystkie fabryki i bloki mieszkalne, biura, sklepy, muzea i cerkwie nietknięte.

Kreml, rzecz jasna, skrytykował to natychmiast jako „superkapitalistyczną broń", która oszczędza własność a zabija ludzi. I ujawnił swoją własną cudowną broń, którą nazwał „bombą socjalistyczną".

Sam diabeł musiał przyłożyć rękę do konstrukcji tej socbomby. Jej skutki były znacznie bardziej okrutne.

Nie wiem dokładnie, na czym to polegało, bo zabrakło nam czasu, żeby sklecić jakąś teorię, ale w zasadzie bomba wytwarzała podatomowe pole wibracji, zapewne na poziomie kwarków, działające na wszelką materię nieożywioną przetworzoną przez człowieka, noszącą ślad jego działania. Socbomba nie okazywała żadnego działania na żywą tkankę, krajobraz, minerały w ziemi a nawet żywność, choć niszczyła pojemniki. Za to rujnowała czasoprzestrzeń zawierającą wszystkie zrobione lub przekształcone przedmioty w swoim zasięgu. Gwałtownie zmieniała ich cząstki w cząstki wirtualne, które znikały z rzeczywistości, pojawiając się, być może, gdzie indziej w naszym lub w innym, równoległym wszechświecie. W przeciągu paru minut przedmioty ulegały rozmiękczeniu, traciły kontury i znikały.

Innymi słowy, w chwilę po zrzuceniu takiej socbomby na Nowy Jork nie byłoby ani śladu Nowego Jorku, tylko puste miejsce z milionami ogłupiałych gołych ludzi. Tak, bylibyśmy nadzy i bezbronni, zmuszeni przyjąć okupację i pomoc.

To znaczy ci z nas, którzy nie zginęliby, kiedy rzeczy znikały. Sowieci twierdzili, że mielibyśmy cztery minuty, żeby się ratować, ale co mogła zrobić załoga i pasażerowie samolotu znajdującego się w powietrzu? Posypaliby się ze stratosfery. Albo urzędnicy na pięćdziesiątym piętrze wieżowca? Stwierdziliby, że pod ich bosymi stopami nie ma już pięter. Albo marynarze spadający do oceanu ze statku, który znikł? Albo maszynista rozpędzonego pociągu?

Takich ludzi mogły być miliony.

A to był dopiero początek okrucieństwa. Ilu ludzie zginęłoby w następnych tygodniach z zimna i głodu – wśród stosów gnijącej żywności – z braku pomocy lekarskiej i z wielu innych powodów?

I jeszcze mieli czelność nazwać to bombą „humanitarną"! Przecież to oznaczałoby zniszczenie wszelkich śladów ludzkiej cywilizacji. Wszystkich słynnych obrazów, autostrad i stacji benzynowych, wszystkich pojazdów kosmicznych. Wszystkich laboratoriów, szpitali, desek surfingowych i rafinerii nafty, centrów handlowych, każdej puszki z piwem i każdego telewizora. Statui Wolności, Disneylandu, mostu nad Złotymi Wrotami.

Kto zaczął wojnę? Na pewno Sowieci. Pewnie myśleli, że uda im się nas zaskoczyć.

W ciągu niecałej godziny USA i ZSRR użyły wszystkich swoich bomb.

Wszyscy Sowieci przestali istnieć.

A my zostaliśmy nadzy i bosi, bez niczego, poza tym, co mogliśmy zrobić sami gołymi rękami.

I nikt nie przybył nam z pomocą. Boże, jak oni musieli nas nienawidzieć! Reszta świata odwróciła się do nas plecami. Traktowali nas jak naród morderców, poczas gdy my też ginęliśmy masowo. Żadne zagraniczne statki nie przybijały do naszych nagich brzegów. Żadne samoloty nie lądowały na naszych lotniskach. Meksykanie odtrącali nas z pogardą, jak słyszałem. Kanadyjczycy odgrodzili się od nas płotem i zbudowali szeroki, ograniczony elektrycznymi przewodami korytarz, jak podwójny mur berliński przez Kolumbię Brytyjską do Alaski. Dali nam do zrozumienia, że nie chcą nas widzieć.

Ale Bóg był widocznie po naszej stronie. Coś, jakaś siła wyższa, podpowiedziała nam co robić i jak.

Jest naród, który został bez grosza przy duszy. I jest bezkresny kraj całkowicie opróżniony z ludzi, pełen pustych miast i fabryk, lotnisk i portów.

Złóżmy te dwie rzeczy razem i co otrzymujemy?

Otrzymujemy cały naród wędrujący w jedynym możliwym kierunku – ku wszystkim tym dobrom niezbędnym mu do przetrwania.

Otrzymujemy drżącą z zimna, głodną masę ludzką odzianą w psie skóry, ciągnącą na północ pnie drzew, żeby zbudować tratwy i dłubanki, i przepłynąć Cieśninę Beringa, podczas gdy pierwsi pionierzy prą już na południe, łodziami, małymi samolotami i wojskowymi łazikami, żeby dotrzeć do jakiegoś ludzkiego miejsca i stamtąd zaopatrywać trasę dla swoich następców.

Otrzymujemy największą migrację w dziejach ludzkości.

I podobnie jak w przypadku migracji zwierzęcych jest w tym coś instynktownego, niemal sterowanego, jakby wzywał nas jakiś głos z miejsca przeznaczenia. I jakby nadawał też do wszystkich innych! Bo Chińczycy, niczym jacyś przesądni chłopi, trzymali się z dala od Związku Radzieckiego. Władywostok leży jeszcze bliżej Chin niż Chabarowsk, ale byłem przekonany, że również Władywostok zastaniemy pusty. Przyznaję, że nie mogłem mieć co do tego stuprocentowej pewności, póki nie dotrzemy do Chabarowska. Teraz jednak –

jak to już powiedziałem wcześniej w hotelu – czułem taką pewność, jakby sam Bóg mi to podpowiedział. Ten kraj był przeznaczony dla nas, zwycięzców, od zeszłego roku już na zawsze, od lśniącego Pacyfiku do lśniącego Bałtyku.

Później, ponieważ wieczór był piękny a ludzie zrobili więcej niż można było od nich oczekiwać, zarządziłem cztery godziny odpoczynku.

Billy, Hank i ja wzięliśmy z hotelowej kuchni butelkę Stolicznej i poszliśmy w miasto. Mary oświadczyła, że jest zmęczona i pójdzie wcześnie spać, ale podejrzewam, że chciała dać nam szansę upicia się w męskiej kompanii.

Ruszyliśmy więc aleją Lenina do placu Lenina podziwiając po drodze najgłupsze rzeczy: samochodziki na pedały przy zarośniętych chwastami klombach, wózki z lodami, rzędy jaskrawoczerwonych automatów z lemoniadą, w których na dnie zaschła słodka masa i oczywiście, pomnik tego faceta w czapce z daszkiem, wychylonego ku przyszłości z agresywnym wyrazem twarzy... Hank wdrapał się na pomnik i usiadł mu na ramionach, zachęcając go do szybszego marszu.

Poszliśmy do parku za stadionem Dynamo, ale wygoniły nas stamtąd komary, wybraliśmy się więc oglądać wystawy. Może to trochę głupie jak na trzech dorosłych chłopów, zwłaszcza, że towar był kiepskiej jakości, ale, na Boga, wreszcie prawdziwe wystawy a na nich – rzeczy!

Trafiliśmy na delikatesy. Gastronom. Nabieraliśmy wprawy w odczytywaniu nazw ulic i budynków w zwariowanym rosyjskim alfabecie.

– Nigdy nie jadłem kawioru – powiedział Billy i odbiło mu się.

– Może znajdziemy parę puszek – powiedziałem.

Weszliśmy do środka. Mumia, którą uznaliśmy za ekspedientkę, wskazywała kościstym palcem w przybliżeniu na prawą półkę. Inne mumie, w garniturach, wytartych jesionkach i w mundurach, leżały stłoczone wokół stoiska z alkoholami, obeszliśmy więc to miejsce z daleka. Hank zgarnął kilka małych puszek, jedyny towar, jaki był na półce.

– Dziękuję pani – zachichotał nerwowo Billy, podałem mu więc butelkę z wódką, żeby się podreperował.

Zabraliśmy puszki do restauracji, w której nie było zbyt wiele zwłok, i włączyliśmy oświetlenie. Działało, podobnie jak wcześniej telefon, było nawet zbyt jasne. Widocznie Rosjanie przywykli do rozmów z reflektorem świecącym w oczy. Nieco już podpici usiedliśmy przyglądając się puszkom i menu nagryzmolonemu ręcznie ołówkiem.

– Obsługa się tu nie śpieszy – zażartował Hank i wyjął z kieszeni swojego sowieckiego munduru otwieracz, który rzucił na stół. – Pójdę poszukać czegoś do picia – powiedział i ruszył do kuchni.

Zająłem się puszkami, a Billy przeglądał menu mrugając oczami jak sowa.

– Borszcz – przesylabizował ze zdziwieniem, jakby menu nagryzmolone przez pijanego pająka podpowiadało mu słowa. – Sałat iz krabow... musimy się tego nauczyć, co, Greg? Jeżeli mamy mieszkać w Rosji przez resztę życia.

– Wiesz, że chyba masz rację. – Kiwnąłem głową. – Nie będziemy w stanie pozmieniać wszyskich tablic informacyjnych...

– Planów, list i instrukcji...

– I tak dalej. Nieprędko przetłumaczymy je na angielski. Jeżeli w ogóle to będzie możliwe.

Wrócił Hank tryumfalnie niosąc nową butelkę z czerwonym drapaczem chmur na etykiecie. Bardzo podobnym do amerykańskich budowli z lat trzydziestych... tyle że ten drapacz chmur był prawdopodobnie jakimś państwowym biurowcem w Moskwie, a Moskwa nadal istniała.

Zabawialiśmy się jeszcze przez jakiś czas, aż usłyszeliśmy z ulicy odgłos klaksonów i wytoczyliśmy się na zewnątrz. W naszą stronę zmierzała parada zwycięstwa. Za kierownicą pierwszego samochodu rozpoznałem Dave'a Weinstocka. Spojrzałem na zegarek. Dave niewątpliwie zgodnie z instrukcją wracał do hoteku Dalekowschodniego przytomnie zagarnąwszy po drodze kilka dodatkowych pojazdów i trąbiąc na zbiórkę. W kawalkadzie były autobusy, ciężarówki a także dwa samochodowy osobowe, których chłodnice przetrzymały ubiegłą zimę. A może i nie przetrzymały, ale ponieważ jechały tylko kawałek po mieście, nie zdążyło się to ujawnić. Czekała nas masa roboty, jeżeli mieliśmy używać Wołg i Żyguli tak jak do zeszłego lata używaliśmy Chevroletów i Mustangów. Ryczały wszystkie klaksony.

Panował hałas jak na paradzie z okazji święta 4 lipca.

Hank wyszczerzył zęby.

– Mogą pobudzić zmarłych, co?

Skrzywiłem się. Byłem w nieco łzawym nastroju po wódce – bardzo w rosyjskim stylu, zapewne. Humor mi się poprawił, gdy tylko dołączyłem do parady, wskakując na ciężarówkę.

Wziąłem od Hanka butelkę i podniosłem ją wysoko.

Wasze zdrowie, chłopaki! Za nowe bogactwo!

– Za koleje i wódkę! – krzyknął Billy. – Za telewizory i papierosy! Za krzesła i kiełbasę! Za... za róg obfitości!

Nie wiedziałem, że mój przyjaciel Billy zna się na mitologii.

– Za cywilizację!

Złapałem Billy'ego z całej siły za klapy. Przed chwilą zapaliły się automatycznie latarnie uliczne i na wielkiej włochatej twarzy Billy'ego rozbłysły krople potu.

– Pobiliśmy komuchów, Billy! Oni zniszczyli wszystko, co posiadaliśmy, my zniszczyliśmy ich. Wygraliśmy!

Śmialiśmy się i płakaliśmy na przemian klepiąc się po plecach. Zdaje się, że major Billy Donaldson ucałował mnie w oba policzki, ale litościwie złożyłem to na karb alkoholu.

Następnego ranka zebraliśmy się wszyscy przed hotelem. Przybyło nas, bo w nocy przyleciało drugim Iljuszynem następne dwieście osób.(Iljuszyn, którym my przylecieliśmy i jeden Tupolew poleciały już z powrotem do Magadanu). Pilot drugiego Iljuszyna, kapitan Tom Quinn, przyjechał do miasta rozejrzeć się i przespać. Rozzłościłem się, bo nie miał prawa opuszczać lotniska, ale rozbroił mnie swoją chłopięcą radością życia.

– Przecież to jest jak lądowanie na Marsie! Tak jest, na Czerwonej Planecie! Wiecie, trochę się bałem prowadzić to komunistyczne pudło, ale to było tak, jakby ten samolot leciał sam. Spokojna głowa. – Miał na sobie mundur po sowieckim pilocie z jakimś medalem na piersi.

– Wszystko to bardzo pięknie, kapitanie, ale teraz proszę natychmiast wracać na lotnisko.

Ten dzień miał być dniem kolei. Wzywała Transsyberyjska. Wwaliliśmy się wszyscy na ciężarówki i do autobusów i ruszyliśmy ulicą Karola Marksa na dworzec.

W drodze ktoś zaintonował „When the saints come marching in" i po chwili śpiewali wszyscy, a kiedy nasz konwój przejeżdżał przez plac Lenina piosenka sama przeszła w „Maryland my Maryland". Potem wszyscy jak na komendę zapomnieli słowa i dalej już tylko mruczeli melodię zgodnym chórem.

– Mary, my Mary...! Mary dokonała cudów ze śniadaniem... i ta gorąca kawa... Palce lizać.

–...a sztandar ludu jest czerwony – usłyszałem pojedynczy głos wśród ogólnego mruczenia. Spojrzałem groźnie na śpiewaka i natychmiast zamilkł.

Wszędzie było pełno czerwonych flag. Pomyślałem, że przez jakiś czas wszystkie te dekoracje będą musiały pozostać. To mnie przywiodło do myśli o przetopieniu wszystkich pomników tego człowieka na coś pożytecznego, choćby monety. Przyjemnie byłoby znów poczuć drobne w kieszeni, mimo że na razie wszystko mieliśmy za darmo.

– Hej, Hank – zawołałem. – Czy myślałeś, jak rozwiążemy sprawę pieniędzy?

Hank roześmiał się i wyciągnął z kieszeni garść rubli.

– Będziemy używać tych.

– A co z dolarami i centami, jak Boga kocham?

– Czy masz jakiś bilon, żeby zrobić z niego odlewy? Masz matryce, z których mógłbyś drukować banknoty?

– Za granicą są przecież miliardy dolarów.

– Przeważnie elektroniczne pieniądze. Zresztą teraz nie miałyby żadnej wartości. Cudzoziemcy nie utrzymują z nami stosunków. A tutaj – roześmiał się – jakby ktoś rzeczywiście zaciągnął żelazną kurtynę, inaczej roiłoby się tutaj od ludzi.

– Może ONZ podjęła rezolucję, żeby obłożyć Związek Sowiecki kwarantanną? – powiedział Billy.

– Tak jak wszyscy obłożyli kwarantanną Amerykę – z goryczą uciął Hank.

– Może boją się, że jakiś chytry komputer odpali jeszcze jakieś ukryte socjalistyczne bomby.

Hank pochylił się ku Billy'emu.

– Nikt nie potrafi oddychać tym powietrzem, tylko my. Mówię ci. – Pokazał rosyjskie pieniądze. – Dlatego myślę, że będziemy korzystać z tej forsy, jak tylko się trochę zorganizujemy. Możemy nazywać ruble dolarami a kopiejki centami.

– Łatwiej będzie nazywać je rublami i kopiejkami – zauważył Billy. – Tak jest na nich napisane. Po co mącić dzieciom w głowie.

Billy wpadł w zachwyt, kiedy tylko wsiedliśmy do jedego z zielonych wagonów pociągu „Wostok", stojącego na peronie ogromnego dworca. Martwiliśmy się, że wiele pociągów mogło być w drodze, kiedy wybuchły bomby promieniotwórcze, i potem pędziły bezmyślnie przez lasy i stepy. Tutaj jednak stał „Wostok", czekający na nas, gotów do drogi.

Luksusowy to było nie to słowo. Weszliśmy do prawdziwego pałacu na kółkach. Mosiężne okucia. Mahoniowe ramy i poręcze. Grube tureckie dywany na podłodze. Złociste zasłony w oknach. Czerwone pluszowe siedzenia, nawet te składane na korytarzu.

– Rany boskie, zupełnie jak jakiś luksusowy transatlantyk z lat dwudziestych! Grupa Biała pojedzie do Władywostoku w wielkim stylu.

Billy dotykał wszystkiego z zachwytem. Ja też. Ostatecznie marzyliśmy o czymś takim przez wiele miesięcy. A tutaj, proszę, gotowe do użytku, czeka.

– Musisz pamiętać – przypomniałem Billy'owi – że nie cały Związek Sowiecki jest taki jak to.

– No to co? Ale to są rzeczy, bracie, rzeczy, wspaniałe rzeczy! Las Vegas, Hollywood i wszystko, co nam zabrali!

Wreszcie Billy oderwał się od pomieszczeń dla pasażerów i mogliśmy dokonać oględzin czeskiej lokomotywy spalinowej.

W dwie godziny później Grupa Biała pod komendą Billy'ego wytoczyła się z Chabarowska wśród radosnych porykiwań ciągnących wagony CHS4. Przedtem obsadziliśmy nastawnię – chciałem powiedzieć załogą szkieletową, ale, oczywiście, taka to już tam była. Po wyjeździe z Chabarowska Grupa Biała będzie musiała przystawać i sama zmieniać zwrotnice.

Uruchomienie stacji okazało się niespodziewanie łatwe. Jakby prawo Murphy'ego przestało nagle obowiązywać. Urządzenia niemal same podpowiadały nam co z nimi robić.

Wszystko to działo się cztery bohaterskie miesiące temu.

Lato było nieoczekiwanie długie, a jesień na północy świata nietypowo łagodna. A to, czego my dokonaliśmy, można chyba porównać z budową kolei transsyberyjskiej albo Bratskiej elektrowni wodnej.

Przeprawiliśmy do Władywostoku na znakomitych sowieckich okrętach wojennych przeszło pięćdziesiąt milionów ocalałych Amerykanów. (Spóźnieni do ostatniej chwili docierali do Nome na Alasce. Zapewne następnej wiosny nadciągnie jeszcze jedna, mniejsza już fala uchodźców).

Rozmieściliśmy ich w samym Władywostoku i tutaj w Chabarowsku, dalej w dół rzeki w Komsomolsku i wzdłuż linii kolejowej w Czicie, Ułan Ude, w Irkucku nad brzegiem jeziora Bajkał i w Bratsku. Niektórzy dotarli nawet do Tomska i Nowosybirska.

Rzecz jasna wszyscy musieli dawać z siebie wszystko, każdy według swoich możliwości. Mimo to wszyscy przybraliśmy solidnie na wadze. Przyjęliśmy też nową modę, dostosowaną do syberyjskiej zimy. Chodzimy okutani w długie, grube płaszcze, w futrzanych czapach i nausznikach.

Udało nam się przywrócić gospodarkę pieniężną i zostaliśmy zmuszeni do stosowania tych cholernych kopiejek i rubli.

Pijamy wódkę i słodkiego szampana, bo to jest to, co możemy tu znaleźć lub wyprodukować. Jadamy czarny chleb, wędzonego łososia i kiszoną kapustę.

Przytupuję na peronie chabarowskiego dworca oczekując na pociąg z Irkucka o dziewiątej trzydzieści pięć. Mary, którą ostatnio zacząłem nazywać Maszą, ma bardzo pożyteczną i dość lekką pracę jako konduktorka. (Mała Sasza jest w żłobku, odbierzemy ją razem). Tory są zasypane śniegiem i w powietrzu jest pełno białych płatków – jakby niesionych wiatrem dusz...

Wreszcie nadjeżdża: duma Rosji, lampy przewiercają zamieć.

Na moim zegarku jest dokładnie czwarta trzydzieści pięć. Jak zwykle, pociąg przyjechał punktualnie.

Oczywiście według czasu moskiewskiego. Cała linia transsyberyjska zawsze działała według czasu moskiewskiego. Wprawdzie nie dotarliśmy jeszcze do Moskwy, ale jest to dobre przypomnienie, że Moskwa i Zachód czekają na nas.

„Rossija" gładko się zatrzymuje.

Masza opuszcza stopnie swojego wagonu i pasażerowie wysypują się na peron, kłęby pary z ich oddechów unoszą się jak z setki ruchomych samowarów. Wszyscy dźwigają tekturowe walizki i duże związane sznurkiem paczki z jedzeniem. Wkrótce zgłasza się zmienniczka Maszy i ona też wysiada.

Uśmiechnięta, choć nieco zmarznięta w swoim kolejarskim mundurze, podbiega do mnie.

– Grigorij! Grigoruszka!

Duchy...

Nagle ogarnia mnie przerażenie – jakby zasłona śniegu rozchyliła się gwałtownie aż do nieba ukazując trupią czaszkę Księżyca, który spada na Ziemię, żeby nas zmiażdżyć.

Kiedy nad Hiroszimą wybuchła pierwsza bomba atomowa, na ścianach odbiły się sylwetki ludzi – cienie zmarłych sfotografowane przez kulę ognia.

Na wszystkim wokół nas – na lokomotywach, rafineriach nafty, tartakach, zaporach wodnych, piekarniach i gorzelniach – są niewidoczne cienie sowieckich zmarłych. Przez krótką chwilę czuję, że każdy budynek, każda maszyna i przedmiot, którego używamy, jest żywy, nawiedzony. Lokomotywy, gastronomy, autobusy i traktory, biura, wózki z lodami i banknoty podpowiadają nam, co mamy robić i jak. Całe to otoczenie stworzone przez Rosjan wessało i przechowało ich dusze, które teraz wstępują w nas jak dybuki. Bo skąd inaczej to upodobanie wśród nas do rosyjskich słów i fraz, które szerzą się i wiążą w łańcuchy jakby same z siebie?

To dlatego Chińczycy tu nie przyszli. Ten kraj ich nie chciał. Chciał nas, żebyśmy tu mieli czas na pokutę.

Tyle że jest tu nas ciągle za mało. Będziemy musieli ciężko pracować, żeby odtworzyć nasz wielki naród...

Krótka zmora na jawie pryska, skoro tylko wpadam w krzepkie objęcia Maszy.

Po chwili Masza odsuwa się i patrzy na mnie zatroskana.

– Szto s toboj, Grigoruszka?

– Nic, Masza. Niczewo!

Przed nami wychyla się z kabiny maszynista.

– Cześć – woła do mojej żony. – Daswidanija, tawariszcz!

Ameryka jest dzika i bezludna, równie odległa jak sto tysięcy lat temu, zanim pierwsi Azjaci przebyli Cieśninę Beringa, żeby rozejść się po amerykańskich równinach jako Indianie. Ameryka jest zapomnianym kontynentem. Naszym krajem jest matuszka Rassija, a my jesteśmy jej dziećmi.

Do widzenia, setki milionów martwych dusz. Do widzenia i dzień dobry.

Masza bierze mnie pod rękę i odchodzimy. Jak dwie marionetki na scenie. Nie widać żadnych sznurków, które kierują naszymi ruchami, ale te sznurki są w naszych mięśniach i naszych nerwach. I w naszych mózgach.

Przełożył **Lech Jęczmyk**

Philip Castle
Niklowane Anioły



Philip Castle urodził się w 1942 roku w Yorkshire (Wielka Brytania). Odebrał gruntowne wykształcenie artystyczne. Uczył się w Art School w Huddersfield, później studiował w Art Royal College w Londynie. Jak sam przyznaje w wywiadach, ciągle ścierają się w nim dwie natury. Z jednej strony bardzo lubi prace takich artystów jak Paul Hogarth, Milton Glaser, prace w stylu Push Pin Studio. Z drugiej zaś – nie potrafi zapomnieć również na przykład komiksów „Dan Dare" Franka Hampsona.

Najważniejszym zdarzeniem w jego życiu – jak twierdzi – było otrzymanie w dzieciństwie dziesięcioletniej prenumeraty czasopisma „RAF Flying Review". W tym upatruje źródła swojej miłości do samolotów, samochodów i różnych innych mechanizmów. Od najwcześniejszych lat gromadzi „popularne" czasopisma i komiksy. Ma setki pomalowanych jednolicie na srebrny kolor modeli samolotów i samochodów. *Chciałbym, aby cały świat był z chromu i niklu, ale na razie muszę poprzestać na swoich ilustracjach i samochodzie, który kazałem poniklować, łącznie z karoserią.* Uwielbia amerykańskie produkty z lat trzydziestych i pięćdziesiątych, które według niego *są bardziej ludzkie, mają osobowość.*

W ilustracjach, na których rysuję dziewczyny, zawsze chcę uchwycić coś z atmosfery pin-up girls, jakie od 1943 roku umieszczał na swoich łamach magazyn wojskowy „Yank". Myślę, że jest to jedyne właściwe podejście do tego. Od scen „ostrzejszych" i bardziej realistycznych jest fotografia.

Philip Castle pracuje głównie na zamówienie. Wykonuje projekty reklam, głównie samochodowych, plakaty filmowe, okładki do książek. Do swoich największych osiągnięć zalicza współpracę z miesięcznikiem „Vogue", plakaty do filmów Stanleya Kubricka „Mechaniczna pomarańcza" i Kena Russella „The Boyfriend" oraz reklamę piwa Heineken, w której wykorzystał zaprojektowaną przez siebie postać Mr Spocka z filmu „Star Trek".

Wiem, że niektóre z moich prac są nie najlepsze, czy wręcz kiczowate, ale właśnie za nie otrzymuję najwięcej pieniędzy, a więc to takich ilustracji ludzie najbardziej pragną. Więc kto tu ma zły gust?

W jednym z cykli swoich ilustracji pt. „Flying Scenes" Philip Castle umieścił samoloty pomalowane w niecodzienny sposób lub połączone z postaciami znanych aktorek. Sporo prac z tego cyklu poświęcił Ricie Hayworth i „latającym fortecom". *Proszę sobie wyobrazić, jak wielkie było moje zdziwienie, kiedy Muzeum Lotnictwa US, w bazie w Tucson zaproponowało mi pomalowanie bombowca B-17 ściśle według jednej z moich ilustracji.*

Tę krótką prezentację Philipa Castle'a, jednego z najważniejszych i najsławniejszych ilustratorów brytyjskich, zakończę jego słowami: *Nie wiem, czy to co robię jest jeszcze „sztuką". Ale jednego jestem pewien: ludzie to bardzo lubią.*

Andrzej Brzezicki

Royd utrzymuje, że jest dostatecznie silny, że właściwie już mnie nie potrzebuje, że sam potrafi utrzymać ją w ryzach. Być może, ale wątpię. Ciągle wygrywam z nim dziewięć z dziesięciu partii szachowych.

Są też inne rzeczy, które muszą być brane pod uwagę. Po pierwsze, nasza praca. Karoly byłby z nas dumny. Wkrótce wolkryn zanurzy się w mgłach Welonu Grzesznicy, a my lecimy w ślad za nim. Badając go, nagrywając, robiąc to wszystko, czego oczekiwałby po nas stary d'Branin. Wszystko jest w komputerze, również na taśmach oraz na papierze na wypadek, gdyby system miał być kiedyś wymazany. Interesującą rzeczą będzie zobaczyć jak wolkryn zareaguje na Welon. Materia jest tam tak gęsta w porównaniu z ubogą dietą z międzygwiezdnego wodoru, którą się dotychczas żywił przez nieskończone eony.

Próbowaliśmy się z nim porozumieć, ale bez rezultatu. Nie wydaje mi się, żeby on w ogóle był rozumny. A Royd ostatnio wpadł na pomysł naśladowania go i usiłuje, wytężając wszystkie siły, poruszyć ŻEGLARZA przy pomocy telekinezy. Czasami, choć to dziwne, jego matka mu w tym pomaga. Dotychczas wszystkie ich wysiłki spełzły na niczym, ale będziemy nadal próbować.

I tak toczy się nasza praca. Wiemy, że jej wyniki dotrą kiedyś do ludzkości. Royd i ja przedyskutowaliśmy tę sprawę i mamy plany. Zanim umrę, gdy będę wiedziała, że mój czas już się zbliża, zniszczę centralny kryształ i wyczyszczę pamięci komputerów, a potem ręcznie ustawię kurs ŻEGLARZA tak, żeby przebiegł w pobliżu jakiejś zamieszkałej planety. Wtedy ŻEGLARZ stanie się naprawdę statkiem duchów. To się uda. Mam mnóstwo czasu, poza tym jestem udoskonalonym modelem.

Nie dopuszczam do siebie myśli o innym rozwiązaniu, chociaż wiele dla mnie znaczy, że Royd ciągle od nowa je proponuje. Bez wątpienia mogłabym dokończyć napraw i być może Royd mógłby kontrolować statek i konynuować pracę beze mnie. Ale to nie jest ważne.

Pomyliłam się tak wiele razy. Esperon, urządzenia monitorujące, moja kontrola nad innymi – wszystko to moje klęski, cena za moje hybris. Klęski bolą. Kiedy wreszcie go dotknęłam, pierwszy, ostatni i jedyny raz, jego ciało było ciągle ciepłe. Ale on sam już odszedł. Nigdy nie czuł mego dotyku. Nie mogłam dotrzymać tej obietnicy.

Ale dotrzymam innej.

Nie zostawię go z nią samego.

Nigdy.

KONIEC

Na całym statku wyły syreny alarmowe. Pasażerowie zaczęli poruszać się niespokojnie. Melantha Jhi
wytoczyła się z hamaka i wybiegła na korytarz, naga, spięta, czujna. Zaspany Karoly d'Branin usiadł
łóżku. Psipsych, pogrążona we wzmocnionym proszkami śnie, wymamrotała coś niewyraźnie. Roja
Christopheris wrzasnął ostrzegawczo.

Gdzieś daleko rozległ się dźwięk skręcanego, dartego metalu i przez statek przebiegło gwałtowne drż
nie, wyrzucając lingwistów z hamaków, zbijając Melanthę z nóg.

W strefie dowodzenia ŻEGLARZA NOCY znajdowało się sferyczne pomieszczenie o białych, gładkic
ścianach, w jego centrum unosiła się mniejsza kula – główna konsola kontrolna. Gdy statek leciał hipern
pędem ściany były ślepe, gdyż spoglądanie na zwichrowaną, rozjarzoną podszewkę czasoprzestrzeni by
zbyt bolesne.

Jednak teraz w pomieszczeniu przebudziła się ciemność, ożyła holograficzna panorama, stała się w ni
zimna czerń i wszędzie gwiazdy, ostre, lodowate brylanty, bez góry, bez dołu, bez kierunków, z unoszą
się konsolą kontrolną jako jedynym wyróżniającym się elementem w symulowanym oceanie nocy.

ŻEGLARZ NOCY wrócił do normalnej przestrzeni.



Melantha Jhirl podniosła się i uderzyła w przycisk komunikatora. Sygnały alarmowe ciągle wyły i tru
no było cokolwiek usłyszeć.

– Kapitanie – krzyknęła – co się dzieje?

– Nie wiem – odpowiedział głos Royda. – Właśnie staram się zorientować. Poczekaj.

Melantha czekała. Karoly d'Branin wyszedł niepewnie na korytarz, mrugając i przecierając oczy. Ni
długo po nim pojawił się Rojan Christopheris.

– Co to jest? Co się stało? – spytał, ale Melantha tylko potrząsnęła głową.

Wkrótce nadeszli również Lindran i Dannel. Marij-Black, Alys Northwind i Lommie Thorne ciągle n
dawały znaku życia. Naukowcy spoglądali z niepokojem na gródź, blokującą dostęp do luku towaroweg

umer 3. W końcu Melantha poleciła Christopherisowi, żeby poszedł się rozejrzeć. Wrócił po kilku minu-ach.

– Agatha jest wciąż nieprzytomna – powiedział, używając całej mocy swojego głosu, żeby być słyszanym oprzez wycie alarmów. – Ciągle jest pod wpływem prochów. Jednak już się porusza. Krzyczy.

– Alys i Lommie?

Christopheris wzruszył ramionami.

– Nie mogłem ich znaleźć. Spytaj swego przyjaciela Royda.

Syreny alarmowe ucichły i komunikator znowu ożył.

– Wróciliśmy do normalnej przestrzeni – powiedział głos Royda – jednak statek jest uszkodzony. Luk zeci, czyli wasze pomieszczenie komputerowe zostało przedziurawione, gdy lecieliśmy hipernapędem. omputer pokładowy automatycznie wyprowadził nas z nadprzestrzeni, szczęśliwie dla nas, gdyż działa-ce tam siły mogły rozerwać na strzępy cały statek.

– Royd – powiedział Melantha – nie możemy znaleźć Northwind i Thorne.

– Zdaje się, że w chwili, w której luk został przedziurawiony wasz komputer był włączony i używany – owiedział Royd ostrożnie. – Nie mogę stwierdzić z pewnością, ale raczej zakładałbym, że obie kobiety nie yją. Na żądanie Melanthy wyłączyłem większość moich monitorów, zostawiając tylko te w mesie. Nie iem więc co naprawdę się wydarzyło. Jednak to jest niewielki statek i jeżeli nie ma ich z wami, musimy czyć się z najgorszym. – Przerwał na chwilę. – Jeżeli to może być jakimś pocieszeniem, umarły z pewno-cią szybko i bezboleśnie.

– Ty je zabiłeś – powiedział Christopheris, jego twarz była czerwona i gniewna. Chciał mówić dalej, ale lelantha zdecydowanym gestem nakryła mu dłonią usta. Lingwiści wymienili długie, znaczące spojrze-ie.

– Czy wiemy dlaczego to się stało, kapitanie? – spytała Melantha.

– Tak – odpowiedział z wahaniem.

Ksenobiolog zrozumiał wreszcie, czego od niego wymagano i Melantha cofnęła dłoń, żeby mógł oddy-hać.

– Royd? – spytała.

– To brzmi nieprawdopodobnie, Melantha – odpowiedział głos – ale zdaje się, że twoje koleżanki otwo-zyły bramę ładunkową luku. Oczywiście wątpię, żeby to zrobiły umyślnie. Starały się wykorzystać fakt ołączenia obu komputerów, żeby uzyskać dostęp do bazy danych ŻEGLARZA i do jego systemów kontro-ych. Zneutralizowały przy tym wszystkie systemy bezpieczeństwa.

– Rozumiem – powiedziała Melantha. – Straszna tragedia.

– Tak. Być może straszniejsza nawet niż przypuszczasz. Muszę dopiero ustalić rozmiar uszkodzeń, ja-ie odniósł mój statek.

– Nie będziemy cię zatrzymywać, jeżeli masz pilne obowiązki. Wszyscy jesteśmy wstrząśnięci i teraz tru-no jest spokojnie rozmawiać. Zbadaj stan swego statku, a do tej rozmowy wrócimy w bardziej odpowied-im czasie. Zgoda?

– Tak – odpowiedział Royd.

Melantha wyłączyła komunikator. Teraz, przynajmniej teoretycznie, urządzenie było martwe – Royd ie mógł ich słyszeć ani widzieć.

– Wierzysz mu? – warknął Christopheris.

– Sama nie wiem – powiedziała Melantha Jhirl. – Wiem jednak, że pozostałe trzy luki towarowe mogą ostać wyczyszczone równie skutecznie jak luk trzeci. Przenoszę swój hamak do kabiny. Proponuję, żeby i, którzy śpią w luku drugim zrobili to samo.

– To rozsądne – powiedziała Lindran skinąwszy szybko głową. – Możemy trochę się stłoczyć. Nie będzie

Trup wzleciał w powietrze, ręce zawisły przed nim bezsilnie. Melantha, okręcając się w nieważkości, zaczęła nagle i gwałtownie wymiotować. Zerwała hełm z głowy, pozwoliła mu opaść. Odsunęła się od swych wymiocin, starając się przygotować na nieuchronny teraz atak.

Ale ciało Lasamera unosiło się martwe i nieruchome, i w ciemnościach mesy nic się nie poruszało.

W końcu Melantha uspokoiła się nieco, podeszła niepewnie do trupa i pchnęła go, lekko i ostrożnie. Pożeglował w stronę odległej ściany.

– Royd? – powiedziała.

Nie było odpowiedzi.

Przecisnęła się przez wycięty w ścianie otwór.

I znalazła Royda. Wisiał w powietrzu, ciągle w czarnym, masywnym skafandrze. Potrząsnęła nim, ale się nie poruszył. Dygocząc, przyjrzała się skafandrowi i zaczęła rozpinać zamki. Potem go dotknęła.

– Royd – powiedziała – czujesz? Tutaj, Royd, jestem tutaj, czujesz? – Skafander ustępował łatwo, odrzucała od siebie jego części. – Royd, Royd!

Nie żyje. Nie żyje. Jego serce nie wytrzymało. Naciskała je, uderzała, starała się wbić w nie nowe życie. Bezskutecznie. Nie żyje.

Melantha odsunęła się od niego, oślepiona łzami, oparła się o konsolę, spojrzała w dół.

Nie żyje.

Ale dźwignia siatki grawitacyjnej była ustawiona na zero.

– Melantha – powiedział miękki głos ze ściany.

★

Trzymałam kryształową duszę ŻEGLARZA NOCY w dłoniach.

Jest głęboko czerwona, wielościenna, wielka jak moja głowa i lodowata w dotyku. W jej szkarłatnej głębi płoną, a czasem zdają się wirować dwie maleńkie iskry przyćmionego światła.

Wczołgałam się do wnętrza systemu, ominęłam ostrożnie wszystkie zabezpieczenia i cybernetyczne sieci, niczego nie uszkadzając, i położyłam dłonie na tym wielkim krysztale, wiedząc, że w nim właśnie żyje ONA.

I nie mogę się zdecydować na wymazanie go.

Duch Royda prosił, żebym tego nie robiła.

Ostatniego wieczora znowu rozmawialiśmy na ten temat, w mesie, nad brandy i szachami. Royd oczywiście nie może pić, ale przysyła swój hologram, który się do mnie uśmiecha i mówi mi jak mam poruszać jego figurami.

Po raz tysięczny zaproponował, że mnie odwiezie na Avalon albo na jakikolwiek inny świat. Jeżeli tylko wyszłabym na zewnątrz i dokończyła napraw, które porzuciliśmy tyle lat temu ŻEGLARZ NOCY mógłby bezpiecznie przejść na hipernapęd.

Po raz tysięczny odmówiłam.

On teraz, bez wątpienia, jest silniejszy. Ich geny są identyczne. Ich moc jest identyczna. On również, umierając, znalazł sposób odciśnięcia swego jestestwa w wielkim krysztale. Teraz statek żyje obojgiem z nich. Walczą często ze sobą. Czasami ona go przechytrza i wtedy ŻEGLARZ robi dziwne, nieprzewidywalne rzeczy. Grawitacja spada lub rośnie, lub całkowicie zanika. Koce owijają się w nocy wokół mego gardła. Z ciemnych kątów lecą na mnie różne przedmioty.

Jednak takie momenty zdarzają się ostatnio coraz rzadziej. Kiedy nadchodzą, Royd ją w końcu powstrzymuje albo ja to robię. ŻEGLARZ NOCY jest nasz, jego i mój.

Po drugiej stronie drzwi ciało zamarło w bezruchu. Skuter zadrżał, a potem, ze zgrzytem metalu, zaczął przesuwać się do tyłu krótkimi, nagłymi szarpnięciami, uwalniając się i usuwając z przejścia.

Psi. Melantha chciała przeklinać je i płakać. Bezsilnie zapragnęła posiadać tę moc, broń, która pozwoliłaby jej rozsadzić ożywionego telekinezą trupa, uwolnić się od groźby. Była ulepszona, myślała z desperacją, ale nie w dostatecznym stopniu. Rodzice podarowali jej wszelkie genetyczne dary, jakie były im dostępne, ale psi leżało poza ich zasięgiem. Geny, które tym rządziły były astronomicznie rzadkie, recesywne i…

– …i nagle doznała olśnienia.

– Royd – powiedziała, wkładając w słowa resztki kołaczącej się jeszcze w niej woli. Była zapłakana, mokra, przestraszona. – Dźwignia… użyj… telekinezy… Royd… przesuń ją… telekinezą!

Jego odpowiedź była niemal niesłyszalna.

– …nie… mogę… nie ja… matka… tylko… ona… ja… nie…

– Nie matka… – powiedziała z rozpaczą. – Ty zawsze… mówisz… matka. Zapomnij o tym… zapomnij. Słuchaj… to nie jest matka… jesteś klonem… te same geny… ty też ją masz… moc…

– Nie – odpowiedział. – Nigdy… musi być… ta sama… płeć.

– Nieprawda! Nie musi. Ja wiem… jestem… z Prometeusza, Royd… nie mów… Prometejczykowi… o genach… przesuń ją!

Skuter skoczył niemal pół metra i przechylił się na bok.

Droga do mesy była wolna.

Ciało Lasamera znów ruszyło naprzód.

– …próbuję… – powiedział Royd. – Nie… nie mogę!

– Ona cię… wyleczyła – powiedziała Melantha z goryczą. – Skuteczniej… niż ją… leczyli… przed urodzeniem… ale… to jest tylko… stłumione… możesz!

– Ja… nie… wiem… jak.

Trup stanął nad nią. Zatrzymał się. Bladoskóre ręce zadrżały, podskoczyły w górę. Długie, pomalowane paznokcie. Zakrzywione w szpony. Zaczęły się unosć.

Melantha zaklęła.

– Royd!

– …przep… raszam…

Łkała i dygotała, i bezsilnie zaciskała pięści.

Nagle, w jednej chwili, grawitacja zniknęła. Daleko, daleko rozległ się krzyk Royda, potem zapadła cisza.



– Błyski światła są teraz częstsze – dyktował Karoly d'Branin – a może to tylko wrażenie, które bierze się stąd, że jestem bliżej, że mogę je lepiej widzieć. Wybuchy indygo i głębokiego fioletu, krótkie i szybko gasnące. Pomiędzy niciami pajęczyny. Myślę, że jest ona rodzajem pola siłowego. Błyski są cząsteczkami wodoru, rozrzedzoną, ulotną materią międzygwiezdnych przestrzeni. Dotykają pola i na chwilę rozbłyskują widzialnym światłem. Przemiana materii w energię, tak, przypuszczam, że to jest właśnie to. Mój wolkryn odżywia się.

Wypełnia już połowę wszechświata i ciągle się zbliża. Nie uda nam się uciec, och, tak niedobrze. Agatha odeszła, jest cicha, krew spryskała zasłonę jej hełmu. Niemal mogę dojrzeć ciemny obszar, niemal. Widzę dziwną rzecz, tam w centrum jest twarz, mała, szczuropodobna, bez ust czy nosa czy oczu, jednak w jakimś sensie jest to twarz, i patrzy na mnie. Welony poruszają się tak zmysłowo. Wokół nas zawisa pajęczyna.

Ach, światło, światło!



to wygodne, ale wątpię czy po tym wszystkim udałoby mi się spać snem sprawiedliwego w dotychczasowym miejscu.

– Powinniśmy również zabrać ze składu w czwórce nasze skafandry – zasugerował Dannel – i trzymać je pod ręką. Tak na wszelki wypadek.

– Jeśli chcesz – odpowiedziała Melantha. – Jest zupełnie możliwe, że wszystkie cztery luki otworzą się nagle i jednocześnie. Royd nie może mieć do nas pretensji, że podejmujemy środki ostrożności. – Uśmiechnęła się niewesoło. – Po dzisiejszym dniu zasłużyliśmy sobie na prawo do działań nieracjonalnych.

– To nie jest właściwa pora na twoje pieprzone żarciki, Melantha – powiedział Christopheris. Jego twarz ciągle była czerwona, głos pełen strachu i gniewu. – Troje ludzi nie żyje, Agatha być może wpadła w obłęd albo katatonię, reszcie z nas grozi poważne niebezpieczeństwo…

– Tak. A my ciągle nie mamy pojęcia co się dzieje – podkreśliła Melantha.

– Royd Eris nas morduje! – wrzasnął Christopheris. – Nie wiem kim albo czy on jest, nie wiem czy historia, którą nam opowiedział jest prawdziwa i nic mnie to nie obchodzi! Może jest Hrangańskim Nadumysłem albo aniołem zemsty wolkrynów, albo powtórnym wcieleniem Chrystusa. Co to do cholery za różnica? On nas morduje! – Spojrzał na każdego z nich po kolei. – Każdy z nas może być następny – dodał. – Każdy z nas. Chyba że… musimy opracować jakiś plan, coś zrobić, żeby raz i na zawsze położyć temu kres.

– Zdajesz sobie sprawę – powiedziała cicho Melantha – że nie możemy być pewni czy nasz dobry kapitan naprawdę wyłączył swoje urządzenia monitorujące. W tej właśnie chwili może się nam przypatrywać i przysłuchiwać. Ale oczywiście tego nie robi. Powiedział, że nie będzie i ja mu wierzę. Jednak mamy na to tylko jego słowo. Rojan, ty, jak się zdaje, za grosz mu nie ufasz. Jeżeli tak, nie możesz przywiązywać wagi do jego obietnic. A z tego wynika, że z twego punktu widzenia nie jest rozsądnie mówić takie rzeczy, jakie właśnie powiedziałeś. – Uśmiechnęła się przebiegle. – Rozumiesz implikacje tego, co mówię?

Christopheris otworzył usta i szybko zamknął je z powrotem. Wyglądał przy tym jak wielka, brzydka ryba. Nic nie powiedział, ale jego oczy rzuciły kilka ukradkowych spojrzeń na boki, a rumieniec na twarzy jeszcze się pogłębił.

Lindran uśmiechnęła się nieznacznie.

– Zdaje się, że dotarło do niego – powiedziała.

– A więc komputer przepadł – powiedział nagle Karoly d'Branin cichym głosem.

Melantha spojrzała na niego.

– Obawiam się, że tak.

Karoly przeczesał włosy palcami, jakby na wpół świadom swego niestarannego wyglądu.

– Wolkryni – mruknął. – Jak będziemy pracować bez komputera? – Skinął głową do siebie. – Mam w kabinie niewielką jednostkę, taki przenośny model, może wystarczy. Musi wystarczyć, musi. Wezmę dane od Royda, dowiem się w jakim punkcie przerwaliśmy. Przepraszam, przyjaciele. Wybaczcie, muszę iść. – Odszedł, nieobecny duchem, mówiąc do siebie.

– Nie słyszał ani słowa z tego, co powiedzieliśmy – stwierdził Dannel z niedowierzaniem.

– Pomyśl jak byłby roztargniony, gdybyśmy wszyscy zginęli – dodała Lindran. – Nie miałby już nikogo do pomocy przy poszukiwaniu wolkrynów.

– Dajcie mu spokój – powiedziała Melantha. – Równie mocno go to boli, jak każdego z nas, może nawet mocniej. Po prostu inaczej na to reaguje. Jego obsesje są jego obroną.

– Aha. A co jest naszą obroną?

– Być może cierpliwość – odrzekła Melantha. – Wszyscy ze zmarłych w momencie śmierci próbowali poznać tajemnicę Royda. My nie próbowaliśmy. I żyjemy nadal, rozmawiając o ich śmierci.

– Nie uważasz, że to mocno podejrzane? – spytała Lindran.

– Tak, mocno. Mam nawet sposób na sprawdzenie moich podejrzeń. Ktoś z nas może podjąć jeszcze jedną próbę dowiedzenia się czy kapitan mówił prawdę. Jeśli on lub ona umrze, zdobędziemy pewność. – Wzruszyła ramionami. – Wybaczcie mi jednak, że to nie ja będę tym, który spróbuje. Ale nie krępujcie się

mną, jeśli naprawdę czujecie taką potrzebę. Z zainteresowaniem odnotuję rezultat. Do tego jednak czasu mam zamiar zająć się przeniesieniem moich rzeczy z luku towarowego i trochę się przespać. – Odwróciła się i odmaszerowała, pozostawiając ich sobie samym.

– Arogancka dziwka – niemal bez emocji zauważył Dannel, gdy Melantha zniknęła.

– Naprawdę uważacie, że on może nas słyszeć? – szepnął Christopheris.

– Każde najdrobniejsze słowo – powiedziała Lindran. Uśmiechnęła się, widząc jego zmieszanie. – Chodź, Dannel, przeprowadźmy się w bezpieczne miejsce i wracajmy do łóżka.

Dannel skinął głową.

– Ale musimy coś zrobić – nalegał Christopheris. – Ułożyć plan. Bronić się.

Lindran obrzuciła go ostatnim, miażdżącym spojrzeniem i pociągnęła Dannela za sobą.



– Melantha? Karoly?

Obudziła się natychmiast, wyczulona na brzmienie swego imienia, nawet wypowiedzianego szeptem, niemal od razu w pełni świadoma. Usiadła na brzegu wąskiego, pojedynczego łóżka. Karoly d'Branin, ściśnięty obok niej, stęknął i przetoczył się na plecy, ziewając.

– Royd? – spytała. – Czy to już ranek?

– Melantha, dryfujemy w przestrzeni trzy lata świetlne od najbliższej gwiazdy – powiedział miękki głos ze ścian. – W takich okolicznościach termin „poranek" jest pozbawiony znaczenia. Ale tak, to już poranek.

Melantha zaśmiała się.

– Dryfujemy, powiedziałeś? Jak poważne są uszkodzenia?

– Poważne, ale nie niebezpieczne. Luk trzeci jest całkowitą ruiną, zwisającą z mego statku jak połówka zgniecionego jajka, jednak zniszczenia mają ograniczony zasięg. Napęd główny jest nietknięty, a komputery ŻEGLARZA chyba nie ucierpiały podczas zniszczenia waszego systemu. Obawiałem się tego. Słyszałem o zjawiskach typu elektronicznego szoku pourazowego.

– Co? Royd? – powiedział d'Branin.

Melantha poklepała go pieszczotliwie.

– Potem ci opowiem, Karoly. Śpij dalej – powiedziała. – Royd, wydajesz się zmartwiony. Czy jest coś jeszcze?

– Martwię się naszym lotem powrotnym – odpowiedział. – Gdy znowu wprowadzę ŻEGLARZA w hipernapęd, zewnętrzne siły pływowe będą oddziaływały bezpośrednio na części statku nie zaprojektowane do wytrzymywania takich napięć. Również kształt naszego statku jest teraz zmieniony. Mogę pokazać wam matematyczny tego obraz, jednak najważniejszą sprawą jest teraz kwestia sił pływowych. Szczególną uwagę należy przy tym zwrócić na gródź powietrzną przy wejściu do luku trzeciego. Przeprowadziłem na komputerze pewne symulacje, ale w dalszym ciągu nie mam pojęcia czy ta gródź wytrzyma napięcia, jakim będzie poddana. Jeżeli nie – cały mój statek rozpadnie się na części. Uwolnione silniki odlecą w dal, a reszta... Nawet jeżeli nie ulegnie uszkodzeniu system podtrzymywania życia, wkrótce wszyscy będziemy martwi.

– Rozumiem. Możemy coś z tym zrobić?

– Tak. Odłonięte części można dość łatwo wzmocnić. Zewnętrzna powłoka jest oczywiście dostatecznie mocna, żeby wytrzymać siły działające od zewnątrz. Możemy ją umocować w zagrożonych miejscach – będzie to prymitywna osłona, ale, według moich obliczeń, powinna wystarczyć. Jeżeli zrobimy to w odpowiedni sposób, pomoże to również matematyce kształtu. Duże fragmenty powłoki zostały oderwane, gdy luk się otworzył, ale ciągle są w pobliżu, większość w promieniu kilometra czy dwóch. I mogą zostać użyte.

W trakcie tych wyjaśnień Karoly d'Branin ostatecznie się rozbudził.

– Nie – odpowiedział d'Branin, ale już w trakcie wypowiadania tego słowa na jego twarzy pojawił się błysk zrozumienia. Odwrócił wzrok od swej towarzyszki i spojrzał z powrotem na wolkryna, na zbliżający się ogrom pełen wędrujących świateł, pomarszczonych falami welonów, lecący wciąż i wciąż przed siebie, poprzez lata świetlne, świetlne stulecia, przez millenia.

Kiedy znowu spojrzał na nią, jego usta wypowiedziały tylko jedno słowo:

– Telekineza.

Skinęła głową.



Melantha Jhirl wytężyła wszystkie siły, żeby unieść strzykawkę i przytknąć ją do żyły. Nacisnęła spust, rozległ się głośny syk i zawartość ampułki wpłynęła do jej organizmu. Położyła się, odpoczywając i usiłując myśleć. Esperon, esperon – dlaczego on jest taki ważny? Zabił Lasamera, zrobił z niego ofiarę własnych, uśpionych dotąd umiejętności, zwielokrotnił jego moc i jego słabość. Psi. Wszystko powracało uparcie do psi.

Wewnętrzne drzwi śluzy otworzyły się. Przeszło przez nie bezgłowe ciało.

Poruszało się szarpanymi, nienaturalnymi podrygami, nawet na chwilę nie odrywając stóp od podłogi. Przeginało się i obwisało, niemal zgniecione własnym ciężarem. Każde przesunięcie stopy było szybkie i niezdarne – jakaś siła dosłownie szarpała do przodu najpierw jedną nogę, potem drugą. Zbliżało się powoli, z ramionami sztywno opuszczonymi wzdłuż boków.

Jednak się zbliżało.

Melantha sięgnęła do rezerw swego organizmu i zaczęła pełznąć przed siebie, nie spuszczając oczu z upiornego prześladowcy.

Myśli wirowały jej w głowie, szukając jakiegoś nie pasującego do całości elementu, rozwiązania szachowej zagadki, i nic nie znajdując.

Trup poruszał się szybciej niż ona. Wyraźnie, niezaprzeczalnie ją doganiał.

Melantha spróbowała wstać. Z walącym sercem, stękając, uniosła się na kolana. Potem na jedno kolano. Próbowała wypchnąć się w górę, podnieść ogromny ciężar, spoczywający na jej ramionach jakby była zawodnikiem podnoszącym sztangę. Powtarzała sobie, że jest silna, że jest ulepszonym modelem.

Jednak gdy oparła się na jednej tylko nodze, mięśnie nie wytrzymały. Zwaliła się niezdarnie. Uderzenie o podłogę było jak upadek z wysokiego budynku. Usłyszała głośny trzask i poczuła eksplozję bólu w ramieniu, tym nieuszkodzonym, ramieniu którego chciała użyć do złagodzenia upadku. Ból był straszny, paraliżujący. Zamrugała, walcząc ze łzami i niemal się krztusząc rosnącym w gardle krzykiem.

Ciało Lasamera było już w połowie korytarza. Melantha zauważyła, że miało złamane obie nogi. Było mu wszystko jedno. Podtrzymywała je siła większa niż zawarta w ścięgnach, kościach i muskułach.

– ...Melantha... słyszałem... czy... wszystko... Melantha?

– Cicho bądź – warknęła na Royda. Nie mogła sobie pozwolić na tracenie oddechu na rozmowy.

Użyła wszystkich rodzajów samokontroli, jakich kiedykolwiek się uczyła, żeby zignorować ból. Kopała bezsilnie nogami, buty drapały podłogę szukając oparcia. Podciągnęła się, używając ręki, która nie była złamana, ignorując ogień w ramieniu.

Ciało wciąż posuwało się naprzód.

Przeciągnęła się przez próg mesy, przepełzając pod rozbitym skuterem. Miała nadzieję, że wrak chociaż na chwilę zatrzyma upiorny pościg. Coś, nazywające się kiedyś Thale Lasamer było już niewiele ponad metr za nią.

W ciemności, w mesie, w której to wszystko się zaczęło, siły ostatecznie ją opuściły.

Dygocząc, przylgnęła do wilgotnego dywanu. Wiedziała, że nie zdoła przesunąć się nawet centymetr dalej.

przesuwają się po jej wzorach. Nie mam pojęcia czym one mogą być. Może jakąś formą porozumiewania się. Nie mogę powiedzieć czy ich źródło leży wewnątrz statku czy na zewnątrz. Ja... Och! Pojawił się właśnie następny jego rodzaj. Pomiędzy ramionami, krótki błysk, wybuch jasności. Teraz już go nie ma, zniknęło. Było bardziej intensywne niż pozostałe, w kolorze indygo. Czuję się tak bezradny, nic nie rozumiem. Ale oni są piękni, moi wolkryni...

Mity... to właściwie niezbyt odpowiada legendom, nie do końca. Rozmiar, światła. Wolkryni często byli wiązani ze światłem, ale przekazy na ten temat były niejednoznaczne, mogły dotyczyć właściwie wszystkiego, opisywać wszystko od laserowego systemu napędowego do prostych zewnętrznych iluminacji. Nie mogłem wiedzieć, że ich źródłem było właśnie to. Ach, jakie to nieodgadnione! Statek jest wciąż zbyt daleko, żebym mógł widzieć szczegóły. Jest tak wielki, nie przypuszczam, żeby udało nam się uciec mu z drogi. Mam wrażenie, że skręcił w naszą stronę, ale mogę się mylić. To jedynie wrażenie. Moje przyrządy! Gdybym tylko miał moje przyrządy. Być może ciemny obszar w centrum jest właściwym statkiem, zamieszkałą kapsułą. Wolkryni muszą być w jej środku. Chciałbym, żeby moja grupa była tu ze mną. I Thale, biedny Thale. On miał klasę jeden. Mogliśmy nawiązać kontakt, mogliśmy się z nimi porozumieć. Ileż mogli nas nauczyć! Ileż oni widzieli! Gdy pomyślę jak stary jest ten pojazd, jak starożytna rasa, jak długo już lecą... wypełnia mnie zabobonny lęk. Porozumienie byłoby takim darem, takim nieprawdopodobnym darem, ale oni tacy obcy.

– D'Branin – powiedziała Agatha Marij-Black niskim, naglącym głosem. – Nic nie czujesz?

Karoly D'Branin spojrzał na nią, jakby ją widział po raz pierwszy w życiu.

– Ty ich wyczuwasz? Masz tylko klasę trzy – możesz ich teraz czuć, wyraźnie?

– Od dawna – powiedziała psipsych. – Od dawna.

– Możesz nadawać? Porozmawiaj z nimi, Agatha. Gdzie oni są? Tam w centrum, w tym ciemnym obszarze?

– Tak – odpowiedziała i zaśmiała się. Jej śmiech był przenikliwy i histeryczny i d'Branin musiał sobie przypomnieć, że była bardzo chora. – Tak, tam w centrum, Karoly. Stamtąd przynajmniej nadchodzą fale. Tylko że ty się zupełnie mylisz co do nich. To w ogóle nie są ONI. Twoje legendy były stekiem kłamstw! Nie byłabym zaskoczona, gdybyśmy byli pierwszymi istotami, które kiedykolwiek zobaczyły twoich wolkrynów, które podeszły tak blisko. Inni, ci twoi obcy, zaledwie ich wyczuwali, z daleka i niewyraźnie, wychwytywali w swych snach i wizjach odrobinę z natury wolkrynów i dorabiali resztę tak, jak im pasowało. Statki i wojny, rasa odwiecznych podróżników, to wszystko... wszystko...

– Tak? Co masz na myśli, Agatha, przyjacielu? Mówisz zupełnie bez sensu. Nic z tego nie rozumiem.

– Rzeczywiście nie rozumiesz, prawda? – Jej głos stał się nagle łagodny. – Nie wyczuwasz tego, tak jak ja. Tak wyraźnie. W ten sposób musi się cały czas czuć ktoś naładowany esperonem.

– Co ty czujesz? Co?

– To nie są ONI, Karoly. To jest TO. Żywe, Karoly, i zupełnie bezrozumne, zapewniam cię.

– Bezrozumne? – spytał d'Branin. – Nie, musisz się mylić, nie odczytujesz go właściwie. Mogę przyjąć, że jest to pojedynczy osobnik, jeśli tak twierdzisz, ogromny, wspaniały podróżnik gwiezdny, ale jak on może być bezrozumny? Czułaś go – jego umysł, telepatyczne emanacje. Ty i każdy z czuciowców Kreyów i wszyscy inni. Może jego myśli są dla ciebie zbyt obce, żebyś mogła je odczytać.

– Może. Ale to, co odczytuję wcale nie jest tak straszliwie obce. Tylko zwierzęce. Jego myśli są powolne i ciemne, i dziwne, to prawie nie są myśli, raczej impulsy. Zawirowania zimne i odległe. Jego mózg musi rzeczywiście być ogromny, tego możesz być pewny, ale nie służy do formułowania racjonalnych myśli.

– Jak to?

– System napędowy, Karoly. Ty nic nie czujesz? Nie czujesz tych fal? Mam wrażenie, że lada moment rozwalą mi czaszkę. Jeszcze nie zgadłeś co pcha twych przeklętych wolkrynów przez galaktyczne przestrzenie? I dlaczego unikają pól grawitacyjnych? Jeszcze nie wiesz jak się poruszają?

– Mój zespół posiada skutery próżniowe – powiedział. – Możemy sprowadzić te fragmenty dla cieb przyjacielu.

– Znakomicie, Karoly, ale nie to jest moim największym zmartwieniem. Mój statek posiada zdolno samonaprawy w pewnych granicach, ale tym razem uszkodzenia przekroczyły te granice o rząd wielkoś Będę musiał dokonać napraw osobiście.

– Ty? – D'Branin był wyraźnie zaskoczony. – Royd, przecież powiedziałeś... twoje muskuły, s bość...ta praca będzie ponad twoje siły. Z pewnością my możemy to za ciebie zrobić!

– Jestem kaleką tylko w polu grawitacyjnym, Karoly – odpowiedział Royd spokojnym głosem. – W n ważkości jestem w swoim żywiole. Za chwilę wyłączę siatkę grawitacyjną ŻEGLARZA, żeby zebrać s do prac naprawczych. Źle mnie zrozumiałeś. Jestem w pełni zdolny do wykonywania pracy. Mam odp wiednie narzędzia, włącznie z moim własnym, ciężkim skuterem.

– Przypuszczam, że wiem czym się martwisz, kapitanie – powiedziała Melantha.

– Cieszę się – odpowiedział Royd. – Więc być może będziesz w stanie odpowiedzieć na moje pytan Czy, jeżeli wyjdę poza bezpieczne granice mojej kwatery, będziesz w stanie powstrzymać swoich koleg przed wyrządzeniem mi jakiejś krzywdy?

Karoly d'Branin był zaszokowany.

– Och, Royd, jak mogłeś coś takiego pomyśleć? Jesteśmy naukowcami, uczonymi, a nie... nie krymin listami, czy żołnierzami, czy... zwierzętami. Jesteśmy ludźmi – jak możesz przypuszczać, że będziemy d ciebie zagrożeniem, że będziemy na ciebie nastawać?

– Ludźmi, ale dla mnie jesteście obcymi – powtórzył Royd. – I wy jesteście wobec mnie nieufni. Nie skł daj pustych zapewnień, Karoly.

D'Branin zachłysnął się oburzeniem. Melantha wzięła go za rękę, prosząc, żeby był cicho.

– Royd – powiedziała – ja nie będę ci kłamała. Znajdziesz się oczywiście w pewnym niebezpieczeństwi Jednak mam nadzieję, że ukazując się w swojej własnej postaci raczej uszczęśliwisz naszych przyjacić Będą mogli naocznie stwierdzić, że mówiłeś prawdę, zobaczyć, że jesteś tylko człowiekiem. – Uśmiechnę się. – Zobaczą to, prawda?

– Tak, zobaczą – odpowiedział Royd – ale czy to wystarczy, żeby rozwiać ich podejrzenia? Są przeci przekonani, że to ja jestem odpowiedzialny za śmierć tych trojga.

– Przekonanie jest mocnym słowem. Podejrzewają to, obawiają się tego. Są przestraszeni, kapitanie, mają do tego poważne powody. Nawet ja się boję.

– Nie bardziej niż ja.

– Byłabym mniej przestraszona, gdybym wiedziała co naprawdę się wydarzyło. Powiesz mi?

Cisza.

– Royd, jeżeli...

– Popełniłem kilka błędów, Melantha – powiedział Royd grobowym głosem. – Ale nie jestem w tym j dyny. Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby powstrzymać wstrzyknięcie Lasamerowi esperonu. N udało mi się. Mogłem uratować Alys i Lommie, gdybym je widział, słyszał, wiedział, do czego zmierzaja Nie mogę pomóc, gdy nie wiem o niebezpieczeństwie, a ty zmusiłaś mnie do wyłączenia monitorów, Melar tha. Dlaczego? Czy przewidziałaś taki tego rezultat, jesteś przecież zawsze trzy ruchy do przodu?

Melantha Jhirl poczuła chwilowy przypływ winy.

– Mea culpa, kapitanie, również ja jestem za to odpowiedzialna. Wiem o tym. Uwierz mi, naprawdę tym wiem. Jednak ciężko jest przewidywać następne trzy ruchy, jeżeli nie zna się zasad gry. Wyjaśnij mi je

– Jestem ślepy i głuchy – powiedział Royd ignorując ją. – To mnie rozstraja. Nie mogę w niczym pomóc jeżeli jestem ślepy i głuchy. Melantha, mam zamiar znowu włączyć monitory. Przykro mi, jeśli się na t nie zgadzasz. Pragnę twojej zgody, ale zrobię jak powiedziałem z nią czy bez niej. Ja muszę widzieć.

– Włącz je – powiedziała Melantha z namysłem. – Nie miałam racji, kapitanie. Nigdy nie powinnam ci prosić, żebyś się oślepiał. Nie rozumiałam sytuacji i przeceniłam swą zdolność do sprawowania kontro

Tomek Tomaszewski

– Royd – powiedziała – czy twoja matka... może poruszyć... ona chyba nie może... poruszyć czegokolwiek... w tak wysokiej grawitacji... prawda?

– Nie wiem – odpowiedział. – ...jeśli... skoncentruje... całą moc... skupi się... być może... to... możliwe... dlaczego?

– Ponieważ – powiedziała Melantha ponuro – ponieważ coś... przechodzi przez... śluzę powietrzną.

★



– To nie jest statek, nie taki, jakiego się spodziewałem – mówił Karoly d'Branin. Jego kombinezon, zaprojektowany przez specjalistów Akademii posiadał wbudowane urządzenie kodujące i teraz d'Branin nagrywał dla potomności swoje komentarze, czując się dziwnie spokojnym w obliczu zbliżającej się nieuchronnie śmierci. – Jego rozmiary są trudne do wyobrażenia, trudne do oceny. Ogromny, ogromny, nie mam tu niczego poza moim naręcznym komputerem, żadnych instrumentów i nie mogę dokonać dokładnych pomiarów, ale powiedziałbym, że on ma, och, sto, może nawet trzysta kilometrów średnicy. Nie jest to oczywiście jednorodna, lita masa, zupełnie nie. Jest delikatny, ulotny, nie wygląda jak statki, które my znamy, nie jest również miastem. Jest – och, piękny – kryształową pajęczyną, żyjącą swymi własnymi, przyćmionymi światłami, ogromną, skomplikowaną siecią – trochę przypomina mi stare, napędzane gwiezdnym wiatrem statki, takie, jakich używano przed odkryciem hipernapędu, ale ta ogromna konstrukcja nie jest jednolita, nie mogłaby być napędzana ciśnieniem promieni świetlnych. Ona w ogóle nie jest statkiem, naprawdę. Jest cała otwarta na próżnię, nie ma żadnych kabin ani układów podtrzymywania życia, w każdym razie nie widzę nic takiego, chyba że tego typu urządzenia znajdują się w jakiś sposób poza moim polem widzenia, ale nie, nie mogę w to uwierzyć, całość jest zbyt otwarta, zbyt delikatna. Porusza się całkiem szybko. Chciałbym mieć przyrządy, które pozwoliłyby mi zmierzyć jej prędkość, ale wystarczy być tutaj, żeby wiedzieć, że jest ona znaczna. Prowadzę skuter pod kątem prostym do toru jej lotu, chcąc usunąć jej się z drogi, ale nie potrafię powiedzieć, czy mi się to uda. Ona porusza się o tyle prędzej niż my. Nie z prędkością światła, nie, znacznie wolniej, jednak domyślam się, że i tak szybciej niż ŻEGLARZ NOCY, używający swych atomowych silników. Ale to tylko domysł.

Pojazd wolkrynów nie posiada żadnych widocznych systemów napędowych. Prawdę powiedziawszy, zastanawiam się w jaki sposób się porusza – może jednak jest to świetlny żagiel, wystrzelony laserowo tysiąclecia temu, teraz porwany i zniszczony przez jakąś niewyobrażalną katastrofę – ale nie, jest zbyt symetryczny, zbyt piękny.

Wiem, że muszę go opisać, muszę być bardziej dokładny. To trudne, zbyt jestem podekscytowany. Jest wielki, jak już powiedziałem, wielokilometrowej średnicy. Kształt ma z grubsza – chwileczkę – tak, z grubsza oktagonalny. Oś, centrum jarzy się, świeci, jest to niewielka ciemna plama, otoczona znacznie większym obszarem jasności. Tylko ciemna część wydaje się być całkowicie lita – obszary oświetlone są przeźroczyste. Mogę przez nie widzieć gwiazdy, jakkolwiek przebarwione, przesunięte w stronę czerwieni. Welony, nazywam je welonami. Z osi i welonów biegnie osiem długich – och, bardzo długich – ramion, w niezupełnie równych odległościach kątowych, nie jest to więc prawdziwy geometryczny ośmiokąt – ach, teraz widzę wyraźniej, jedno z ramion zmienia położenie, bardzo powoli, welony falują – więc te ramiona są ruchome, między nimi i wokół nich oplata się pajęczyna, ale dziwna, w dziwne wzory. Nie jest to prosta sieć pająka. Nie mogę w niej, w tworzących ją liniach zauważyć żadnych prawidłowości, jednak czuję, że jest w niej jakiś sens, znaczenie, które czeka na to, żeby być odczytane.

Tam są światła. Czy wspomniałem już o światłach? Najjaśniejsze są wokół centralnej osi, jednak nigdzie nie świecą bardzo jaskrawo, są raczej przyćmione fioletem. A więc jakieś widzialne promieniowanie, ale w sumie niewielkie. Chciałbym zrobić odczyt ultrafioletowy tego statku, ale nie mam odpowiednich przyrządów. Światła poruszają się. Welony zdają się falować i światła przesuwają się nieustannie w górę i w dół ramion, z różnymi prędkościami, a czasami można zauważyć jak inne światła wędrują poprzez pajęczynę,

Robiła właśnie przegląd kabin, niosąc pod ramieniem porzucone lekarstwa i strzykawkę pistoletową Agathy Marij-Black, gdy usłyszała krzyk Royda.

Chwilę później potworna siła zamknęła jej się na piersi jak ręka niewidzialnego giganta, ścisnęła ją i pociągnęła, usiłującą walczyć, ku podłodze.



Coś się poruszało wśród gwiazd.

Niewyraźne i odległe, jednak wyraźnie widoczne, chociaż d'Branin nie mógł jeszcze odróżnić szczegółów. Ale to tam było, było z pewnością – jakiś wielki kształt, przesłaniający widok na część gwiezdnego pejzażu. Leciało prosto ku nim.

Jak bardzo pragnął mieć teraz przy sobie swój zespół, komputer, swego telepatę, ekspertów, instrumenty.

Dodał mocy silnikom i poleciał na spotkanie swoich wolkrynów.



Melantha Jhirl, przyszpilona do podłogi, cierpiąca, zaryzykowała włączenie zamontowanego w skafandrze komunikatora. Musiała porozmawiać z Roydem.

– Jesteś tam? – spytała. – Co się... co się dzieje?

Ciśnienie było potworne i stopniowo stawało się coraz gorsze. Niemal nie mogła się poruszać.

Odpowiedź brzmiała bólem i napływała bardzo powoli.

– ...prze... chytrzyła... mnie – wyszeptał głos Royda. – ...to boli... mówienie...

– Royd...

– ...przesunęła... tele... kinetycznie... dźwignię... w górę... dwa g... trzy... więcej... tutaj... na konsoli... muszę... tylko... prze... stawić... ją... z powrotem... spróbuję...

Cisza. Potem, po długiej chwili, gdy Melantha była już niemal załamana, znowu dobiegł głos Royda. Dwa słowa.

– ...nie... mogę...

Melantha czuła się tak, jakby na jej piersiach złożono ciężar dziesięciokrotnie przewyższający jej własną wagę. Mogła sobie wyobrazić agonię, jaką musiał przeżywać Royd. On, dla którego nawet grawitacja równa jeden g była bolesna i niebezpieczna. Wiedziała, że nawet gdyby dźwignia była odległa o wyciągnięcie ręki jego słabe muskuły nigdy by nie pozwoliły mu do niej sięgnąć.

– Dlaczego – zaczęła. Mówienie nie sprawiało jej takiej trudności, jak jemu. – Dlaczego miałaby... zwiększać grawitację... przecież to również ją... jeszcze bardziej... osłabia... tak?

– ...tak... ale... za chwilę... minutę... godzinę... moje... moje serce... nie... wytrzyma... pęknie... a wtedy... wtedy ty... sama... ona... wyłączy... grawitację... zabije cię...

Krzywiąc się z bólu Melantha wyciągnęła rękę i przeczołgała się kawałek wzdłuż korytarza.

– Royd... trzymaj się... idę do ciebie...

Znowu się podciągnęła. Zestaw lekarstw Agathy ciągle wisiał na jej ramieniu, niemożliwie ciężki. Zsunęła pasek i zaczęła go odpychać. Miała wrażenie, że pojemnik waży przynajmniej sto kilogramów. Potem przyszła jej do głowy inna myśl. Odchyliła wieczko pojemnika.

Wszystkie ampułki były starannie oznaczone. Przejrzała je szybko, szukając adrenaliny lub syntastimu, czegokolwiek, co mogłoby dać jej siłę, której potrzebowała na dotarcie do Royda. Znalazła kilka stymulatorów, wybrała najsilniejszy i z niezdarną, dręczącą powolnością ładowała ampułkę do komory strzykawki, gdy jej oczy przypadkowo zatrzymały się na zapasie esperonu.

Melantha nie wiedziała dlaczego zawahała się w tym momencie. Esperon był tylko jednym z pół tuzina znajdujących się w zestawie stymulatorów psionicznych i żaden z nich nie przyniósłby jej żadnej korzyści, jednak coś w jego tutaj obecności niepokoiło ją, przypominało jej o czymś, czego nie mogła sobie do końca uświadomić. Próbowała dojść z tym do ładu, gdy usłyszała hałas.

nad innymi. Moja wina. Ulepszone modele zbyt często uważają, że mogą wszystko. – Jej myśli galopował czuła się niemal chora. Przeliczyła się, pomyliła i teraz miała na rękach jeszcze więcej krwi. – Myślę, że t raz lepiej rozumiem.

– Co rozumiesz? – spytał Karoly d'Branin.

– Nieprawda, nie rozumiesz – powiedział Royd surowo. – Nie udawaj, że jest inaczej, Melantha. Ni Nie jest rozsądnie ani bezpiecznie być zbyt wiele ruchów do przodu. – W jego tonie było coś niepokojąceg Melantha to również rozumiała.

– Co? – powiedział Karoly. – Nic nie rozumiem.

– Ani ja – dodała ostrożnie Melantha. – Ani ja, Karoly. – Pocałowała go lekko. – Żadne z nas nic n rozumie, prawda?

– Dobrze – powiedział Royd.

Skinęła głową i uspokajająco otoczyła ramieniem d'Branina.

– Royd – powiedziała – wracając do kwestii napraw – wydaje mi się, że musisz ich dokonać osobiści bez względu na wszelkie obietnice z naszej strony. Nie zaryzykujesz statku, przechodząc nim teraz, w t kim stanie, na hipernapęd, a jedynym wyjściem poza tym jest dryfowanie tutaj, aż wszyscy pomrzem Jaki więc mamy wybór?

– Ja mam wybór – powiedział Royd ze śmiertelną powagą. – Mógłbym was wszystkich zabić, gdyby b to jedyny sposób na uratowanie siebie i statku.

– Możesz spróbować – odrzekła Melantha.

– Nie rozmawiajmy już, proszę, o śmierci – wtrącił się d'Branin.

– Masz rację, Karoly – powiedział Royd. – Nie chcę zabijać nikogo z was. Ale muszę być pewny meg bezpieczeństwa.

– Będziesz – zapewniła go Melantha. – Karoly może wysłać pozostałych w pościg za fragmentami pow łoki. Poza tym ja będę twoją ochroną. Będę cały czas przy tobie. Jeżeli ktokolwiek zechce cię zaatakowa najpierw będzie musiał rozprawić się ze mną. I przekona się, że to wcale nie jest łatwe. Poza tym mogę pomagać w pracy. Pójdzie trzy razy szybciej.

Royd starał się być uprzejmy.

– Wiem z doświadczenia, że większość urodzonych na planetach w nieważkości łatwo się męczy i jes dość niezdarna. Wydaje mi się, że samotnie będę pracował efektywniej, jednak z przyjemnością przyjmuj twoje usługi jako mojego goryla.

– Przypominam ci, że jestem ulepszonym modelem, kapitanie – powiedziała Melantha. – W nieważko ści jestem równie dobra, jak w łóżku. Będę naprawdę pomocna.

– Jesteś uparta. Dobrze, jak sobie życzysz. Za kilka sekund odłączę zasilanie siatki grawitacyjnej. Ka roly, idź przygotować na to swoich ludzi. Przebierzcie się w skafandry i wyprowadźcie na zewnątrz wasz skutery. Opuszczę ŻEGLARZA za trzy godziny, gdy uda mi się nieco ochłonąć po bólach waszej grawita cji. Chcę, żeby w tym czasie wszyscy byli na zewnątrz. Czy ten warunek jest zrozumiały?

– Tak – odpowiedział Karoly. – Wszyscy poza Agathą. Ona wciąż nie odzyskała świadomości, przyja cielu. Nie będzie z nią kłopotów.

– Nie. Mam na myśli wszystkich z was, łącznie z Agathą. Zabierzcie ją ze sobą.

– Ależ Royd! – zaprotestował d'Branin.

– Ty jesteś tu kapitanem – powiedziała Melantha twardo. – Będzie, jak sobie życzysz – wszyscy na zew nątrz. Łącznie z Agathą.



Na zewnątrz. To było tak, jakby jakieś monstrualne zwierzę wygryzło część gwiazd.

Melantha Jhirl czekała na swym skuterze tuż przy burcie ŻEGLARZA i przyglądała się gwiazdom. Ni

ty wcale takie inne, oglądane stąd, z głębi kosmicznej pustki. Zimne, zamrożone punkty światła, nieruome i srogie, jakby mniej było w nich ciepła i łagodności niż wtedy, gdy atmosfera zmuszała je do mrunia i tańczenia. Jednak przede wszystkim brak stałych, namacalnych punktów odniesienia przypominał gdzie się znajduje: w miejscu pomiędzy, tam, gdzie nie zatrzymują się kobiety i mężczyźni i ich statki, zie w swych starożytnych pojazdach żeglują wolkryni. Chciała odnaleźć słońce Avalonu, nie wiedziała dnak gdzie ma go szukać. Konstelacje były jej nieznajome i nie miała pojęcia, w którą stronę jest zwrócо. Za nią, przed i ponad nią, i ze wszystkich stron rozciągały się nieskończone pola gwiazd. Spojrzała w ł, albo w stronę, która w tym momencie wydawała się dołem, poza swoje stopy i skuter, poza ŻEGLAZA NOCY, spodziewając się ujrzeć następną nieskończoność obcych gwiazd. I wygryziona pustka udeyła w nią z niemal fizyczną mocą.

Melantha zwalczyła nagły zawrót głowy. Wisiała nad ziejącą otchłanią, rozpadliną we wszechświecie, arną, bezgwiezdną, ogromną.

Pustą.

Potem sobie przypomniała – Welon Grzesznicy. To tylko chmura ciemnych gazów, nic wielkiego, galakczne zanieczyszczenie, tłumiące światło gwiazd Granicy. Jednak z tak niewielkiej odległości Welon wywał się gigantyczny, przerażający i musiała zmusić się do oderwania wzroku, gdy zaczęło jej się wydać, że spada. To była rozwarta paszcza pod nią i pod kruchą, srebrnobiałą muszlą ŻEGLARZA NOCY, szcza gotowa ich połknąć.

Melantha dotknęła jednego z przycisków kontrolnych na widlastej kierownicy, obracając się w ten spob, że Welon znalazł się z boku, a nie pod nią. To nieco pomogło. Ignorując potężny mur ciemności, skua myśli na ŻEGLARZU. Był to największy obiekt w jej wszechświecie, jasny pośród ciemności, niezgray, rozdarty luk towarowy sprawiał, że cały statek robił wrażenie źle wyważonego.

Widziała inne skutery, jak zataczały pętle poprzez ciemność, ścigając poszarpane fragmenty poszycia tku, szczepiając się z nimi i holując je z powrotem. Lingwiści jak zwykle pracowali razem, dzieląc jeden uter. Rojan Christopheris był sam, pracując w ponurej ciszy. Melantha musiała zagrozić mu użyciem ficznej przemocy zanim zgodził się do nich przyłączyć. Ksenobiolog był przekonany, że to wszystko to tyl następny podstęp, że gdy już znajdą się na zewnątrz, ŻEGLARZ NOCY włączy hipernapęd i odleci, zowiając ich na pewną śmierć. Jego podejrzenia zostały rozognione drinkiem – w jego oddechu wyraźnie uć było alkohol, gdy w końcu, zmuszony przez Melanthę i d'Branina, wkładał na siebie skafander. Kały również miał skuter, a także milczącego pasażera – Agathę Marij-Black, śpiącą twardo w swoim komnezonie po świeżej dawce lekarstw, przymocowaną bezpiecznie do siedzenia skutera.

Podczas gdy jej koledzy pracowali, Melantha czekała na Royda Erisa, rozmawiając z nimi od czasu do asu przez radio. Lingwiści, nie przywykli do nieważkości, narzekali niemal bez przerwy, znajdując jedk czas na kłótnie. Karoly wciąż na nowo podejmował próby uspokojenia ich. Christopheris niemal się odzywał, a jeśli, to jego komentarze były oschłe i jadowite. Ciągle był zagniewany. Melantha odprowaiła go wzrokiem, gdy przelatywał w jej polu widzenia – wyprostowaną postać w przylegającym, czarnym afandrze, stojącą sztywno przy kierownicy skutera.

W końcu kolista śluza powietrzna na szczycie najbliższej z głównych sfer ŻEGLARZA otworzyła się i łonił się z niej Royd Eris.

Patrzyła jak się zbliża, ciekawa, zastanawiając się nad jego prawdziwym wyglądem. Wyobraźnia podsuła jej tuzin sprzecznych ze sobą obrazów. Jego dystyngowany, kulturalny, nieco zbyt formalny głos i osób mówienia przypominały jej czasem ciemnoskórych arystokratów z jej rodzinnego Prometeusza, arowników, igrających z ludzkimi genemi i zabawiających się dziwacznymi, skomplikowanymi grami w tus społeczny. Innym razem jego naiwność powodowała, że wyobrażała go sobie jako niedoświadczone młodzieńca. Hologram, który im wysyłał przedstawiał młodego mężczyznę o zmęczonym wyglądzie, je-



Grawitacja wróciła. W mgnieniu oka wszechświat stał się niemal normalny.

Melantha opadła ku podłodze, wylądowała z łatwością, zrobiła przewrót i szybko jak kot stanęła na nogi. Przedmioty, które złowieszczo wylatywały przez otwarte drzwi wzdłuż korytarza pospadały z hałasem.

Krew zmieniła się z delikatnej mgły w śliską powłokę na podłodze korytarza.

Dwa ciała spadły ciężko z powietrza i już się nie poruszyły.

Royd przemówił do niej z komunikatorów, wbudowanych w ściany.

– Udało mi się – powiedział.

– Zauważyłam.

– Jestem przy głównej konsoli kontrolnej. Udało mi się przywrócić grawitację przez przełączenie na sterowanie ręczne i wyłączam teraz maksymalnie dużą liczbę funkcji komputera. Ciągle jednak nie jesteśmy bezpieczni. Będzie próbowała znaleźć jakiś sposób, żeby obejść to, co jest pod moją kontrolą. Przełamuję jej rozkazy czystą siłą. Nie mogę sobie pozwolić na przeoczenie czegokolwiek, a jeśli uwaga mi osłabnie choćby na chwilę... Melantha, czy twój skafander został przedziurawiony?

– Tak. Cięcie na ramieniu.

– Zmień go na inny. Natychmiast. Myślę, że programy, które teraz wprowadzam zapobiegną otworzeniu grodzi powietrznych, ale nie możemy sobie pozwolić na żadne niepotrzebne ryzyko.

Melantha biegła już korytarzem w stronę luku towarowego, w którym złożone były skafandry i inne wyposażenie.

– Jak się przebierzesz – ciągnął Royd – wpakuj ciała do przetwornika materii. Znajdziesz odpowiednią komorę koło śluzy do pomieszczeń silnikowych, bezpośrednio na lewo od tablicy kontrolnej. To samo zrób ze wszystkimi luźnymi przedmiotami, które nie są niezbędne, instrumentami naukowymi, książkami, taśmami, zastawą stołową...

– Nożami – podpowiedziała Melantha.

– Bezwzględnie.

– Czy telekineza ciągle jest dla nas zagrożeniem, kapitanie?

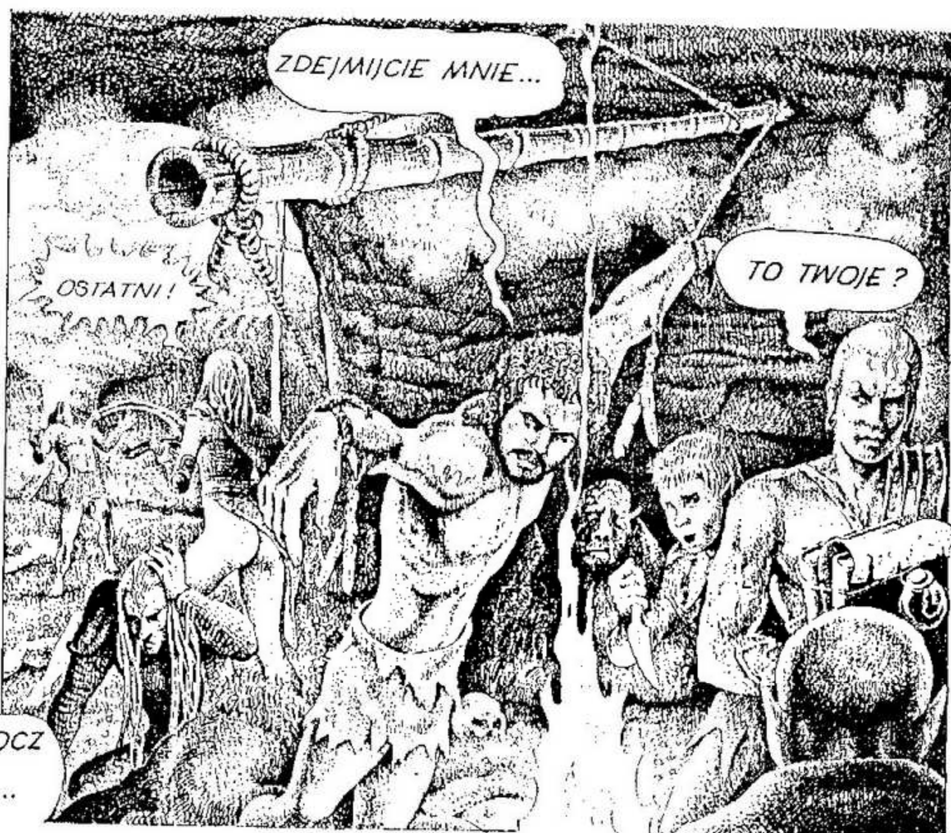
– W polu grawitacyjnym matka jest niepomiernie słabsza – odpowiedział Royd. Jest zmuszona je przezwyciężać. Nawet wspomagana mocą ŻEGLARZA jest zdolna poruszyć tylko jeden obiekt naraz i tylko z ułamkiem tej siły, jaką dysponuje w nieważkości. Ale ciągle to potrafi, nie zapominaj o tym. Jest również możliwe, że znajdzie sposób, żeby obejść moje zabezpieczenia i znowu wyłączyć grawitację. Z tego miejsca jestem w stanie ją przywrócić niemal w tym samym momencie, ale nie chcę, żeby nawet przez taki krótki czas gdziekolwiek w okolicy leżało coś, czego mogłaby użyć jako broni.

Melantha dotarła do luku towarowego. W rekordowym czasie zrzuciła z siebie stary skafander i włożyła nowy, krzywiąc się od bólu w ramieniu. Rana krwawiła paskudnie, ale na razie była zmuszona ją ignorować. Podniosła odrzucony skafander, zabrała podwójne naręcze instrumentów naukowych i wrzuciła to wszystko do komory przetwornika. Potem postanowiła zająć się ciałami. Dannel nie stanowił problemu. Lindran natomiast pełzła za nią korytarzem, gdy Melantha przepychała ciało Dannela przez otwór, potem opierała się słabo, gdy nadeszła jej kolej – upiorne przypomnienie, że nie cała moc ŻEGLARZA zaniknęła. Melantha z łatwością przełamała opór i wepchnęła ją do komory.

Spalone, zniszczone ciało Christopherisa wiło się w jej uchwycie i sięgało ku niej zębami, ale Melantha nie miała z nim żadnych poważniejszych kłopotów. Gdy oczyszczała z przedmiotów mesę, w stronę jej głowy pofrunął kuchenny nóż. Nadlatywał jednak powoli iMelantha po prostu odbiła go w bok, potem podniosła i dodała do stosu, czekającego na zaniesienie do przetwornika.

Scenariusz: Jacek Rodek i Wiktor Żwikiewicz. Rysunki: Andrzej O. Nowakowski.
















TRZEBA GO NATYCHMIAST OPATRZEĆ. NIEWIELE KRWI W NIM ZOSTAŁO.
DAJCIE GO TU I ZAMILCZCIE WRESZCIE... POZWÓLCIE MI SIĘ POMODLIĆ!


?!


YORKDAJ MI SWOJE RAMIĘ!


OJ, SPRYCIARZ Z CIEBIE, DARSUNIE! W TAKIEJ KOMPANII MOŻNA SIĘ TROCHĘ MNIEJ MARTWIĆ O SKÓRĘ!


UWAŻAJ NA SIEBIE. PEWIEN CZAS BĘDZIESZ OSŁABIONY.
CO TAM CIAŁO!... DZIĘKUJĘ WAM, KIMKOLWIEK JESTEŚCIE...


WOOUU!
DZIN

PODOBNO NIE UFASZ TYM, KTÓRZY POŚWIĘCILI SIĘ MAGII? JESZCZE SIĘ PRZEKONASZ CO ZNACZY, KIEDY MIECZ MA NA IMIĘ „WŚCIEKŁY"... CHODŹ DO NAS, NASZ MAŁY JUŻ ZNALAZŁ DLA SIEBIE JAKĄŚ RADOŚĆ...

UWAŻAJ, TAKIE KUFERKI LUBIĄ BYĆ ZABEZPIE-CZONE.

WYBACZ PANIE, CZYŻ JA SIĘ WTRĄCAŁEM, KIEDY MACHA-ŁEŚ MIECZEM?

JA ZNAM ŻYCIE. STAŃMY TROCHĘ NA UBOCZU.

NASZ MAŁY WŁAMYWACZ JEST SPRYTNY, ALE TO PEWNIE POTRWA... MOŻE NASZ NOWY PRZY-JACIEL BĘDZIE TYMCZASEM ROZMOWNIEJSZY?

WYBACZCIE! JESTEM WAM WINIEN JAKIEŚ WYJAŚNIE-NIA... USIĄDŹCIE PROSZĘ... CO CHCECIE WIEDZIEĆ?

NAZYWAM SIĘ FAZIR. NIE ZNAM SWOJEGO OJCA ANI MATKI. MOIM NAUCZYCIELEM W MIEŚCIE SIPPAR BYŁ STARY MAG MESLIM, KTÓRY MAWIAŁ, ŻE... JESTEM NAJGORSZYM Z JEGO UCZNIÓW. ALE GDY NAGLE ZMARŁ PRZED TRZEMA LATY, A BYŁA TO ŚMIERĆ DZIWNA... ZOSTAŁEM JEDEN, KTÓRY ODWAŻYŁ SIĘ OPIEKOWAĆ JEGO DOMEM I, W MIARĘ SIŁ, PORZĄDKOWAĆ TO, CO ZOSTAWIŁ..

CÓŻ WIDZISZ DZIWNEGO W ŚMIERCI STAREGO CZŁOWIEKA?



NIEWIELE UMIAŁEM WTEDY ODCZYTAĆ Z TEJ KSIĘGI, NIEWIELE UMIEM DZISIAJ, ALE W PRACOWNI MOJEGO NAUCZYCIELA ZNALAZŁEM JESZCZE TEN PLAN I NA NIM TEŻ BYŁ TAKI ZNAK. TRZY LATA SZUKAŁEM MIEJSCA, KTÓRE MÓGŁ OPISYWAĆ PLAN, AŻ DOTARŁEM DO WIOSKI, W KTÓREJ LUDZIE PRZERAZILI SIĘ, KIEDY NA ZIEMI NARYSOWAŁEM TEN ZNAK. WSKAZALI MI JEDNAK DROGĘ... LECZ WTEDY UDERZYŁ NA WIEŚ ODDZIAŁ JAKICHŚ DZIWNYCH JEŹDŹCÓW ZE ZNAKIEM OKA NA CZARNYCH PŁASZCZACH I... RESZTY SIĘ DOMYŚLACIE. NAPRAWDĘ NIE MOGŁEM NIC ZROBIĆ SAM, A TY PRZECENIASZ MOJE SIŁY...

TY JEDNAK ŻYJESZ...

TO ZAWDZIĘCZAM TYLKO WAM.

CZY Z KSIĘGI WYCZYTAŁEŚ COŚ O TEJ DOLINIE?

TYLKO TO, ŻE POD STRAŻĄ TRZECH ŻYWIOŁÓW JEST TU UKRYTY... WIELKI SKARB.

TRZECH? TO MIEJSCE NAZYWA SIĘ PRZECIEŻ...







BYŁEŚ JEDEN POŚRÓD UBOGICH, TERAZ NIE MASZ NIC WIĘCEJ NAD TO, CO MY WSZYSCY POSIADAMY... ACH! CHYBA MAM COŚ DLA TAKICH JAK TY! MĘTNIE MI SIĘ PRZYPOMINA, ŻE DZIELNIE WALCZYLIŚCIE, POTEM MIELIŚMY SOBIE COŚ DO POWIEDZENIA, JEDEN NAWET SKRZYNIĘ WYDŁUBAŁ Z ZIEMI, ALE NIKT Z WAS NIE ZAUWAŻYŁ, ŻE W TEJ OGROMNEJ, CO PRAWDA, JASKINI PŁONIE OGNISKO, LECZ DYM NIE BARDZO GRYZIE W OCZY? MOŻE TAK BYŚCIE WRESZCIE PODNIEŚLI GŁOWY?

kość i zanim uświadomiła sobie jak to było bezużyteczne, wbiła nóż głęboko w jego gardło. Krew popłynęła z szyi Dannela rozprzestrzeniającą się chmurą, ale ręce nie przestawały walić w nią jak cepy. Zęby kłapały groteskowo.

Melantha cofnęła nóż, chwyciła Dannela i wkładając w to całą, dość znaczną przecież siłę, rzuciła nim w głąb korytarza. Pofrunął, kręcąc się dziko i zniknął we mgle swojej własnej krwi.

Melantha poleciała w przeciwnym kierunku, koziołkując powoli.

Ręce Lindran zamknęły się na niej od tyłu.

Paznokcie drapały zaciekle zasłonę hełmu, aż zaczęły krwawić, zostawiając na plastyku czerwone smugi.

Melantha odwróciła się, żeby być twarzą do napastniczki, chwyciła jedno z jej ramion i cisnęła nią w ślad za jej towarzyszem. Wskutek reakcji zaczęła kręcić się jak bąk. Rozstawiła szeroko ramiona i zatrzymała się, oszołomiona.

– Przebiłem się – oznajmił Royd.

Melantha odwróciła się, żeby zobaczyć. W jednej ze ścian mesy został wycięty dymiący, metrowej powierzchni otwór. Royd wyłączył laser, chwycił obie framugi przejścia i wypchnął się w tamtą stronę.

Nagle wybuchnęła przeszywająca kakofonia dźwięków. Melantha skuliła się w agonii. Wysunęła szybko język i liznęła wyłącznik komunikatora. Zapadła błogosławiona cisza.

W mesie padał deszcz. Przybory kuchenne, szklanki i talerze, kawałki ludzkich ciał, wszystko to leciało jak burza przez pokój i odbijało się od pancernego skafandra Royda, nie robiąc mu żadnej krzywdy. Melantha, pragnąca pójść za nim, musiała się bezradnie wycofać. W jej lżejszym, cienkim skafandrze zostałaby przez ten deszcz śmierci pocięta na kawałki. Royd dotarł do ściany i zniknął w tajemniczej, dowódczej części statku. Melantha usiadła samotnie na podłodze.

ŻEGLARZ NOCY szarpnął i nagłe przyspieszenie na krótkę chwilę stworzyło coś przypominającego grawitację. Melantha przewróciła się na bok. Jej zranione ramię uderzyło boleśnie o podstawę skutera.

Wzdłuż całego korytarza otwierały się drzwi.

Dannel i Lindran znowu ku niej nadchodzili.



ŻEGLARZ NOCY był już odległą gwiazdką, iskrzącą się swymi atomowymi silnikami. Otoczyły ich ciemność i chłód, pod stopami mieli nieskończoną pustkę Welonu Grzesznicy, ale Karoly d'Branin nie odczuwał strachu. Czuł się dziwnie przemieniony.

Otchłań była ożywiona nadzieją.

– Oni nadlatują – szepnął. – Nawet ja, nie mający żadnych zdolności psionicznych, nawet ja ich wyczuwam. Opowieść Kreyów musi właśnie tego dotyczyć, można ich czuć nawet z odległości lat świetlnych. Wspaniałe!

Agatha Marij-Black wydawała się mała i skurczona.

– Wolkryni – wymamrotała. – Co oni mogą dla nas zrobić? Boli mnie. Statek odleciał. D'Branin, strasznie boli mnie głowa. – Wydała z siebie cichy, pełen strachu pisk. – Thale tak powiedział, zaraz po tym, jak dałam mu zastrzyk, a przed... przed... sam wiesz przed czym. Powiedział, że boli go głowa. Tak strasznie boli.

– Uspokój się, Agatha. Niczego się nie bój. Jestem tu z tobą. Czekajmy. Pomyśl tylko czego będziemy świadkami, pomyśl o tym!

– Wyczuwam ich – powiedziała psipsych.

D'Branin drżał z podniecenia.

– Powiedz mi więc. Mamy nasz mały skuter. Możemy do nich polecieć. Prowadź mnie.

– Tak – zgodziła się. – Och, tak.

dnak, wedle jego własny słów, w rzeczywistości był znacznie starszy. Jednak gdy mówił, Melantha mi trudności w wyobrażeniu sobie, że słucha starego człowieka.

Poczuła dreszcz podniecenia, gdy się zbliżył. Jego skuter i skafander niepokojąco różniły się od ty których oni używali. To wytwory obcych, pomyślała i szybko zgasiła tę myśl. Takie różnice niczego nie wodziły. Skuter Royda był duży – długa, owalna płaszczyzna z ośmioma zaopatrzonymi w stawy ramion mi roboczymi, wystającymi spod niej jak nogi metalowego pająka. Pod konsolą kontrolną zamontowa był wysokowydajny laser tnący, groźnie wysuwając do przodu okrągły, długi ryj. Skafander Royda znacznie masywniejszy niż starannie zaprojektowane przez Akademię próżniowe stroje, które oni nosil garbem między łopatkami, będącym prawdopodobnie zasilaczem i zawadiackimi, ułożonymi promieniś brzechwami na ramionach i hełmie. Sprawiały one, że cała sylwetka sprawiała wrażenie ciężkiej, garba i zdeformowanej.

Jednak gdy w końcu zbliżył się na tyle, żeby Melantha mogła zobaczyć jego twarz, okazało się, że j ona zupełnie zwykła.

Biała, bardzo biała – takie było pierwsze i najsilniejsze jej wrażenie; białe, krótko obcięte włosy, biały rost na ostro zarysowanej szczęce, niemal niewidoczne brwi, pod którymi niespokojnie poruszały się oc duże i intensywnie błękitne – najlepsza z cech jego wyglądu. Jego skóra była blada i bez zmarszczek, nie nie tknięta przez czas.

Wygląda na spiętego, pomyślała. I być może nieco przestraszonego.

Royd zatrzymał swój skuter obok niej, pośród poskręcanej ruiny, która była lukiem towarowym nu trzy i uważnie przyjrzał się zniszczeniom, chaosowi unoszących się śmieci, które kiedyś były ciałem, krw metalem, szkłem, plastykiem. Teraz trudno je było rozróżnić, były wymieszane, razem stopione i zamro ne.

– Mamy przed sobą sporo pracy – powiedział. – Możemy zacząć?

– Najpierw porozmawiajmy – odpowiedziała. Przysunęła swój skuter bliżej i wyciągnęła rękę w j stronę, ale odległość wciąż była zbyt duża, oddzielała ich szerokość podstaw dwóch skuterów. Melan wycofała się i odwróciła do góry nogami. Znowu przesunęła się w jego stronę, zatrzymując skuter dok nie pod/nad jego pojazdem. Ich ubrane w rękawiczki dłonie spotkały się, zwarły, rozdzieliły. Melan skorygowała wysokość. Zetknęły się ich hełmy.

– Teraz cię dotknąłem – powiedział Royd z drżeniem w głosie. – Nigdy przedtem nikogo nie dotyka ani nie byłem dotykany.

– Och, Royd, to nie jest dotknięcie, prawdziwe. Oddzielają nas kombinezony. Ale ja cię dotknę, na wdę cię dotknę. Przyrzekam ci.

– Nie możesz. To niemożliwe.

– Znajdę jakiś sposób – powiedziała pewnym tonem. – Wyłącz teraz swój komunikator. Nasze głosy staną przeniesione przez hełmy.

Zamrugał i przesunął językiem po wyłączniku.

– Teraz możemy porozmawiać – powiedziała. – Prywatnie.

– Nie podoba mi się to, Melantha. To zbyt oczywiste. To niebezpieczne.

– Nie ma innego sposobu. Royd, ja wiem.

– Tak – odpowiedział. – Zdawałem sobie z tego sprawę. Trzy ruchy do przodu, co? Pamiętam twój sób rozgrywania partii szachowych. Ale to jest znacznie poważniejsza gra i byłabyś bezpieczniejsza, gd udawała ignorancję.

– W pełni to rozumiem, kapitanie. Nie jestem jednak pewna innych rzeczy. Czy możemy o nich po mawiać?

– Nie. Nie proś mnie o to. Rób po prostu tak, jak ci mówię. Jesteście w niebezpieczeństwie, wszyscy mogę was ochronić. Im mniej będziecie wiedzieli, tym moja ochrona będzie skuteczniejsza. – Jego tw widoczna przez przeźroczystą płytę hełmu, była wyraźnie smutna.

Spojrzała mu w oczy.

– To może być drugi członek załogi, ktoś ukryty w twojej kwaterze, ale nie wierzę w to. To sam statek, prawda? Morduje nas twój statek. Nie ty. On. Tyle że to nie ma sensu. Ty wydajesz rozkazy ŻEGLARZOWI NOCY. Jak on może samodzielnie działać? I dlaczego? Z jakiego powodu? I jak został zabity Thale Lasamer? Sprawa z Alys i Lommie, to było proste, ale morderstwo psioniczne? Statek kosmiczny, obdarzony zdolnościami psi? Nie mogę tego uznać za możliwe. To nie może być statek. A z drugiej strony to nie może być cokolwiek innego. Pomóż mi, kapitanie.

Zamrugał, w jego oczach było cierpienie.

– Nie powinienem był przyjmować propozycji d'Branina, nie w przypadku, gdy wśród was był telepata. To było zbyt ryzykowne. Ale chciałem zobaczyć wolkrynów, a Karoly mówił o nich tak poruszająco. – Westchnął. – Już i tak zbyt wiele rozumiesz, Melantha. Nie mogę zdradzić ci więcej albo będę bezsilny, niezdolny cię chronić. Funkcjonowanie statku jest nieprawidłowe, to wszystko, co musisz wiedzieć. Zbyt mocne domaganie się pełnej prawdy jest niebezpieczne. Myślę, że tak długo, jak urządzenia kontrolne są w moich rękach jestem w stanie ochronić ciebie i innych przed niebezpieczeństwem. Zaufaj mi.

– Zaufanie musi być odwzajemnione – powiedziała Melantha.

Royd podniósł rękę i odepchnął ją, potem włączył z powrotem swój komunikator.

– Dość tego plotkowania – oznajmił. – Mamy do wykonania konkretną pracę. Chodź. Przekonajmy się, czy rzeczywiście jesteś ulepszona.

W samotności swego hełmu Melantha zaklęła.



Z nieregularnie skręconym kawałem metalu, zamkniętym w magnetycznym chwycie swego skutera, Rojan Christopheris pożeglował z powrotem w stronę ŻEGLARZA. Patrzył z oddali jak Royd Eris wyłania się ze statku na swym zbyt wielkim skuterze. Był nieco bliżej, gdy Melantha Jhirl odwróciła skuter i przytknęła swój hełm do hełmu Royda. Christopheris słuchał ich wstępnej, osobistej rozmowy, słyszał jak Melantha przyrzekła dotknąć go – Erisa, tego nieczłowieka, tego mordercę. Przełknął narastającą w nim furię. Potem oni się wyłączyli, odcięli go, odcięli wszystkich. Ale ona ciągle tam wisiała, obok tej zagadki w garbatym skafandrze, ich twarze przyciśnięte do siebie jak dwojga całujących się kochanków.

Christopheris podleciał bliżej, zwolnił schwytaną płytę tak, żeby podryfowała w ich stronę.

– Macie – oznajmił. – Lecę złapać następną.

Wyłączył swój komunikator i zaklął, a jego skuter zatoczył krąg wokół sfer ŻEGLARZA i łączących je rur.

W jakiś sposób oni wszyscy są w to wmieszani, pomyślał z goryczą, Royd i Melantha i prawdopodobnie również stary d'Branin. Ona od początku broniła Erisa, powstrzymywała ich, gdy mogli razem coś przedsięwziąć, wiedziała dokładnie kim lub czym jest Eris. Miał rację, że jej nie ufał. Ciarki przeszły mu po skórze, gdy przypomniał sobie, że poszedł z nią do łóżka. Ona i Eris są tacy sami, bez względu na to, co to oznacza. A teraz biedna Alys nie żyje i ta durna Thorne, i nawet ten przeklęty telepata, ale Melantha wciąż jest z nim, a przeciwko wszystkim pozostałym. Rojan Christopheris był mocno przestraszony, i rozgniewany, i na wpół pijany.

Lingwiści i d'Branin byli poza zasięgiem wzroku, ścigając gdzieś wirujące płyty niemal zmienionego w żużel metalu. Royd i Melantha całkowicie zajęli się sobą, więc statek był pusty i nie chroniony. To była jego szansa. Nic dziwnego, że Eris nalegał, żeby wszyscy wyszli w przestrzeń przed nim. Oddzielony od urządzeń kontrolnych ŻEGLARZA NOCY był tylko człowiekiem. I na dodatek słabym.

Uśmiechając się twardo Christopheris poprowadził skuter wokół sfer towarowych i ukryty przed czyimkolwiek wzrokiem, zniknął w otwartej paszczy cylindra, mieszczącego silniki. To był długi tunel, otwarty na próżnię, bezpieczny od korozji powodowanej powietrzem. Jak większość statków ŻEGLARZ NOCY

Wewnętrzne drzwi otworzyły się z sykiem i Royd ruszył z miejsca.

Wewnątrz czekali Dannel i Lindran, pływając we mgłę kropelek krwi. Dannel był rozcięty niemal o krocza do gardła i jego jelita falowały jak gniazda bladych, rozzłoszczonych węży. Lindran ciągle trzymał nóż. Podpłynęli bliżej, poruszając się z wdziękiem, jakiego nigdy nie mieli za życia.

Royd podniósł przednie ramiona skutera i odrzucił ich na bok, ruszając jednocześnie do przodu. Danne jak kula bilardowa odbił się od ściany, zostawiając szeroki, mokry ślad w miejscu, w które uderzył i z roz ciętego brzucha wysunęło mu się jeszcze więcej wnętrzności. Lindran wypuściła nóż z dłoni. Royd przyś pieszył i przefrunął obok nich, kierując się poprzez chmurę krwi w głąb korytarza.

– Będę patrzyła do tyłu – powiedziała Melantha. Odwróciła się i oparła się o jego plecy. Dwa martw ciała zostały już bezpiecznie za nimi. Nóż bezużytecznie unosił się w powietrzu. Chciała powiedzieć Roydo wi, że wszystko jest w porządku, gdy nagle nóż odwrócił się i podążył za nimi, popychany niewidzialną siłą

– Skręcaj! – wrzasnęła.

Skuter skoczył dziko w bok. Nóż chybił o pełny metr i dźwięcząc odbił się od ściany.

Ale nie zatrzymał się. Znowu poleciał ku nim.

Przed nimi pojawiło się wejście do mesy. Ciemne.

– Drzwi są zbyt wąskie – powiedział Royd. – Będziemy musieli opuścić... – W tym momencie uderzyli

Royd wbił skuter prosto we framugę przejścia i nagłe szarpnięcie wyrzuciło ich w powietrze.

Przez chwilę Melantha koziołkowała bezradnie w korytarzu, starając się odróżnić górę od dołu. Nóż ude rzył szybko, rozcinając skafander i otwierając jej ramię aż do kości. Poczuła ostry ból i ciepło płynącej krwi

– Cholera – wrzasnęła.

Nóż znowu obrócił się ku niej, rozpylając czerwone kropelki.

Ręka Melanthy wystrzeliła do przodu i chwyciła rękojeść.

Melantha wymamrotała coś pod nosem i wyszarpnęła ostrze z dłoni, która je dotąd trzymała.

Royd wrócił już do urządzeń kontrolnych skutera i zaczynał przy nich manipulować. Melantha zobaczy ła, że pod nim, w ciemności mesy podnosi się jakaś półludzka postać.

– Royd! – krzyknęła ostrzegawczo.

Postać uruchomiła trzymany w rękach niewielki laser. Cienki promień uderzył Royda prosta w pierś.

Royd nacisnął własny przycisk spustowy. Mocny laser, zamontowany na skuterze ożył jaskrawą lini światła. Uderzyła prosto w broń Christopherisa, spopielając ją i odcinając jego prawe ramię i część klatk piersiowej. Promień zawisł w powietrzu, pulsując. Z miejsca, w którym dotknął przeciwległej ściany zaczą się unosić dym.

Royd dokonał jakichś poprawek wśród przyrządów i zaczął wycinać dziurę.

– Przebijemy się w pięć minut albo jeszcze szybciej – powiedział.

– Nic ci się nie stało? – spytała Melantha.

– Nic mi nie jest. Mój skafander jest znacznie lepiej opancerzony niż wasze, a ten laser to była tylko za bawka o niewielkiej mocy.

Melantha z powrotem skupiła uwagę na korytarzu.

Zbliżali się lingwiści, posuwając się pod przeciwległymi ścianami, żeby napaść na nią z dwóch stron je dnocześnie. Napięła mięśnie. Ramię pulsowało bólem. Poza tym czuła się silna, niemal niezwyciężona.

– Trupy znowu mają zamiar nas zaatakować – oznajmiła Roydowi. – Zajmę się nimi.

– Czy to rozsądne? – spytał. – Ich jest dwoje.

– Jestem ulepszonym modelem – odpowiedziała – a oni są martwi.

Odbiła się od skutera i pofrunęła ku Dannelowi po wysokiej, pełnej wdzięku trajektorii. Podniósł ramio na, żeby ją zablokować. Odbiła je na bok, wygięła jedno z nich daleko do tyłu, słysząc jak trzaska w nim

dzieć o wolkrynach, Karoly. A ty, Melantha, musisz zagrać ze mną w szachy, i znaleźć sposób na dotnięcie mnie, i...

– I na pójście z tobą do łóżka? – dokończyła, uśmiechając się.

– Jeśli będziesz chciała – powiedział cicho. Potem wzruszył ramionami. – Matka z pewnością wszystko słyszała. Niewątpliwie będzie się uważnie przysłuchiwać wszelkim planom, jakie moglibyśmy robić, więc nie ma sensu w ogóle niczego planować. Teraz już nie ma żadnej nadziei, że będę mógł przejść przez moją śluzę, gdyż jest ona sterowana bezpośrednio z komputera. Musimy więc podążyć za innymi przez pomieszczenia silnikowe, wejść główną śluzą i wykorzystać maksymalnie te niewielkie szanse, jakie będziemy mieli. Jeśli uda mi dotrzeć do mojej konsoli i przywrócić grawitację, być może zwyciężymy. Jeżeli nie...

Przerwał mu niski jęk.

Przez chwilę Melantha myślała, że ŻEGLARZ NOCY zaczyna bombardować ich dźwiękami i była zaskoczona głupotą podejmowania drugi raz tej samej taktyki. Potem jęk zabrzmiał znowu, z tyłu skutera d'Branina. Zapomniana, czwarta członkini ich grupy zaczęła mocować się z krępującymi ją więzami.

Karoly d'Branin pośpiesznie odwrócił się, żeby ją uwolnić. Agatha Marij-Black próbowała podnieść się na nogi i niemal wyleciała ze skutera, d'Branin musiał chwycić ją za rękę i ściągnąć z powrotem.

– Dobrze się czujesz? – spytał. – Słyszysz mnie? Boli cię coś?

Uwięzione pod przeźroczystą zasłoną, przestraszone oczy przeskoczyły gwałtownie od d'Branina do Melanthy, do Royda i potem ku uszkodzonemu ŻEGLARZOWI. Melantha zastanawiała się, czy kobieta jest przy zdrowych zmysłach i właśnie miała ostrzec d'Branina, gdy Marij-Black przemówiła.

– Wolkryi! Och. Wolkryni! – to było wszystko, co powiedziała.

Wokół wylotu tunela zaczął się jarzyć pierścień silników atomowych. Melantha usłyszała jak Royd wciąga raptownie powietrze. Mocno przekręciła uchwyt, sterujący przyśpieszeniem jej skutera.

– Szybko – powiedziała głośno. – ŻEGLARZ szykuje się do odlotu.



W jednej trzeciej drogi przez tunel Royd dogonił ją i zaczął lecieć obok niej, sztywny i groźny w swym czarnym, masywnym skafandrze. Bok przy boku minęli cylindry i sieci hipernapędu, przed nimi rysowała się w słabym świetle główna gródź powietrzna wraz ze swym upiornym strażnikiem.

– Kiedy dotrzemy do grodzi, przeskocz na mój skuter – powiedział Royd. – Chcę być uzbrojony i mieć pojazd, a dwa skutery nie zmieszczą się w komorze śluzy.

Melantha Jhirl zaryzykowała szybkie spojrzenie za siebie.

– Karoly – zawołała. – Gdzie ty jesteś?

– Na zewnątrz, kochana, przyjacielu – dobiegła ją odpowiedź. – Nie mogę lecieć z wami. Wybaczcie mi.

– Musimy trzymać się razem!

– Nie – powiedział d'Branin. – Nie, nie mogę tego ryzykować, nie wtedy, gdy jesteśmy tak blisko. To byłoby takie tragiczne, takie bezcelowe, Melantha. Tak bardzo się zbliżyć i w ostatniej chwili się wycofać. Nie mam nic przeciwko śmierci, ale muszę ich najpierw zobaczyć, wreszcie, po wszystkich tych latach.

– Moja matka ma zamiar stąd odlecieć – wtrącił się Royd. – Karoly, zostaniesz tutaj, zginiesz.

– Poczekam – odpowiedział d'Branin. – Moi wolkryni przylecą i ja muszę na nich czekać.

Czas na rozmowę minął, gdyż byli już niemal przy grodzi. Oba skutery zwolniły i zatrzymały się, Royd Eris wyciągnął rękę, żeby zaprogramować przejście, a Melantha przeskoczyła na tył owalnej podstawy jego skutera. Kiedy zewnętrzne drzwi się otworzyły, wlecieli do komory śluzy.

– Zacznie się po otwarciu wewnętrznych drzwi – powiedział Royd obojętnym głosem. – Umeblowanie statku jest wbudowane w podłogę, albo na stałe do niej przymocowane, ale rzeczy, które przyniosła ze sobą twoja grupa – nie. Matka użyje ich jako broni. I strzeż się drzwi, grodzi powietrznych, wszystkiego, co jest połączone z komputerem statku. Nie muszę ci chyba mówić, żebyś nie rozpinała skafandra?

– Nie musisz – odpowiedziała.

Royd zmniejszył nieco wysokość, ramiona robocze skutera wydały metaliczny dźwięk, dotykając podłogi komory.



Tomek Tomaszewski

ał potrójny system napędowy – pole grawitacyjne do lądowania i startów, bezużyteczne z dala od źródeł wwitacji, napęd nuklearny do podświetlnych manewrów w przestrzeni kosmicznej i wreszcie wielkie sili hipernapędu. Światła skutera prześliznęły się po pierścieniu silników nuklearnych i położyły się długi, jasnymi smugami na bokach zamkniętych cylindrów hipernapędu, wielkich, ujętych w sieci metalu i ształu maszyn, które zaginały tkankę czasoprzestrzeni.

Na końcu tunelu znajdowały się wielkie, koliste drzwi ze wzmocnionego metalu, zamknięte – główna dź powietrzna.

Ksenobiolog wylądował, zszedł ze skutera – z pewnym trudem uwalniając buty z magnetycznego chwytu podszedł do grodzi. To jest najtrudniejsze, pomyślał. Bezgłowe ciało Lasamera było luźno przywiązane potężnej, stojącej obok podpory. Sprawiało wrażenie ponurego strażnika dalszej drogi. Coś zmuszało ristopherisa, żeby, programując przejście przez śluzę, bez przerwy na nie patrzyć. Ilekroć odwrócił rok, stwierdzał po chwili, że jego oczy uparcie wędrowały z powrotem. Ciało wyglądało niemal natura-, jakby nigdy nie miało głowy. Christopheris chciał przypomnieć sobie, jak Lasamer wyglądał, jednak y twarzy telepaty wymykały się jego pamięci. Zaczął wiercić się niespokojnie i był naprawdę wdzięczny wiom, że wreszcie się otworzyły i mógł wejść do śluzy.

Znalazł się na pokładzie ŻEGLARZA NOCY, sam.

Był człowiekiem ostrożnym, nie zdjął więc skafandra, jakkolwiek otworzył hełm, ściągnął z głowy nagle czałą, metaliczną tkaninę i odrzucił ją na plecy jak kaptur. Jeżeliby zaszła taka potrzeba, mógł dostanie szybko włożyć hełm z powrotem. W luku towarowym numer cztery, w którym członkowie ekspedyłożyli swój ekwipunek, znalazł to, czego mu było potrzeba – przenośny laser tnący, w pełni naładowany towy do użycia. Laser miał niewielką moc, ale i tak była ona wystarczająca.

owolny i niezgrabny w nieważkości, przeciągnął się ręka za ręką wzdłuż korytarza do zaciemnionej y.

yło w niej bardzo zimno, powietrze kładło się chłodem na jego policzkach. Starał się nie zwracać na to gi. W drzwiach zebrał siły i odepchnął się nogami od ściany. Pożeglował nad meblami, na szczęście piecznie przymocowanymi do podłogi. W czasie lotu coś zimnego i mokrego dotknęło jego twarzy. drygnął się, ale wrażenie zniknęło zanim zdołał ustalić co było jego źródłem.

iedy się powtórzyło, Christopheris szybko sięgnął ręką ku twarzy i zamknął dłoń. Poczuł nagły przyv mdłości. Zapomniał. Nikt jeszcze nie wysprzątał mesy. Wciąż były tu... pozostałości, unoszące się tew powietrzu – krew, kawałki skóry, odłamki kości, mózg. Wszędzie wokół niego.

otarł do przeciwległej ściany, wyhamował ramionami i przeciągnął się w dół do miejsca, w którym ał się znaleźć. Przegroda. Ściana. Nie było widać żadnych drzwi, ale nie przypuszczał, żeby metal był dzo gruby. Za nim znajdowało się stanowisko dowodzenia, końcówki komputera, bezpieczeństwo, po-. Christopheris nie uważał się za człowieka mściwego. Nie miał zamiaru wyrządzać Roydowi żadnej wdy. Nie jemu go osądzać. Przejmie tylko kontrolę nad ŻEGLARZEM NOCY, zneutralizuje Erisa, wni się, że będzie on zamknięty bezpiecznie w swoim skafandrze. Potem poprowadzi ich wszystkich z rotem, bez żadnych następnych zagadek, bez następnych trupów. Arbitrzy Akademii wysłuchają całej orii, zbadają Erisa i zdecydują kto miał rację, a kto się mylił, kto był winny, a kto nie i co z tym wszym powinno być zrobione.

aser wypuścił z siebie cienki ołówek rubinowego światła. Christopheris uśmiechnął się i skierował je na ię. To była praca wymagająca czasu, ale on był cierpliwy. Nie zauważą jego nieobecności, był dziś barmałomówny, a jeśli nawet, to pomyślą, że zapędził się gdzieś dalej za jakimś odłamkiem metalu. Na ńczenie prac naprawczych Eris będzie potrzebował całych godzin, a może nawet dni. Z miejsca, w któjasne ostrze lasera dotykało metalu unosił się dym. Christopheris nachylił się pilnie nad swą pracą.

oś poruszyło się na skraju jego pola widzenia, niewielkie mignięcie, ledwo zauważalne. Unoszący się ałek mózgu, pomyślał. Albo odłamek kości. Zakrwawiony płat skóry, z wciąż widocznymi włosami.

– Nie. Och, może również w jakiejś szczątkowej formie. Czytałem, że wszystkie talenty psioniczne posiadają po kilka uśpionych zdolności dodatkowo do swej podstawowej siły. Matka jednak ne potrafiła czytać umysłów. Miała pewne zdolności empatyczne, ale proces leczenia zwichnął je tak, że wszystkie odbierane przez nią emocje dosłownie przyprawiały ją o mdłości. Jednak jej głównym talentem, siłą, którą przez pięć lat starali się rozbić i zniszczyć, była telekineza.

Melantha Jhirl zaklęła.

– Nic dziwnego, że nienawidziła grawitacji! Telekineza w nieważkości jest...

– Tak – skończył Royd. – Utrzymywanie grawitacji na ŻEGLARZU jest dla nie torturą, ale ogranicza moją matkę.

W ciszy, która zapanowała po tych słowach każde z nich spojrzało w głąb ciemnego tunelu. Karoly d'Branin poruszał się niezgrabnie na swoim skuterze.

– Dannel i Lindran jeszcze nie wrócili – powiedział.

– Prawdopodobnie nie żyją – beznamiętnie stwierdził Royd.

– Co więc mamy robić? Musimy ułożyć jakiś plan. Nie możemy czekać tu bez końca.

– Podstawowym pytaniem jest tutaj: co ja mam robić? – odpowiedział Royd Eris. – Zauważcie, że mówiłem zupełnie otwarcie. Zasługujecie na to, żeby wiedzieć. Minęliśmy już punkt, do którego ignorancja była ochroną. Najwyraźniej rzeczy zaszły już za daleko. Było zbyt wiele śmierci, a wy byliście świadkiem każdej z nich. Matka nie może pozwolić wam wrócić żywymi na Avalon.

– To prawda – powiedziała Melantha. – Ale co ona zrobi z tobą? Czy twój status jest zagrożony, kapitanie?

– Tak, w tym tkwi sedno problemu – zgodził się Royd. – Ciągle jesteś trzy ruchy do przodu, Melantha. Zastanawiam się, czy to wystarczy. W tej grze przeciwnik przewiduje cztery ruchy naprzód, a większość twoich pionków została już zbita. Obawiam się, że mat jest tu nieuchronny.

– Chyba że uda mi się namówić do współdziałania króla mojego przeciwnika, prawda?

Zobaczyła, że Royd uśmiecha się nieznacznie.

– Jeżeli zdecydowałbym się przejść na waszą stronę, prawdopodobnie i mnie by zabiła. Właściwie nie jestem jej potrzebny.

Karoly d'Branin miał pewne kłopoty w zrozumieniu tego wszystkiego.

– Ale... ale co innego można...

– Mój skuter jest wyposażony w laser. Wasze nie. Mógłbym zabić was oboje, w tej chwili i w ten sposób wkupić się na powrót w łaski ŻEGLARZA NOCY.

Poprzez trzy metry pustki, które oddzielały ich skutery oczy Melanthy spotkały się z oczyma Royda. Jej dłonie spoczywały luźno na przyciskach kontrolnych pojazdu.

– Możesz spróbować, kapitanie. Pamiętaj jednak, że zabicie ulepszonego modelu nie jest zadaniem prostym.

– Nigdy bym cię nie zabił, Melantho Jhirl – powiedział Royd poważnym tonem. – Przeżyłem sześćdziesiąt osiem standardowych lat i przez cały ten czas nie zasmakowałem życia. Jestem zmęczony, a ty potrafisz mówić wspaniałe kłamstwa. Naprawdę mnie dotkniesz?

– Tak.

– Ryzykuję wiele dla tego dotyku. Jednak w pewnym sensie nie podejmuję żadnego ryzyka. Jeżeli przegramy, umrzemy wszyscy. A jeśli zwyciężymy, no cóż, ja i tak umrę, gdy ŻEGLARZ NOCY zostanie zniszczony na Avalonie. Albo to, albo będę żył jako kaleka w orbitalnym szpitalu. Wolę raczej śmierć.

– Zbudujemy dla ciebie nowy statek, kapitanie – obiecała Melantha.

– Kłamczucha – odpowiedział Royd. Jednak jego głos był wyraźnie pogodniejszy. – Nieważne. I tak niewiele mi już życia pozostało. Śmierć mnie nie przeraża. Jeżeli zwyciężymy, musisz mi jeszcze raz opowie-

– Ty ciągle coś przed nami ukrywasz – powiedziała Melantha Jhirl. – Rozumiem w jaki sposób twój cybernetyczny duch może w dowolnej chwili otwierać i zamykać grodzie powietrzne i preparować inne tego typu wypadki. Ale jak wytłumaczysz to, co ona zrobiła z Lasamerem?

– Koniec końców wina leży po mojej stronie – odpowiedział Royd. – Samotność popchnęła mnie do decyzji, które okazały się ogromnym błędem. Myślałem, że będę w stanie zapewnić wam bezpieczeństwo, nawet wtedy, gdy będzie wśród was telepata. Przewoziłem już bezpiecznie innych pasażerów. Obserwowałem ich bezustannie, uniemożliwiałem im niebezpieczne działania. Jeśli matka usiłowała się wtrącać, neutralizowałem jej posunięcia bezpośrednio z głównej konsoli dowódczej. To zwykle skutkowało. Nie zawsze. Zwykle. Przed tą podróżą zabiła tylko pięć razy, a pierwsza trójka umarła, gdy byłem jeszcze bardzo młody. W ten właśnie sposób ją poznałem, dowiedziałem się o jej obecności na moim statku. W tamtej grupie również był telepata. Jednak powinienem był wiedzieć, Karoly. Mój głód życia skazał was wszystkich na śmierć. Przeceniłem swoje możliwości, a nie doceniłem jej strachu przed ujawnieniem. Ona uderza, gdy jest zagrożona, a telepaci są bezustannym zagrożeniem. Wyczuwają ją. Chorą, ponurą obecność, mówią, coś zimnego, wrogiego i nieludzkiego.

– Tak – powiedział Karoly d'Branin – tak, to właśnie Thale Lasamer mi mówił. I obcego, był tego pewien.

– Nic dziwnego, że ona wydawała się obca telepacie, przyzwyczajonemu do znajomych wzorów umysłów organicznych. Ona przecież nie jest ludzkim mózgiem. Nie potrafię powiedzieć, czym jest – kompleksem krystalicznych pamięci, piekielną siecią wzajemnie powiązanych programów, obwodami i duszą, stopionymi w jedność. Tak, potrafię w pełni zrozumieć dlaczego wydawała mu się obca.

– Ciągle nie wyjaśniłeś w jaki sposób program komputerowy może doprowadzić do eksplozji ludzkiej czaszki – powiedziała Melantha.

– Nosisz odpowiedź między piersiami, Melantha.

– Mój szepczący kamień? – spytała zdziwiona. Poczuła go w tym momencie – pod skafandrem próżniowym i ubraniem – dotyk zimna, niewyraźne przypomnienie erotyzmu, które przyprawiło ją o dreszcz. To było tak, jak by kamień ożył na samo o nim wspomnienie.

– Nie wiedziałem nic o szepczących kamieniach do czasu, aż powiedziałaś mi o swoim. Zasada tutaj jest ta sama. Psioniczne odwzorowanie, powiedziałaś. Wiesz więc, że moc psioniczna może być gromadzona. Centralny układ mojego komputera jest kryształem rezonacyjnym, wielokrotnie większym niż twój mały brylancik. Myślę, że matka na łożu śmierci odcisnęła w nim swój wzór.

– Tylko ktoś obdarzony talentem psionicznym może odcisnąć wzór w szepczącym kamieniu – powiedziała Melantha.

– Nigdy żadne z was nie zapytało o powody tego wszystkiego. Nie zapytaliście dlaczego moja matka tak nienawidziła ludzi. Widzicie, ona urodziła się z darem, z talentem. Na Avalonie miałaby chyba klasę jeden, sprawdzoną, wytrenowaną i przez wszystkich uznawaną, jej talent byłby pielęgnowany i dobrze nagradzany. Myślę, że mogłaby być bardzo sławna. Być może była nawet silniejsza niż klasa jeden, ale możliwe jest też, że dopiero po śmierci, wtopiona w ŻEGLARZA, uzyskała taką moc. Ale nie urodziła się na Avalonie. Na Vess jej dar był uważany za przekleństwo, za coś obcego i przerażającego. Więc chcieli ją z niego wyleczyć. Używali narkotyków i elektrowstrząsów, i uwarunkowania hipnotycznego, po którym dostawała gwałtownych wymiotów za każdym razem, gdy chciała użyć swego talentu. Uciekali się również do innych, mniej delikatnych metod. Oczywiście nie straciła swojej mocy, jedynie umiejętność efektywnego jej używania i kontrolowania jej w sposób racjonalny. Talent pozostał jej nieodłączną częścią, zdławiony, nieobliczalny, źródło wstydu i bólu, ujawniający się gwałtownie w chwilach wielkich napięć emocjonalnych. Pięć lat instytucjonalnej opieki niemal wpędziło ją w obłęd. Nic dziwnego, że potem nienawidziła ludzi.

– Na czym polegał jej talent? Telepatia?

Potworność, ale nic, czego trzeba by się obawiać. Był biologiem, przyzwyczaił się do widoku krwi, mózgu i płatów skóry. I do gorszych nawet rzeczy, znacznie gorszych. W swoim czasie robił sekcje wielu obcych, przecinając chitynę, przedzierając się przez śluz, otwierając pulsujące i cuchnące żołądki i worki jadowe, widział to wszystko i dotykał tego.

Znowu ten ruch, drażnił wzrok. Christopheris czuł, że musi spojrzeć w tamtą stronę, chociaż tego nie chce. W jakiś sposób nie mógł nie spojrzeć, tak jak nie mógł oderwać wzroku od bezgłowego ciała przy śluzie. Spojrzał.

To było oko.

Christopheris zadrżał i promień lasera ześliznął się ostro w jedną stronę. Z wysiłkiem wprowadził go z powrotem w wycinany w ścianie kanał. Serce mu waliło jak młot. Próbował się uspokoić. Nie ma się czego bać. Nikogo tu nie ma, a jeśli nawet Royd wróci, no cóż, ma przecież laser jako broń i skafander na wypadek otworzenia śluz powietrznych.

Znowu spojrzał na wiszące w powietrzu oko, siłą woli odsuwając obawy. To tylko oko, jedno z oczu Lasamera, bladobłękitne, przekrwione, ale nietknięte, to samo wodniste oko, które tkwiło w głowie chłopaka, gdy był on jeszcze żywy, nic nadnaturalnego. Kawałek martwego ciała, unoszący się w mesie między innymi kawałkami martwego ciała. Ktoś jednak powinien tutaj posprzątać, pomyślał ze złością. Zostawienie tutaj tego wszystkiego było nieprzyzwoite, niegodne cywilizowanych ludzi.

Oko wisiało nieruchomo. Inne przerażające resztki dryfowały, popychane prądami powietrza w mesie, ale oko było nieruchome. Nie zmieniało wysokości, nie kręciło się. Było utkwione w nim. Patrzyło.

Przeklął się za głupotę i skupił myśli na laserze, na swej pracy. Wypalił już w ścianie prostą, pionową linię prawie metrowej długości. Rozpoczął wycinanie następnej, pod kątem prostym do tamtej.

Oko przyglądało mu się beznamiętnie. Christopheris nagle stwierdził, że dłużej tego nie zniesie. Jedna z jego rąk zwolniła chwyt na laserze, sięgnęła, złapała oko i rzuciła je w głąb pomieszczenia. Sprawiło to, że stracił równowagę. Przekoziołkował do tyłu, zupełnie już wypuszczając laser, z ramionami trzepoczącymi jak skrzydła absurdalnie ciężkiego ptaka. W końcu chwycił róg stołu i zatrzymał się.

Laser wisiał w centrum mesy, unosząc się między filiżankami do kawy i fragmentami ludzkiej tkanki, ciągle strzelając. Obracał się powoli. To nie miało sensu. Laser powinien automatycznie się wyłączyć, gdy wyleciał mu z rąk. Zepsuł się, pomyślał Christopheris nerwowo. Dym wznosił się ze ścieżki, którą cienka linia światła rysowała na dywanie.

Z nagłym drżeniem Christopheris zdał sobie sprawę, że laser zwraca się w jego stronę.

Podniósł się, położył obie dłonie płasko na stole i wypchnął się w górę. Pożeglował w stronę sufitu, uciekając przed dymiącą kreską.

Teraz laser zaczął się obracać wyraźnie szybciej.

Christopheris mocno odepchnął się od sufitu, uderzył w ścianę, jęknął z bólu, odbił się od podłogi, kopnął. Laser poruszał się szybko, ścigając go. Christopheris wzbił się wysoko, przygotował na następne odbicie od sufitu. Promień zatoczył krąg, jednak zbyt wolno. Dostanie go, gdy wciąż będzie strzelał w odwrotnym kierunku.

Zbliżył się, wyciągnął rękę. I zobaczył oko.

Wisiało nad laserem. Patrząc.

Rojan Christopheris zakwilił cicho w głębi gardła i jego ręka zawahała się – tylko przez moment, ale to wystarczyło. Rubinowy promień uniósł się i zwrócił ku niemu.

Jego dotyk był lekką, gorącą pieszczotą na szyi.



Upłynęła ponad godzina zanim stwierdzili, że go z nimi nie ma. Pierwszy zauważył jego nieobecność Karoly d'Branin, wezwał go przez komunikator i nie otrzymał odpowiedzi. Powiedział o tym pozostałym.

Royd Eris cofnął swój skuter, odsuwając się od pancernej płyty, którą właśnie montował. Przez przeźroczystą zasłonę jego hełmu Melantha Jhirl zobaczyła jak twardnieją mu linie wokół ust.

W tej właśnie chwili wybuchły hałasy.

Przenikliwy wrzask strachu i bólu, potem jęki i gulgoty. Potworne, mokre odgłosy, jakby wydawane przez człowieka dławiącego się własną krwią. Wszyscy to słyszeli. Dźwięki wypełniły bez reszty wnętrza ich hełmów. I niemal czysto pośród tej udręki zabrzmiało coś, co przypominało słowo: „Ratunku!"

– To Christopheris – powiedził kobiecy głos. Lindran.

– Coś mu się stało – dodał Dannel. – Wzywa pomocy. Nie słyszycie tego?

– Gdzie... – ktoś zaczął.

Royd Eris powiedział:

– Głupiec. Ostrzegałem...

– Mam zamiar to sprawdzić – oznajmiła Lindran. Dannel zwolnił holowany przez nich fragment poszycia statku, który uleciał, koziołkując. Skuter lingwistów skręcił w dół ku ŻEGLARZOWI NOCY.

– Zatrzymajcie się – rozkazał Royd. – Wrócę do mojej kwatery i sprawdzę wszystko stamtąd, jeśli sobie życzycie, ale wy nie możecie teraz wchodzić na statek. Musicie zostać na zewnątrz do czasu, aż wam pozwolę wejść.

Straszliwe dźwięki wciąż nie milkły.

– Idź do diabła – warknęła na niego Lindran.

Karoly d'Branin również wprawił swój skuter w ruch, śpiesząc za lingwistami, ale był znacznie dalej i miał do statku jeszcze długą drogę.

– Royd, co ty chcesz powiedzieć? Przecież musimy mu pomóc, nie rozumiesz tego? Coś mu się stało, posłuchaj go. Proszę, przyjacielu.

– Nie – odpowiedział Royd. – Karoly, zatrzymaj się! Jeżeli Rojan wrócił samotnie na statek, to już jest martwy.

– Skąd wiesz? – krzyknął Dannel. – Przygotowałeś to? Zastawiłeś pułapki na wypadek, gdybyśmy ci nie byli posłuszni?

– Nie. Posłuchajcie mnie. Nie możecie mu teraz pomóc. Tylko ja mogłem go uratować, ale nie chciał mnie słuchać. Uwierzcie mi. Zatrzymajcie się. – W jego głosie brzmiała desperacja.

W oddali skuter d'Branina zwolnił wyraźnie. Jednak lingwistów nie.

– Powiedziałabym, że zbyt długo cię już słuchaliśmy – stwierdziła Lindran. Musiała niemal krzyczeć, żeby być słyszaną poprzez rozbrzmiewające w ich hełmach dźwięki, szloch i jęki, obrzydliwe mokre zasysanie, niewyraźne błagania o pomoc. Agonia wypełniła cały wszechświat.

– Melantha – kontynuowała Lindran – zatrzymaj Erisa tam, gdzie jest teraz. Będziemy ostrożni, zobaczymy co się tam dzieje, ale nie chcę, żeby on dostał się do swoich urządzeń kontrolnych. Zrozumiałaś?

Melantha Jhirl wahała się. Dźwięki biły z mocą w jej uszy. Trudno było zebrać myśli.

Royd odwrócił skuter, zwracając się do niej twarzą. Czuła na sobie ciężar jego wzroku.

– Zatrzymaj ich – powiedział. – Melantha, Karoly, rozkażcie im się zatrzymać. Mnie nie będą słuchać. Nie zdają sobie sprawy z tego, co robią. – Wyraźnie cierpiał.

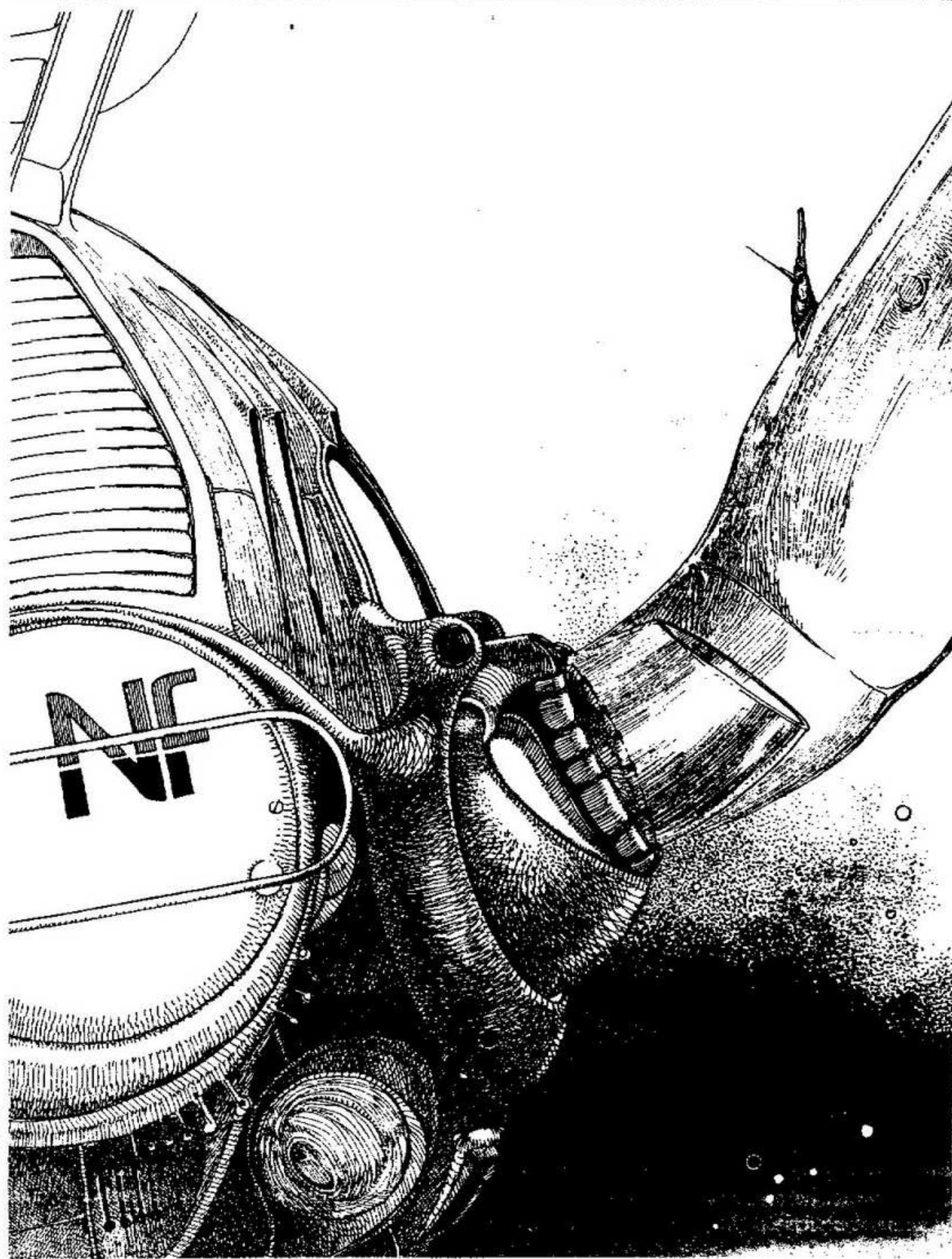
Wyraz jego twarzy pomógł jej podjąć decyzję.

– Wracaj szybko do środka, Royd. Zrób, co będziesz mógł. Ja spróbuję ich zatrzymać.

– Po czyjej ty jesteś stronie? – spytała oskarżająco Lindran.

Royd skinął do niej głową poprzez przestrzeń, ale Melantha już wprawiła skuter w ruch. Wycofała go z obszaru prac, usianego fragmentami kadłuba i innymi śmieciami, potem gwałtownie przyśpieszyła, lecąc wokół ŻEGL... NOCY w stronę pomieszczeń silnikowych.

Jednak ... widziała, że jest za późno. Lingwiści znajdowali się zbyt blisko i poruszali się znacz-



Tomek Tomaszewski

– Umarła, Karoly – powiedział Royd. – Nie kłamałem.
– Nie – zgodziła się Melantha. – Byłam tego pewna. Ale również nie powiedziałeś nam całej prawdy.
Royd skinął głową.
– Matka umarła, ale jej… jej duch ciągle żyje i wypełnia mego ŻEGLARZA. – Westchnął. – Może raczej powinienem powiedzieć – jej ŻEGLARZA. Moja kontrola nad statkiem jest co najmniej ograniczona.
– Royd – powiedział d'Branin – duchy nie istnieją. Nie są rzeczywiste. Nie ma życia po śmierci. Moje wolkryny są bardziej realne niż jakiekolwiek duchy.
– Ja również nie wierzę w duchy – dodała Melantha szorstko.
– Nazywajcie to więc jak chcecie – powiedział Royd. – Moja nazwa jest równie dobra, jak jakakolwiek inna. Rzeczywistości nie można zmienić terminologią. Moja matka, czy też jakaś jej część, ciągle żyje w ŻEGLARZU NOCY i zabija was wszystkich po kolei, tak, jak przedtem zabijała innych.
– Royd, to co mówisz nie ma sensu – upierał się d'Branin.
– Spokojnie, Karoly. Pozwólmy kapitanowi wyjaśnić do końca.
– Tak – powiedział Royd. – ŻEGLARZ NOCY jest bardzo… bardzo nowoczesny, jak wiecie. Zautomatyzowany, samonaprawiający się, duży. Musiał być taki, jeżeli matka miała się uwolnić od konieczności posiadania załogi. Został zbudowany na Newholme, jak zapewne sobie przypominacie. Nigdy tam nie byłem, ale przypuszczam, że zarówno nauka, jak i technika są tam bardzo zaawansowane. Podejrzewam, że Avalon nie potrafiłby zbudować kopii tego statku. Niewiele światów by to potrafiło.
– W czym tkwi sedno, kapitanie?
– Sedno… sedno tkwi w komputerach, Melantha. Matka życzyła sobie, żeby były naprawdę wyjątkowe. Są takie, wierzcie mi, że są nadzwyczajne. Układy centralne oparte na kryształowych matrycach, laserowe pamięci zewnątrzne, w pełni sensorowe urządzenia peryferyjne i inne… dodatki.
– Czy chcesz przez to powiedzieć, że ŻEGLARZ NOCY jest Sztuczną Inteligencją? Lommie Thorne domyślała się tego.
– Myliła się – ciągnął Royd. – Mój statek nie jest Sztuczną Inteligencją, nie w tym znaczeniu, jakie ja jej przypisuję. Ale jest czymś dość pokrewnym. Matka zażyczyła sobie wbudowania urządzenia, umożliwiającego odwzorowanie ludzkiej osobowości. Wypełniła centralny kryształ swymi własnymi wspomnieniami, pragnieniami, zboczeniami, swoją miłością i… swoją nienawiścią. Dlatego moje wychowanie w pełni zawierzyła komputerowi, rozumiecie? Wiedziała, że wychowa mnie tak, jakby to zrobiła ona sama, gdyby miała dość cierpliwości. Wprowadziła również do niego pewne inne programy.
– A ty nie możesz go przeprogramować, przyjacielu? – spytał d'Branin.
Głos Royda brzmiał desperacją.
– Próbowałem, Karoly. Ale nie jestem zbyt dobry w pracy z komputerami, a programy są niezwykle skomplikowane, oprzyrządowanie bardzo złożone. Co najmniej trzy razy wydawało mi się, że ją wykasowałem, jednak za każdym razem wyłaniała się z powrotem. Jest komputerowym wirusem, a ja nie mogę jej zlokalizować. Zjawia się kiedy chce, kiedy chce odchodzi. Jak duch, widzicie? Jej wspomnienia i osobowość są tak poprzeplatane z programami, które sterują życiem ŻEGLARZA, że nie mogę się ich pozbyć nie niszcząc centralnego kryształu, nie wymazując całego systemu. A to byłoby moim końcem. Nigdy nie zdołałbym napisać nowych programów, a bez komputerów cały statek przestałby funkcjonować – napędy, podtrzymywanie życia, wszystko. Musiałbym opuścić ŻEGLARZA, a to by mnie zabiło.
– Powinieneś nam o tym powiedzieć, przyjacielu – stwierdził Karoly d'Branin. – Na Avalonie mamy wielu cybernetyków, niektórzy z nich to wybitne umysły. Mogliśmy ci pomóc. Mogliśmy zapewnić ci wysoce fachowe doradztwo. Lommie Thorne mogła ci pomóc.
– Karoly, ja już korzystałem z usług ekspertów. Dwukrotnie zaprosiłem na pokład specjalistów od systemów komputerowych. Pierwszy z nich powiedział mi to, co właśnie wam powtórzyłem – że pozbycie się wirusa jest niemożliwe bez wykasowania wszystkich programów. Drugi uczył się na Newholme. Uważał, że być może będzie w stanie mi pomóc. [illegible] zabiła.

– Nie róbcie tego – powiedziała rozkazująco. – Christopheris nie żyje.
– A więc to jego duch wzywa pomocy – odrzekła Lindran. – Kiedy zszywali cię do kupy, musieli ci usz kodzić geny odpowiedzialne za słuch, dziwko.
– Statek nie jest bezpieczny.
– Dziwka – to była cała odpowiedź, jaką otrzymała.
Skuter d'Branina ścigał ich bezskutecznie.
– Przyjaciele, musicie się zatrzymać, proszę, błagam was o to. Omówmy to wszyscy razem.
Odpowiedzią były tylko przerażające dźwięki.
– Jestem waszym przełożonym – mówił d'Branin. – Rozkazuję wam czekać na zewnątrz. Słyszyci mnie? Rozkazuję to w imieniu Akademii Ludzkiej Wiedzy. Proszę, przyjaciele, proszę.
Melantha patrzyła bezradnie jak Lindran i Dannel zniknęli w wylocie tunelu.
Chwilę później wyhamowała swój skuter przez czekającymi, czarnymi ustami, zastanawiając się czy po winna lecieć za nimi w głąb ŻEGLARZA. Być może byłaby w stanie ich złapać zanim otworzyłaby się śluz powietrzna.
Głos Royda, ochrypły na tle hałasów, odpowiedział na jej nie wypowiedziane pytanie.
– Zostań, Melantha. Nie leć dalej.
Obejrzała się. Zbliżał się do niej skuter Royda.
– Co ty tu robisz? Użyj swego własnego wejścia, Royd. Musisz się dostać do swojej części!
– Melantha, nie mogę – odpowiedział spokojnie. – Statek nie reaguje na moje polecenia. Śluza nie ch się otworzyć. Jestem uwięziony na zewnątrz. Główna gródź w pomieszczeniach silnikowych jest jedyn którą można otworzyć ręcznie. Melantha, nie chcę, żebyście wchodzili na statek zanim dotrę do konsoli d wódczej, ani ty, ani Karoly.
Melantha Jhirl spojrzała w głąb cieni wewnątrz tunelu, w których zniknęli lingwiści.
– Co się stanie…
– Proś ich, żeby wrócili. Błagaj ich. Być może ciągle nie jest za późno.
Próbowała. Próbował również Karoly d'Branin. Kakofoniczna symfonia bólu i błagań trwała, zdało się, bez końca, jednak w żaden sposób nie wpłynęła na decyzję Dannela czy Lindran.
– Wyłączyli swoje komunikatory – powiedziała Melantha z furią w głosie. – Nie chcą nas słyszeć. N albo… tych dźwięków.
Skutery Royda i d'Branina dotarły do niej w tym samym czasie.
– Nic z tego nie rozumiem – powiedział Karoly. – Dlaczego nie możesz się dostać do środka, Royd? tu się dzieje?
– To proste, Karoly – odrzekł Eris. – Jestem trzymany na zewnątrz i tak będzie do czasu… do czasu…
– Tak? – zachęciła go Melantha.
– Do czasu, aż moja matka rozprawi się z nimi.



Lingwiści zostawili swój skuter obok skutera porzuconego przez Christopherisa i przeszli przez śluzę niestosownym pośpiechu, niemal nie spojrzawszy na ponurego, bezgłowego odźwiernego.
Wewnątrz zatrzymali się na chwilę, żeby zdjąć i odrzucić na plecy hełmy.
– Ciągle go słyszę – powiedział Dannel. Wewnątrz statku dźwięki były znacznie słabsze.
– To dobiega z mesy. Szybko.
Używając rąk i nóg przebyli korytarz w czasie krótszym niż minuta. Dźwięki stawały się coraz wyra niejsze, bliższe.
– On jest tam wewnątrz – powiedziała Lindran, gdy dotarli do przejścia.

– Tak – odpowiedział Dannel – ale czy jest sam? Potrzebna nam jest jakaś broń. A co jeżeli… Royd oczy-
ście musiał kłamać. Na pokładzie tego statku jest jeszcze ktoś. Będziemy musieli się bronić.
Lindran nie chciała czekać.
– Jest nas dwoje – powiedziała. – Chodźmy wreszcie!
Odbiła się i przefrunęła przez przejście, wołając Christopherisa po imieniu.
Wewnątrz mesy było ciemno. Jedyne światło dobiegało z korytarza. Jej oczy potrzebowały dłuższej
wili, żeby się przystosować. Wszystko było przemieszane. Ściany, sufit, podłoga były takie, jak zawsze,
dnak Lindran straciła poczucie kierunku.
– Rojan – krzyknęła niepewnie. – Gdzie jesteś?
Mesa wydawała się pusta, ale może była to tylko wina światła lub jej oszołomienia.
– Kieruj się tymi odgłosami – zaproponował Dannel. Wisiał w przejściu, rozglądając się przez chwilę
ważnie, potem ostrożnie, po omacku ruszył wzdłuż ściany.
Jakby w odpowiedzi na jego sugestię płaczliwe dźwięki nagle stały się głośniejsze. Jednak zdawały się
biegać najpierw z jednego kąta mesy, potem z innego.
Lindran, zniecierpliwiona, odbiła się i przefrunęła przez całe pomieszczenie, rozglądając się wokół. Do-
ła do ściany w rejonie kuchni i to przywiodło jej na myśl broń i obawy, wyrażane przez Dannela. Pamię-
a dokładnie gdzie znajdowały się kuchenne narzędzia.
– Hej – powiedziała chwilę później, odwracając się w jego stronę. – Mam nóż, to powinno cię ośmielić.
Pomachała nożem bojowo, zahaczając przypadkiem unoszący się obok bąbel płynu, wielki jak jej pięść.
zprysnął się, zmieniając w setki mniejszych kulek. Jedna z nich przeleciała tuż przed jej twarzą i Lin-
n liznęła ją językiem, smakując. Krew.
Ale przecież Lasamer nie żyje już od dawna. Jego krew powinna być zaschnięta, pomyślała.
– Och, Boże miłosierny – powiedział Dannel.
– Co? – spytała Lindran. – Znalazłeś go?
Dannel niezdarnie przesuwał się w stronę wejścia, pełznąc po ścianie jak zbyt wielki owad.
– Uciekaj stąd Lindran – krzyknął ostrzegająco. – Szybko!
– Dlaczego? – Zadrżała wirno woli. – Co się stało?
– Te wrzaski – powiedział. – Ściana, Lindran, ściana. Dźwięki.
– Pleciesz bez sensu – warknęła. – Weź się w garść.
– Nie widzisz? – wymamrotał niemal niezrozumiale. – Te odgłosy dobiegają ze ściany. Komunikator.
udawane. Podrobione.
Dannel dotarł do przejścia i zanurkował w nie, wzdychając głośno. Nie czekał na nią. Po chwili zniknął
łębi korytarza, dziko przebierając rękami, bezładnie odpychając się i kopiąc.
Lindran skupiła się i ruszyła za nim.
Dźwięki pojawiły się przed nią, przy drzwiach.
– Pomóżcie mi – mówiły głosem Rojana Christopherisa. Usłyszała jęk i to straszne, mokre zachłyśnie-
Zatrzymała się.
Z boku dobiegł charczący, upiorny, śmiertelny grzechot.
– Aaaach… – jęk, głośny, kontrapunktujący inne hałasy. – Pomóżcie mi.
Pomóżcie, pomóżcie, pomóżcie – mówił Christopheris z ciemności za jej plecami.
Łasłanie i słaby jęk pod stopami.
Pomóżcie mi – chór wszystkich głosów – pomóżcie, pomóżcie, pomóżcie.
Głosy stawały się wyższe, nabierały mocy, słowa przeszły we wrzask, a wrzask skończył się mokrym za-
yśnięciem, charczeniem, świstem, śmiercią. Potem wszystko umilkło. Tak po prostu, nagle było cicho.
indran odepchnęła się kopniakiem i pofrunęła w stronę drzwi, ściskając nóż.
oś ciemnego i cichego wypełzło spod stołu i podniosło się blokując jej drogę. Przez chwilę widziała to
aźnie, pojawiające się pomiędzy nią a światłem. Rojan Christopheris, ciągle w swym próżniowym ska-

fandrze, ale ze ściągniętym hełmem. Trzymał coś w rękach, coś, co podniósł i zwrócił w jej stronę. Zobaczyła, że to był laser, zwykły tnący laser.

Poruszała się prosto w jego stronę, płynęła w powietrzu, bezradna. Machała rękami, próbując się zatrzymać, ale na próżno.

Kiedy znalazła się dostatecznie blisko, zobaczyła, że Christopheris ma drugie usta pod brodą, długie poczerniałe cięcie, że te usta śmieją się do niej i że przy każdym jego ruchu wylatują z nich małe krople krwi.



Dannel, opanowany dzikim strachem, uciekał wzdłuż korytarza, obijając się o ściany i przejścia. Panika i nieważkość krępowały jego ruchy, czyniły go niezdarnym. Od czasu do czasu oglądał się przez ramię za siebie, mając nadzieję, że zobaczy podążającą w ślad za nim Lindran, a jednocześnie przerażony tym, co może ujrzeć zamiast niej. Za każdym razem, gdy się obejrzał tracił równowagę, przewracał się i koziołkował.

Gródź powietrzna otwierała się długo, bardzo długo. Czekał, drżąc na całym ciele, lecz jego puls zaczął nieco zwalniać. Dźwięki zagubiły się gdzieś z tyłu i nie było śladu żadnego pościgu. Opanował się z wysiłkiem. Gdy znalazł się wewnątrz śluzy, oddzielony od mesy zamkniętymi wewnętrznymi drzwiami zaczął czuć się bezpiecznie.

I właściwie nie bardzo mógł sobie przypomnieć, dlaczego się tak przeraził.

Było mu wstyd – uciekł, opuścił Lindran. I niby dlaczego? Co go tak przestraszyło? Pusta mesa? Hałasy ze ścian? Przyszło mu do głowy czyste, racjonalne ich wytłumaczenie. Znaczyły one po prostu, że biedny Christopheris znajdował się gdzie indziej, w innym miejscu statku, żywy i cierpiący, przelewający swą agonię w komunikator.

Dannel potrząsnął głową ze smutkiem. Wiedział, że nie skończy się to bezboleśnie. Lindran lubiła się z niego naigrywać. Nigdy nie pozwoli mu o tym zapomnieć. Jednak może przynajmniej wrócić, usprawiedliwić się. To będzie przemawiało w pewien sposób na jego korzyść. Podjąwszy decyzję, wyciągnął rękę w stronę sterownika, zatrzymał cykl przejścia i odwrócił go. Powietrze, które już częściowo zostało wyssane, powróciło z sykiem do komory śluzy.

Gdy otwierały się wewnętrzne drzwi, Dannela znowu na chwilę opanował strach, było to krótkie ukłucie przerażenia, wywołane myślą o tym, co mogło się wyłonić z mesy i czekać na niego w korytarzach ŻEGLARZA NOCY. Stawił czoło temu strachowi, zdusił go siłą woli. Czuł się silny.

Gdy wyszedł, stwierdził, że czeka na niego Lindran.

Nie dostrzegł gniewu ani pogardy na jej dziwnie spokojnej twarzy, jednak ruszył w jej stronę, próbując ubrać w słowa prośbę o przebaczenie.

– Sam nie wiem dlaczego ja…

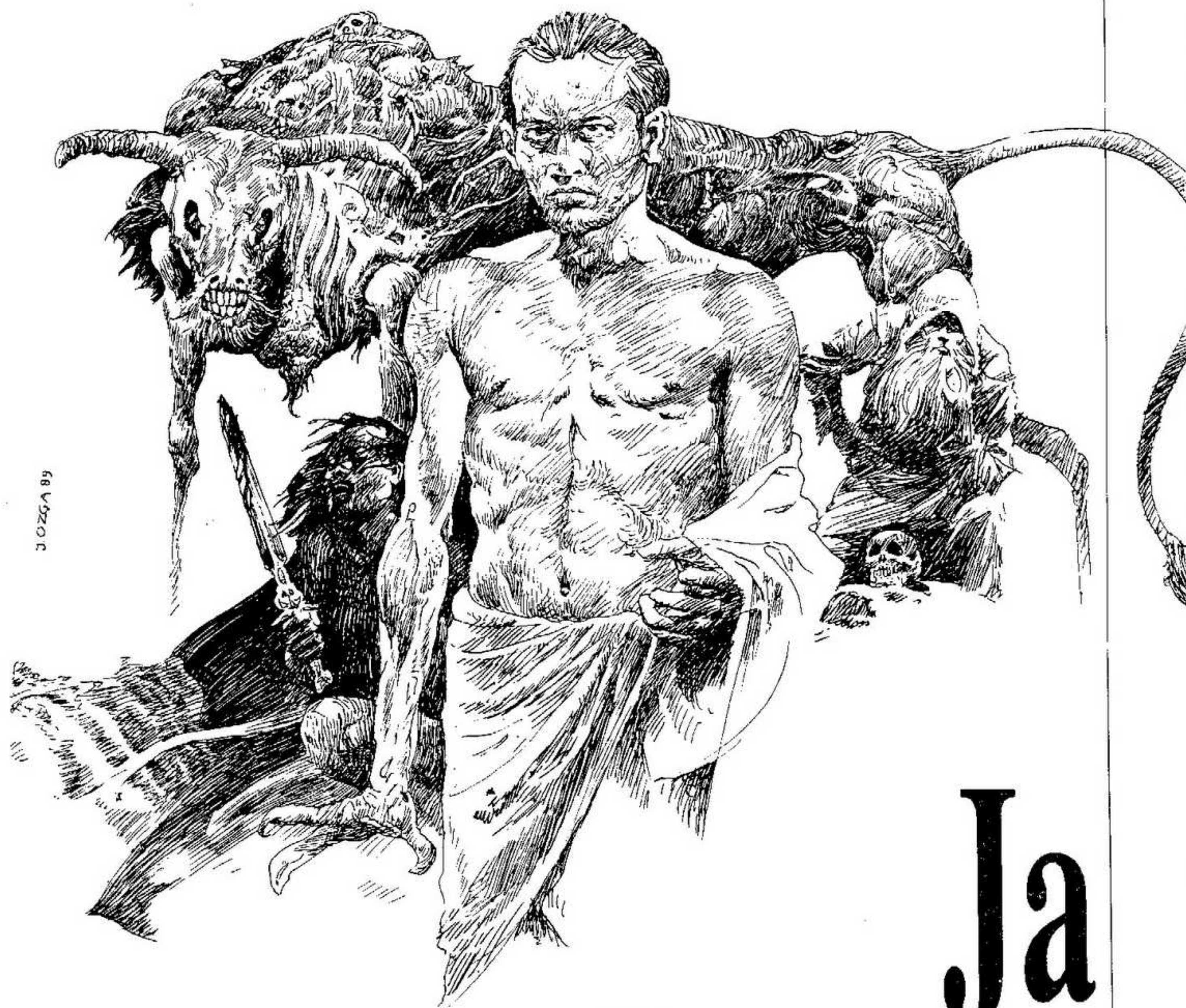
Z sennym, ociężałym wdziękiem jej ręka wyłoniła się zza pleców. Nóż błysnął, kreśląc morderczy łuk i w tym dopiero momencie Dannel zauważył wypaloną w jej skafandrze dziurę, ciągle dymiącą, dokładnie pomiędzy piersiami.



– Twoja matka? – spytała Melantha Jhirl z niedowierzaniem w głosie.

– Ona słyszy wszystko, co mówimy – odpowiedział Royd. – Ale w tej chwili to już nie ma znaczenia. Rojan musiał zrobić coś bardzo głupiego, coś groźnego. Teraz ona jest zdecydowana zabić was wszystkich.

– Ona, ona, co chcesz przez to powiedzieć? – głos d'Branina wyrażał szczere zdumienie. – Royd, nie chcesz nam chyba wmówić, że twoja matka ciągle żyje. Powiedziałeś, że umarła jeszcze przed twoimi narodzinami.



Jerzy Ozga

Ja Dragon

Zbigniew Jastrzębski

Czy można określić rzeczywistość w sposób jednoznaczny i skończony zarazem? Można tylko próbować zbliżyć się do tego punktu, z którego świat wydaje się być coraz prostszy lecz i ten punkt jest wypadkową tysięcy innych spojrzeń.

Być może więc istotnie nazywam się Dias dun Dragon, oglądam szerokie plecy miecznika idącego o kilka kroków przede mną po czarnym, miękkim i puszystym chodniku w stronę drewnianego podwyższenia, cieśle całą noc stukali, gdzie stoi już tron i wyściełany szkarłatną tkaniną podnóżek w kształcie smoka Yr, kwiat trzymany wypielęgnowaną dłonią tuż przy ustach niemal zupełnie odcina mnie od reszty świata, zachwycony szmer tłumu, pokrzykiwania i warknięcia amazonek, szelest szat gawiedzi spragnionej widoku swego władcy. Poprzez cieliste płatki kwiatu, poprzez jego odurzający aromat, wiem tylko, że za mną, jak cienie, podążają dwaj bosonodzy pretorianie, czuję ich oddech na plecach, szybkie, czujne spojrzenia rzucane w tłum, poprzez cieliste płatki kwiatu widzę tylko plecy miecznika i odblaski dwu słońc na wysmukłej klindze miecza skierowanej ostrzem w górę. Na schodkach, niskich, szerokich, władca nie może się przemęczać, na krótką chwilę, w zapachu kwiatu, jak siekiera wbije się żywica i niezapomniany smak lasu, fraucymer już ustawiony, kornie pochylone głowy, dłonie na sercach i rękojeściach mieczy, mogę stanąć, uciszyć tłum, usiąść i czekać, kwiat przy ustach, aż mistrz ceremonii pozwoli nam, poprzez uniesienie się i pozostanie w tej pozycji oddać szacunek tej, która nie zna litości.

Być może więc jestem dun Dragonem, stoję na podwyższeniu pod ścianą placu płaczu, jak nazywają go ci z tłumu i oglądam egzekucje buntowników, ostatnią już orgię śmierci, trwającą nieprzerwanie od czterdziestu z górą dni, kwiat, trzymany przy ustach paruje mocnym, odurzającym zapachem, musi mieć coś z kobiety skoro potrafi tak sycić otoczenie swoją isto-

tą, ale co? może duszę. Kat ruga pomocnika, bo ten, niski o czerwonej twarzy idioty, nie naostrzył porządnie noża i teraz kat, czarna maska na twarzy, czworograniasty sztylet łaski na szyi, musi go doszlifować osobiście, co za wstyd, pod okiem władcy, a ja, dun Dragon patrzę poprzez cielistą, kwiatową kotarę, bo kwiaty lubią gdy przez nie oglądać opadający rytmicznie nóż gilotyny. Kwiaty lubią, być może, wszystko z wyjątkiem więdnięcia, jesieni i zimna, zjawisk tak nierozerwalnie związanych ze śmiercią, grzmią przeciągle, głucho, ukryte rogi, lud na placu wzdraga się, przypomina otrząsający się po deszczu łan kwiatów; czepki, hełmy, szyszaki, birety, pawie pióra i nóż gilotyny, majestatycznie niczym latające domy Nieludzi, wznosi się w górę, ktoś z tyłu chichocze, chyba błazen, ma pecha, zawsze trafi na mój zły humor, cztery razy baty, raz ułaskawienie od śmierci w lochu głodowym, błazen więc cienko chichocze, panna z fraucymeru fuka oburzona, a ja? dalej wchłaniam aromat storczyka ujejskiego, jak go nazywa mój znachor. Tłum nieruchomieje jak nóż gilotyny, dobre trzy metry nad ziemią, nad światem, rogi buczą coraz donośniej, głębiej, cień zawisa nad dziedzińcem, słodko w ustach. Teraz otwierają się bramy więzienia i wyprowadzają ostatnią trzynastkę skazanych, moi gwardziści za blachami puklerzy z szarej stali otaczają ich, a oni sami, brodaci, obszarpani, ze śladami tortur, kat musiał nieźle zarobić na tym buncie, to jest to, pisarz do nogi, zapisać – na buntach najlepiej wychodzą kaci – poszedł won, uczony muł, więc moi gwardziści trzymają ich w kupie, prowadzą na okrągłą platformę gilotyny i tam oddają pod opiekę czarnemu mistrzowi, który bynajmniej mistrzem nie jest, tylko całkiem zręcznie udaje, jak wszyscy kaci zresztą, mistrz więc dyryguje, sztylet łaski kołysze się, pomocnicy ciągną te łachmany, kładą na obwodzie platformy, głowami na zewnątrz, tak, aby mogli po raz ostatni nasycić oczy widokiem kwiecistej łąki, twarzy i głów plebsu zebranego na dziedzińcu, na podwyższeniu, mając za plecami magiczne niemal skupienie fraucymeru, słyszę szczęk zatrzasków wokół nóg i kadłubów powstańców, którzy dopiero teraz, w obliczu skośnookiej pani, pokornieją i modlą się do swych bogów, ruszające się gorączkowo wargi, roztrzęsione brody Proroków buntu, któryś z nich nazwał mnie potworem nie z tej ziemi, szkoda, że tak uparcie milczą, pokazałbym mu iż istotnie, nikt się nie myli, nawet Prorok, a tak? leżą wszyscy, wybałuszają oczy, kwiat bliżej, aż do oszołomienia, gawiedź zastyga wszystkie oczy zwracają się ku mnie, czekają, nie lubię tego zbiorowego wzroku nasyconego śliną i pożądaniem, wzroku bestii spragnionych świeżej krwi. Więc daję znak, a cóż innego mógłbym zrobić? podnosząc nieznacznie, do oczu, cieliste płatki kwiatu i opuszczając, kat, czarna bestia, wie co robić. Rogi wreszcie milkną, ich dźwięk zawsze porusza mi coś w żołądku, pomocnicy złażą na dół, na piaście wielkiego koła, jakim jest platforma straceń pozostaje tylko jej katowskie przedłużenie; w czarnej masce, z tańczącym u szyi czworograniastym sztyletem łaski, koło rusza, pomocnicy naprężają grzbiety, nóż zaczyna drgać, kat czeka, ręce skrzyżowane na piersiach, a jakże, platforma przyśpiesza, pospólstwo cofa się nieco, dlaczego oni boją się dotyku krwi? przecież ssą ją z żył ojców zanim jeszcze ujrzą jasne oblicze boga. Nóż wykonuje już półmetrowe skoki, skazańcy skręcili się w zabrudzone koło na obwodzie platformy, nareszcie długo oczekiwana chwila, cień ponad placem napręża się i usztywnia. Woń kwiatu zanika zalana falą ciekawości graniczącej ze zbiorowym orgazmem rozładowanych instynktów, kat nachyla się i oburącz wyciąga krótki, drewniany kołek, po czym już wyprostowany zastyga w poprzedniej kamiennej zdawałoby się pozie na trzęsącej się osi koła. Nóż zaczyna swoją niezmordowaną pracę: góra, pisk, dół, krew, góra, krzyk, dół, ucięte głowy, góra, lecą jak, dół, kamienie z procy, góra, w tłum, dół, bezgłowe kadłuby, góra, chlustają ciemną krwią, dół, na plecy moich gwardzistów, góra, strzegących porządku, ci, dół, otrząsają się z niej, góra, a nóż chodzi. Bogowie, jak on chodzi, miecz najlepszej amazonki jest niczym wobec jego precyzji, musi trafić za każdym razem w kark skazanego, krew, skrzyp, krzyk, woń kwiatu odchodzi, zastępuje ją słodkawo-mdlący zapach krwi. Koło zwalnia wreszcie, z wirowego ruchu wyłania się trzynaście krótko obciętych szyj, z których pełznąc w powietrzu, wyciekają ostatnie strużki ciemnej krwi, ludzie rozchodzą się z wolna, ci, co stali bliżej wycierają twarze z krwi, a ja, dun Dragon upuszczam kwiat na nieheblowane deski podwyższenia, wiedząc, że nikt się po niego nie schyli, bo po cóż komukolwiek zwiędnięte płatki kwiatu storczyka ujejskiego? Patrzę jeszcze chwilę, cień zniknął, rozpuścił się w świeżej krwi, na krzątających się pomocników mistrza, po czym poprzedzany przez miecznika, za plecami mając cienie pretorian i szepczący fraucymer, schodzę z podwyższenia, woń żywicy zmieszała się z oparami spod gilotyny, powstało krwawiące drzewo życia i śmierci, ten zapach coś mi przypomina, podobnie pachną Nieludzie, i po puszystym, czarnym chodniku, zaraz go pewno zwiną, w kierunku karety, woźnica w barwach władcy, czerwień i fiolet, kłania się w pas, na szyi dynda mu platynowy symbol Jedynej Wiary, Marszałek podaje mi rękę, korzystam z niej, ma przyjemny chłód, jedwabisty niemal, padam w poduszki, naprzeciwko mnie Kanclerz i Marszałek siadają z czcią i szacunkiem, broń boże potrącić króla. Pojazd chwilę jeszcze stoi nieruchomo, dopiero przeciągłe eeejjaaaach powożącego sprawia, że ruszamy, Kanclerz patrzy pytająco na Marszałka, ten prowokująco wygląda przez okno, mów – rozkazuję, Kanclerz potrafi ukłonić się nawet w jadącym powozie, głaszcze nerwowym ruchem swoją laskę – panie – głos ma spokojny – poselstwo Seeth jest w drodze do stolicy – cóż z tego? pytam, Seeth, niewielkie lecz potężne państewko za górami Thra – państwem lotników – przysłali do mnie umyślnego, abyś mógł się zapoznać z ich propozycją – patrzy na mnie wyczekująco. Marszałek odrywa się od okna, patrzy z wyraźną pogardą na Kanclerza – panie – mówi – Wielki Imperator Seeth proponuje wspólnymi siłami zaatakować i rozbić państwo Thra – Kanclerz patrzy na niego z ukosa – cóż wy, moja rada, o tym sądzicie? – pytam – spoglądając na nich – sytuacja w kraju wygląda nie najgorzej – po chwili namysłu odpowiada Kanclerz – stłumiłeś panie jeden bunt, następny nie wybuchnie wcześniej niż za pół roku, wojna przesunęłaby go o rok może o dwa, zależy jak długo by się przeciągnęła, wschodnie rejony kraju odetchnęłyby, zabezpieczylibyśmy granicę poprzez góry i zyskalibyśmy tysiące niewolników nie licząc ziemi – wpada mu w słowo Marszałek – w tej chwili – ciągnie – jest pod bronią trzydzieści kilka chorągwi ponad piętnaście tysięcy wojowników, dodać należy oddziały przyklasztorne – przynajmniej pięć, sześć tysięcy, w ciągu miesiąca bez trudu możemy zmobilizować jeszcze raz tyle, więc gdybyś rozkazał panie, za miesiąc możemy dysponować osiemdziesięcioma chorągwiami, za dwa stu dwudziestoma – żywność Kanclerzu – przerywam jego wywód – spichlerze są pełne, wszak ostatnia wojna jaką prowadził nasz kraj z twojej woli, panie – ukłon w moją stronę – była już trzy lata temu. – Na ile czasu wystarczą? – pytam pomijając milczeniem aluzję w odpowiedzi Kanclerza – ten nie wygląda na zdziwionego – zapasy wystarczą na rok prowadzenia działań wojennych przez pięćdziesięciotysięczną armię, dodać do tego należy tegoroczne zbiory, razem na około półtora roku – teraz obydwaj patrzą na mnie wyczekując, też chcą tej wojny, ja jednak pytam tylko – kiedy przybędzie oficjalne poselstwo? – wjeżdżamy już na dziedziniec pałacu, koła turkocą po kamiennym bruku – za trzy dni – odpowiada Kanclerz – mamy zatem wystarczająco dużo czasu do namysłu – mówię i w samą porę bo kareta się właśnie zatrzymuje, fraucymer już czeka, ktoś z zewnątrz otwiera drzwiczki przekręcając złotą klamkę, Koniuszy, wysiadam i idę w stronę komnat państwowych – zwołaj Małą Radę na jutro – mówię jeszcze do Kanclerza, idę a za mną dwa bosonogie cienie, cóż jest bardziej pewnego od dwu cieni w słoneczne południe? pretoriańskie cienie ze stołecznej szkoły, sam ją ufundowałem w drugim cyklu panowania, idą, gotowi odeprzeć każdy atak przeciwko mnie, wierniejsi od psów, bo każdy z nich ma kroplę mojej krwi w żyłach. Fraucymer dworzanek i przybocznych amazonek rozsypuje się tworząc wolne przejście, pochylone głowy, strzelające na boki spojrzenia, tylko amazonki stoją sztywno z dłońmi na rękojeściach krótkich, strasznych w zwarciu mieczy, wchodzę po kamiennych schodach, za mną dwa cienie, szepty dworu, przed wejściem do sali audiencyjnej ogrodnik podaje mi usłużnie bukiet, wybieram na chybił trafił fioletową geruzję, przy tronie Drugi Marszałek, widać, że już jest gotowy do zapłodnienia, gruczoły ma jędrnie lśniące. Siadam na tronie, nad moją głową szczerzy zęby archikot, ubity przez założyciela dynastii, czyli przeze mnie – dun Dragona czterysta lat temu, za sobą czuję dwa cienie, Marszałek, ten pierwszy, podaje mi berło i odbiera mój miecz z długą klingą, zawsze zawadzam nim gdy wstaję, a wstawać trzeba, wyroki też ktoś musi wydawać, kładzie go w zasięgu ręki, tak na wszelki wypadek, chociaż kusznicy pod sufitem na pewno nie śpią, po tym jak stracono

trzech z nich za spanie na służbie, wyciąga dłoń lecz widząc moją niechęć cofa i geruzja pachnąca wrzosowiskami Arkandur zostaje w moim ręku, oczy błyszczą, o nie Marszałku, nie będę tym którego zapłodnisz gdy przyjdzie czas, nie urodzę twego dziecka, inny mężczyzna będzie go dotykał swymi żyłami karmicielskimi, wreszcie odsuwa się na bok, amazonka podaje mi wielki miecz, symbol władzy wojennej i siada na niskim karle u moich stóp. Cienko, przenikliwie wyje fanfara, trębacz nadyma policzki, kiedyś ci pękną, wchodzi Wice-kanclerz, pokłon, długie włosy zamiatają posadzkę prostuje się i odczytuje z pergaminowego rulonu – Pari Soti z Hamaruten – głos ma ciepły, donośny, nie ochrypł jeszcze na polach bitew. Za drzwiami jakieś przepychanie i wpada, najprawdopodobniej kopnięty przez któregoś z gwardzistów, pal ich diabli, szczupły, mężczyzna w zgrzebnej lecz czystej szacie, z małym jeszcze dzieckiem mocno przyssanym do żyły karmicielskiej na piersi, pokłon – z czym przychodzisz do nas Dias dun Dragona? to mój głos – z niesprawiedliwością panie – przedstaw więc swoją sprawę – zapach geruzji dociera wreszcie do mojego mózgu, zostawia tam delikatne, fioletowe ślady owijające się wokół całej sali subtelną mgłą – jest rzeczą mężczyzny rodzić, wychowywać i rządzić – mówi tamten, dziecko powoli zmienia zabarwienie, z jasnoczerwonego na ciemny, przechodzący w fiolet odcień, jak stara krew – jest rzeczą kobiety walczyć, tak mówią prawa Hobbi – podstawa naszego świata. Prawa Hobbi; długie szeregi opancerzonych kobiet prą na siebie w błyskach krótkich, stalowych mieczy, las oszczepów pochyla się, cofa i wylatuje do góry, opada w dół grzęznąc w ciałach amazonek, prawa Hobbi, falujące, rozedrgane wściekłością szeregi wojowników, prawa Hobbi – a ona zabrała mi moich spiasów i powiedziała, że jeżeli nie przeniosę się do niej i nie urodzę jej dziecka, umrę z głodu wraz z moimi dziećmi, proszę o sprawiedliwość – wlepił we mnie spojrzenie kopniętego usuasi. Trzeba

Komputer zarzyna puentę

Opowiadanie Mirosława Malinowskiego „Technicy z klubu »Futura«" („Fantastyka" nr 7/89) traktuje o sztucznej rzeczywistości, reżyserowanej przez mass media i totalną komputeryzację. Wymowa opowiadania, a także jego nieco deliryczna tonacja, nie spodobały się najwidoczniej drukamianemu Komputerowi bowiem bezczelnie urwał autorowi puentę z ostatniej szpalty (str. 53). Reszta tekstu na tej szpalcie została rozbita na wyraźną i nieładną interlinię, co oczywiście powinno zwrócić naszą uwagę, ale niestety nie zwróciło. Przepraszamy Autora i Czytelników za przegapienie tej dywersji i przyrzekamy zachowywać odtąd większą czujność w kontaktach z rozwydrzoną elektroniką.

Brakujące cztery akapity, które powinny się znaleźć przed końcowym wyznaniem wszechmocnej Bateryjki BIO-TL 505 G12 Super brzmią następująco:

– Idiot – mruknął do siebie i siorbnął łyk kawy; była znakomita. – To właśnie przez takich... strącił na podłogę stojącą na konsolecie lurę cytrynową – właśnie przez takich reglamentują.

Spojrzał na ścianę monitorów. Na ekranie numer jeden chudzielec z gitarą cyfrową majaczył posępnie, że pragnie miłości. Pozostałe ekrany przepraszały za usterki poza granicami kraju.

– Wiesz, Niagara – rzekł sam do siebie monter – podobno wczoraj twój syn rozwiódł się ze swoją piękną żoną. Powodem była jej emancypacja. No, cóż... O jednego mężczyznę więcej, ale czy to coś zmienia? – Niagara westchnął z wysiłkiem i pociągnął nosem. – Za to dzisiaj rano widziano biegnącego po ulicy faceta. Był w kuchennym fartuchu, przeklinał swoją żonę, a z okolic rozporka zwisała mu zakrwawiona maszynka do mielenia mięsa. No, cóż... Jednego mężczyzny mniej, ale czy to coś zmienia?

Monter dopił spokojnie kawę i po kilku krokach wszedł do kabiny w rogu studia. Automatyczny zaczep umieszczony w jej wejściu wyrwał mu z karku przestarzałą, sześciowoltową bateryjkę, a drzwi zatrzasnęły się z sykiem lodowatej dekompresji.

wstać, niechętnie, fiolet poszerza swoje terytorium, nogi gną się – Kitty an Moet odda natychmiast swoje włości i wszystko co posiada z wyjątkiem łuku, miecza, tarczy, zbroi i wojennej szaty, Pari Soti, któremu od tej chwili przysługuje tytuł an Moet i uda się do klasztoru Służek Boga gdzie pozostanie do końca swoich dni, zachowując imię i tytuł. Kto okrada wdowca wojennego ten boga okrada, tak mówią prawa Hobbi, pisarz skrzypi, mężczyzna pada na twarz, nie zagnieć dziecka ty odważny głupku, będąc tobą dawno bym urodził dziecko tej Kitty, bełkot podziękowań, ruch kwiatem, wynoszą go z sali, uważajcie na dziecko wy samice. Fiolet, mnóstwo pachnącego fioletu, nawet spokojna twarz Marszałka jest pełna wrzosowisk Arkandur. Pięknie jej do twarzy z tym zapachem. Mógłbym ją pokochać, cóż z tego, kiedy w górach Pma jest jaskinia – najświętsze miejsce w całym królestwie, jaskinia dynastii Dragonów, tam udają się władcy gdy już czują, że koniec blisko, tam znikają samotnie w czarnej gardzieli, dwór czeka uczłując trzy dni, potem pojawia się nowy, młody władca, podają mu pachnący kwiat do ręki, wnoszą do lektyki i ruszają z nim do stolicy aby mógł zasiąść na tronie swych poprzedników. Tak więc nic z tego mój piękny Marszałku, nie czekają mnie twoje uściski lecz skalne nawisy groty Dragonów i hucząca czeluść wnętrzności Machiny. Delegacja rajców stolicy, trzej młodzi mężczyźni, wszyscy w długich, żałobnych szatach barwy śniegu. Pokłon uległy, chociaż drżący niecierpliwą, młodzieńczą siłą – z czym przychodzicie rajcowie do nas, dun Dragona? – tamci chwilę wahają się po czym środkowy odpowiada – z prośbą panie nasz i władco – musi to być ciężka prośba skoro skłoniła tak nisko wasze głowy, mówcie więc dalej – nie zostały one ścięte lecz twoja wola przeznaczyła je do walk gladiatorskich, jutro, w dniu święta Boga Wojny, są wśród nich nasze żony, prosimy o łaskę dla nich, znowu trzeba wstać, kwiat już ciąży w dłoni, trzymaj Marszałku, mało fioletu już w nim zostało lecz może i dla ciebie wystarczy królewskich kwiatów mądrości? – Kto podnosi miecz przeciw swemu władcy musi zginąć, tak mówią prawa Hobbi – jest rzeczą kobiety walczyć – to jeden z tych młodych, ciekawe czy już urodził dziecko, jeszcze coś mądralo, znawco praw Hobbi – mów słuchamy cię, my Dias dun Dragon. – Być może cię obrażę panie mój, lecz powiem, powinieneś ogłosić wojnę, bunty zawsze wybuchają gdy przez dłuższy czas nie ma wojny, wszak rzeczą kobiety jest walczyć, sprawa nie jest ważna. – Odważny jesteś młodzieńcze, odpowiedz więc dlaczego żona twoja nie zaciągnęła się do którejś z chorągwi najemnych? nie znasz odpowiedzi, więc oddal się i pozostaw sprawy ich naturalnemu biegowi. Ogrodniku zbliż się i podaj mi horację, ten fiolet już męczy. Więc siadam spokojnie i wącham rześką horację, smak kamiennego morza w ustach, w uszach wiatr lodowatych przestrzeni, białe pola Semirandy skute wieczystą, niezbrukaną bielą. – Więc to twe ostatnie słowo panie? – tak mężczyzno, to moje ostatnie słowo – więc giń – wszyscy trzej zrywają się, postępują kilka gwałtownych kroków do przodu, spod szat wyciągają krótkie miecze, moje pretoriańskie cienie wysuwają się zza tronu, zza szeroko rozpostartych łap archikota, może nazwą go archiknotem. Więc zaledwie miecze zdążyły błysnąć w zalanej przeraźliwie białym światłem sali a już spod sufitu wyleci im na spotkanie dziesięć krótkich, grubych strzał wypuszczonych przez niewidocznych kuszników, ciała, przed chwilą jeszcze żywe umrą aby z łoskotem i brzękiem upaść na lśniącą posadzkę z kunsztownie ułożonych płytek różnych barw, przeważnie czerni i czerwieni, odłożę horację to przyśpieszenie czasu bywa denerwujące. Więc dopiero teraz strzały kusz wbijają się w miękkie ciała, miecze wypadają z bezsilnych rąk, a ciała, plącząc się w długich szatach, skłaniają się ku ponurym wizjom artysty układającego posadzkę mającą przedstawiać bitwę pod murami Haaru. Teraz trzeba powiedzieć – koniec audiencji – władca jest zmęczony, niedługo, gdy zajdzie jedno ze słońc, zrobi się mroczniej, Kanclerz jeszcze wyrecytuje ostatnią formułkę nad ciałami zabitych – kto podnosi miecz przeciw swemu władcy musi zginąć – nad każdym z osobna, myślą że formułka śmierci zapewni im życie w nowym wcieleniu, zgodnie z prawami Hobbi. Nie wiedzą jeszcze, że żyć będą jedynie ci, którzy umrą z bronią w ręku, a których dusze porwą czarne ptaki-dziewice boga, zakonni kapłani już dawno doszli do tej prawdy, dlatego gdy czują koniec, biorą miecz, wychodzą na ulicę i szukają śmierci. Tylko ja – Dragon nie muszę umierać aby żyć jeszcze raz, kiedy czterysta lat temu kładłem się pierwszy raz do Ma-

chiny sądziłem że umieram, teraz wiem że żyć mogę wiecznie, przynajmniej dopóki Machina wytrzyma, a ją budowałem własnymi rękoma i sądzę iż wytrzyma jeszcze kilka tysięcy lat, gdy ja będę rządził tym państwem. Bo jest rzeczą mężczyzny rodzić, wychowywać i rządzić, moją zaś rzeczą jest tylko rządzić. Podnoszę się więc z tronu, ujmuję pochwę miecza i owijając skórzane rzemienie dookoła nadgarstka ruszam w stronę drzwi, dwa cienie z tyłu, za mną idzie ktoś jeszcze, słyszę ciężkie, człapiące kroki, chyba Kanclerz, obojętne, teraz chciałbym odpocząć, nie chcę jeść, zbyt dużo krwi dzisiaj oglądałem, idę więc w stronę sypialni, długim ciemnym korytarzem, nieliczni napotykani dworacy pośpiesznie schodzą z drogi kłaniając się aż do ziemi, daleko w końcu korytarza blaskiem jednego ze słońc lśni małe okienko, kładzie smugi blasku na zbroi amazonki stojącej przed drzwiami sypialni władcy, zbliżam się więc do drzwi, gdzie w ciemnym zaułku czeka stary ogrodnik o twarzy zoranej mnóstwem zmarszczek, uśmiech na twarzy, zdobiony piórami kaluasa kapelusz przyciśnięty do piersi, czy kiedyś doczekam takiej siwizny? cóż tam przyjacielu lśni ogniem w twojej sękatej dłoni? Jedyny, dopiero teraz rozkwitł? cieszę się, że pamiętałeś o mnie, chociaż ja, widzisz, rozumiesz, nie pamiętam nawet twego imienia, dziękuję ci ogrodniku za posępny ogień Calci, wszak to mój ulubiony kwiat, tak masz rację, aromat ma niezrównany, przypomina mi zapach kobiety, boże, co w kosmosu czerni, kiedyż ja ostatni raz miałem kobietę? czterysta lat, wieczność, puste słowa, lecz pamiętam, parujące czymś nieziemskim ciało, twardość piersi, niezrównany zapach Calci, białe uda rozłożone zapraszająco, podobno w Strzelcu żyje lud jakiś – skąd takie rzeczy przychodzą mi do głowy, dlaczego sypialnia jest czarna, niby już dawno powinienem się przyzwyczaić a jednak ciężko, te amazonki nie mają seksu więcej niż krowa czy lemur na przykład, może gdy przylecą Nieludzie proponować swoje dziwaczne interesy wyjaśnią mi wreszcie gdzie podziali się ludzie i dlaczego ich nie ma na szlakach galaktycznego milczenia? No tak, tego się można było domyśleć, w końcu sam przywiodłem się do tej sprawy, niczyja wina, może dlatego że lubię Calci gdy ten wyzwala we mnie poczucie winy. Może więc Martin miał rację mówiąc, że jestem psychicznym masochistą, może naprawdę powinienem zostać męczennikiem, krzyczeć na krzyżu, dobra niech będzie, pościel przygotowana, kwiat przy ustach, może się położyć i wspominać, jak to się stało, już dawno powinienem się otorbić i krzyczeć: czemuś Mię opuścił? Wtedy to była przecież kwestia istnienia, zabijesz lub ciebie zabiją, czterysta lat nie ściera krwi, została tam, głęboko, wrak statku już dawno przegnił, została tylko Machina, kochana metalowa macica reinkarnacji, gdzie do niej zwykłej gilotynie. Kto potrafił tak malować bitwę? Tam, na suficie, barwy tak wspaniale grają z moimi myślami, stają się moją częścią, niepowtarzalną, więc chcieliśmy się z Martinem nawzajem powstrzymać, chciał zużyć resztę energii na próbę nadania sygnału, wrzucić resztę ergów w rozbitą radiostację, wierząc, że ocalała jej część nadawcza, nie wierzę w przypadki, ta spluwa, musiałem już wcześniej przeczuć co nastąpi, skoro straciłem kilka godzin grzebiąc w magazynie zanim ją wyciągnąłem i doprowadziłem do stanu używalności, oliwa, pociski, metal. Była także decydująca rozmowa, rzucanie sobie w twarz oskarżeń, w końcu skoczył na mnie ze skalpelem w ręku, sprowokowałem go? a ja? spokojnie strzeliłem w jego szeroką pierś, może to były plecy a on siedział nachylony nad radiostacją, dłubiąc coś śrubokrętem, to był duży kaliber, krew siknęła na boki a ja wyszedłem, nie czekając aż skona na wyścielonej gąbką podłodze. Calci tracisz swój aromat, potem były długie, trzy lata wypełnione budowaniem Machiny, zabezpieczanie jej, i nauka sztuki walki wszystkimi rodzajami broni u mistrza Tiech, dwadzieścia długich lat nauki. Prawa Hobbi mówią: jest rzeczą mężczyzny rządzić, prawa są jednakowe dla wszystkich, inne prawo mówi tylko: godny by sprawować władzę. Więc skoro nie ma wystarczająco godnego mężczyzny, rządzi kobieta, jaka tam kobieta, kawał draba o usposobieniu i agresywności gniazda os, tylko te zaokrąglone kształty. Więc kiedy mistrz Tiech nauczył mnie już wszystkiego co umiał i umarł, szybka to była śmierć, jedno z najtrudniejszych uderzeń jakie kiedykolwiek wykonałem, w dniu święta boga wojny – Tootha, udałem się do stolicy aby stanąć na udeptanym placu, oko w oko z władczynią Garim. Dzień miał się już ku końcowi, gdzieniegdzie zapalono nawet skwierczące pochodnie i poprzez ich rozmywający się blask widziałem amazonkę w królewskiej purpurze, stała spokojnie, nie poruszyła się nawet odrobinę, rządziła już trzy lata, trzy wielkie wojny, jeszcze kilka lat i nie miałaby kim rządzić, umiejętność szermierki nie oznacza zdolności strategicznych i ekonomicznych, więc stała naprzeciwko, za plecami mając ołtarz, świeżo splamiony krwią ofiarnego jeńca a ja – wędrowiec, uniosłem miecz. I właśnie wtedy ktoś z tłumu, milczącego, przypatrującego się kolejnym walkom, krew wsiąkła już w piasek, ktoś z tłumu rzucił na arenę czerwony kwiat boga – krwisty Agni, do dzisiaj nie wiem czy to jego zapach czy słodkawy aromat krwi wyzwoliły we mnie taki nastrój jakiemu wtedy uległem, miałem być jej ostatnim mężczyzną tego dnia i gdy już uderzyła, przemknąłem się pomiędzy lecącym z góry mieczem a jego cieniem sunącym nieubłaganie z boku i szarpnięciem jednej ręki poderwałem jej tarczę do góry, drugą w tym czasie, uzbrojoną w stalowe ostrze zapuściłem głęboko, w jej trzewia, tak, że gdy już z bliska poczułem jej zapach poprzez woń Agni, ostrze wyszło jej pomiędzy łopatkami na plecach, wysoko. Odskoczyłem a ona stała na chwiejących się nogach, potem zaczęła tańczyć, powinna już dawno upaść z mieczem wbitym tak głęboko, lecz nie chciała, tańczyła, zataczała koła, w jedną stronę, w drugą, jej oczy widziały już tylko mgłę a ona tańczyła i wreszcie w tym tańcu zrozumiała chyba, otworzyła usta, bluznęła krew, słodkawo-ostry zapach krwi to ulubiony zapach boga, i ten zapach spłynął po niej, po łuskowym pancerzu, upadł na piasek i ona upadła w nim, jej nogi w złotych nagolennikach tańczyły jeszcze chwilę, ale ona już odeszła, wielki czarny ptak zniżył lot, dziewica boga odebrała jej duszę aby ta, wraz z innymi, maszerowała w wielkim legionie boga. Ptak poderwał lot, poszybował w górę a ona już nie żyła, tylko ręka bezwiednie zaciskała się na uchwycie miecza – Kto umrze z bronią w ręku nie umrze do końca – i Dias dun Dragon stał się władcą. Potoczyłem dookoła spojrzeniem, tłum zamarł, oto macie mężczyznę, który będzie wami rządził, który nie będzie rodził, wychowywał lecz tylko rządził i nic poza tym. Władca na czas wojny i pokoju i jeszcze ten okrzyk gniewny, wydarty z głębi piersi, z dna piekieł i odmętów zapomnienia, gdzie sen o Agni, twój sen o krwi, o winie, czerwonej jak wzgórza Soligatauř, ten krzyk, gniewny, wściekły, pełen rozpaczy, kiedy już wiedziałem, już zrozumiałem, ją także będziesz musiał zabić Dragonie, więc ona wyskoczyła niczym ranne zwierzę na udeptany plac, tłum zaszemrał nagle, oni wiedzieli, ja nie, młoda dziewczyna, dziecko prawie, była jedynym potomkiem zabitej przeze mnie władczyni, długie, gęste włosy wysuwały się spod masywnych ścianek hełmu, odpięła miecz i odrzuciła go, pomimo szału potrafiła myśleć logicznie, wiedziała jak od krótkiego miecza zginęła jej matka, szarpnęła więc obiema rękoma na boki, wyrwała włócznie dwu gwardzistom, jedną rzuciła mi, złapałem w locie, a drugą ujęła chwytem znanym mi jako „czapli dziób", odpowiedziałem „łapą Kattt" tego chyba nie znała bo zaatakowała, nieszczęsna, gdy była ode mnie na łokieć, dopiero wtedy spostrzegła, ból musiał być nikły, że jej włócznia w niewiadomy sposób rozminęła się z moim ciałem, zaś ona sama znajduje się w połowie długości włóczni przechodzącej przez jej ciało. Poza jej plecami drzewce parowało na całej długości, ostrze było czyste, jak nowe, zawsze się je poleruje na uroczystości, tłum krzyczał, grzmot wciskał się do uszu, kiedy i ona zrozumiała, z bliska widziałem wyraźnie jej rozszerzone, ciemne oczy, jednocześnie ze zrozumieniem pojawiły się tam ból i nienawiść, plunęła mi w twarz krwistą śliną, gorącą jak blask obu złączonych słońc, wtedy ja, jednym gwałtownym ruchem wyszarpnąłem włócznię, złapałem drzewce w tym miejscu gdzie już było zanurzone w jej ciele, przez nie-

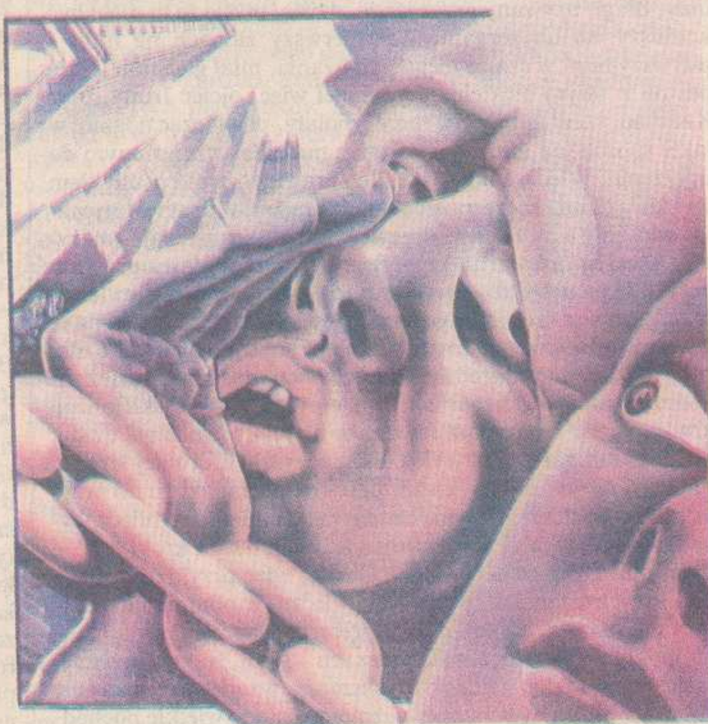
Zbigniew JASTRZĘBSKI

Urodził się 8 XI 1961 w Dąbrównie, woj. olsztyńskie. Pracuje jako robotnik budowlany w prywatnym zakładzie w Ostródzie. Poeta nagradzany na różnych konkursach, publikował m.in. w „Dzienniku Pojezierze" i „Gazecie Olsztyńskiej"; także występował w lokalnych programach RTV. Autor powieści „Czas Żelaza", dla której szuka wydawcy i zbiorku opowiadań SF rozpatrywanego obecnie w Wydawnictwie Poznańskim. Czytelnicy „Fantastyki" znają niepokojące opowiadanie Jastrzębskiego o ludziach-owadach („Pieśń Szywanga"), które drukowaliśmy rok temu w numerze grudniowym.

(mp)

Philip Castle





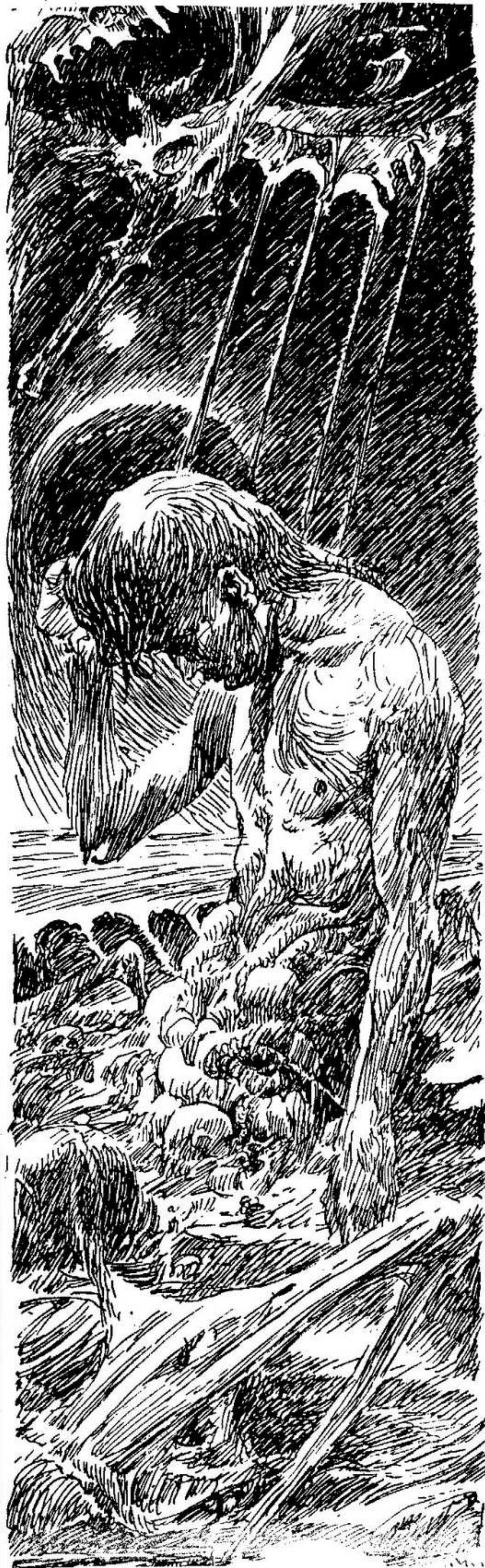


skończenie krótką chwilę czułem pod palcami ciepło jej wnętrza, ona upadła, tłum krzyczał, czarny ptak zniżył lot, porwał jej duszę i odleciał w sfioletowiałe nagle niebo, ciało bez duszy podczołgało się w stronę matki i tam już zostało. Wtedy, z loży władców, podniósł się mężczyzna, Azael – mąż i ojciec, który wszystko stracił w ciągu tych kilku, krótkich przecież, minut zaledwie. Zawsze byłem ciekaw jak wielki musiał być jego ból, wtedy na udeptanym placu, ktoś z dworu podał mu miecz, inny, długi, używany przez jazdę, dzisiaj myślę że to mógł być koniuszy, to on zorganizował pierwszy zamach na mnie i pierwszy bunt w czasie mego panowania, miał głębokie, przepastne w swym błękicie oczy. Azael więc, ojciec Iruny, mąż Kaathao, szedł naprzeciw mnie, zbolały, powłócząc nogami w jakiś sposób już martwy chociaż z mieczem wzniesionym do uderzenia. Więc według wszelkich prawideł sztuki pochyliłem się i lewą dłonią zaczerpnąłem garść piachu, w drugiej trzymając włócznię – mordercze drzewce, kto cię raz poczuje – ci tutejsi poeci są całkiem nie tego, rzuciłem mu ów piasek prosto w oczy, gdy on uchylał się przed garścią żwiru włócznia już leciała rozcinając z szumem zgęstniałe powietrze, tłum ucichł na te godziny, gdy włócznia z wysiłkiem pokonywała tych kilka metrów dzielących mnie od Azaela, w końcu musiała przecież zakończyć swój lot, Azael uchylił się przed garścią sklejonego krwią piachu lecz wpadł na lecącą niemal równolegle dzidę, przebiła mu gardło na wylot, ostrze wyszło z drugiej strony. Zatoczył się jak pijany, ciężar drzewca pociągnął go do przodu, krew tryskała grubym, ciemnym strumieniem, miecz wypadł z sztywniejącej dłoni, wreszcie upadł o dwa kroki przede mną, dun Dragonem – władcą Garim, więc przyjdź śnie, wymaż krew z ust moich i oczu, ześlij wieczne zapomnienie w którym nie ma nic. Uspokój dwa pretoriańskie cienie, patrzące niespokojnie jak rzucam się przez sen – Agni. Nakrycie zsunęło się na posadzkę, najdroższe marmury, wzorki, arabeski i nie kończące się sceny wojenne, później zapalono wielkie pochodnie i w ich świetle wielkie, czarne ptaki kilkanaście dusz porwały do nieba, tam, gdzie pan wojny Tooth szykuje swój legion do ostatniej bitwy, więc gdy przy świetle pochodni schodziłem już z areny ale z nową purpurą na plecach wędrowca, brzemieniem władzy na głowie, moje myśli były przy Machinie, namaścili mi twarz krwią ofiarnego jeńca i zaprowadzili do pałacu, wtedy jeszcze nie miałem swoich cieni, do otwarcia szkoły miało upłynąć trochę czasu, pomyślałem o Machinie, o jej chłodnym, metalowym spokoju, i o Martinie, jak on bardzo chciał się stąd wydostać, boże, jak bardzo, więc odtąd, przez trzydzieści lat staczałem takie walki zanim nie ustanowiłem dynastii Dragonów. Oby trwała wiecznie.

Obudziłem się mając ciągle w ustach posmak Agni, kwiatu który wyrósł z krwi utoczonej bogu, krew, krew wszędzie, moi pretorianie, ale inni niż przed zaśnięciem, zmieniają się o północy, sam sporządziłem regulamin czuwania, stali czujni, gotowi uderzyć w każdego, kto ośmieliby się zakłócić mój sen. Świt wstawał już, pierwszą nogą jak mawiają Perusi, światło torowało sobie drogę pomiędzy rzadkimi ławicami chmur nad miastem, raczyłem się podnieść, na zmiętoszonej pościeli ponurym blaskiem mży się zapomniany i niepotrzebny Calci, teraz woda, twarz, dłonie, ubierać się nie ma potrzeby, rzadko rozbieram się do snu, dzisiaj w całym państwie Dragonów wielkie święto, rocznica pierwszej walki Pana Wojny – Tootha. Cały dzień wypełniony obowiązkami głowy narodu, jaki to jest plan? pierwsza, defilada stołecznych chorągwi, miecze wyostrzone, zbroje wypucowane do blasku, potem walki gladiatorów w amfiteatrze, obiad na trawie z wojskowych racji, paskudnie przesolona wołowina i twardsza chyba od kości, suchary. I tak do wieczora. Szlag by to trafił, dają posiłek poranny, jedzmy bo czasu mało, chorągwie czekają, teraz lekka zbroja, już nie te czasy gdy paradowałem w zbroi bojowej, ciężkiej jak wszyscy diabli, chodźmy w końcu, co ma się stać niech się stanie czym prędzej. Nie do wiary? Marszałku? kto do licha mógł zabić wartownika na służbie? Nocni rabusie, porachunki prywatne? Teraz trzeba przejść do skrzydła południowego, tam jest taras, z którego władcy przyjmują defilady wojsk, z jednej strony płaskie, rozległe wzgórze dla tłumu, z drugiej zaś, czarne mury pałacu władców Garim, ciasne przejścia, przestronne sale, tupot pancernych butów, gwar rozmów, sczerniałe posągi i portrety wielkich wodzów królestwa, dzień bez kwiatów dun Dragonie, przygarbiona postać Miecznika z wielkim ostrzem nad głową wysuwa się do przodu, kosmyki siwych włosów wysuwają się spod lśniącego hełmu, w oddali, poza grubymi murami już słychać morze szmerów, tłum czeka, najlepsze miejsca są zajmowane już wieczorem.

Więc stoję na tarasie defiladowym swego pałacu, obleczony w lekką, czarno oksydowaną zbroję i przyjmuję przemarsz wojsk, z tyłu, za pretorianami, dwór wymienia półgłosem uwagi, wzdycha do czasu, gdy chorągwie ruszą w pole, a w dole maszerują. Lasy grożących niebu, ostro zakończonych włóczni, dywany hełmów, szeregi długich, ciągnących się po ziemi łuków. Mordercze instynkty powodujące, że kobiety zamiast pracować aby wyżywić rodzinę, zakładają pancerze, sięgają po miecze i tarcze po czym idą, w długich szeregach, za horyzont, w poszukiwaniu walki i śmierci. Chorągwie obracają twarze przechodząc pod tarasem, gdzie stoję ze stalowym dworem za plecami, widzę je wtedy wszystkie, siwowłose matrony, staruszki prawie, kobiety w sile wieku i kwiat – młode dziewczyny, ładne i brzydkie, wszystkie pędzone jedną żądzą, idą i patrzą, ja także patrzę bo i cóż innego mógłbym robić? Być może Nieludzie znaleźliby jakieś rozwiązanie, dawno ich już nie było, lecz mają zakaz ingerencji w sprawy wewnętrzne odwiedzanych planet, to od nich dowiedziałem się, że ludzie zniknęli z galaktycznych szlaków, zbliża się elitarna chorągiew. Białe szaty, piechota i konnica kapłanek boga Wojny, chorągiew, marzenie wszystkich dziewcząt noszących tarcze, idzie w zwartym szyku, biała, trzepoczące wstęgi, jaśniejące zbroje, dwór wzdycha pośród ciężkiego tupotu końskich kopyt, krzyki tłumu po drugiej stronie alei unoszą się, nabierają żywszych dźwięków, żegnają ostatniego białego konia, teraz będzie maszerował garnizon stolicy, sześć pełnych chorągwi, ponad trzy tysiące amazonek, w większości ciężka piechota, dużo kuszników, koni jak na lekarstwo, pięćset, może trochę więcej, zamyka setnia szturmowniczek, kto tam teraz dowodzi? Ksenno zdaje się, ciężkie zbroje, nawet strzała z kuszy ich nie przebije, trzy krótkie ciężkie oszczepy mające za zadanie oczyścić przedpole przed atakiem, pupilki dowódcy garnizonu stołecznego, same rosłe dwudziesto i trzydziestokilkuletnie amazonki. Jeszcze tylko oddziały posiłkowe sprzymierzonych plemion, jak zwykle zamykają paradę, Ageni, w luźnych szatach, bez zbroi, hełmu i całego tego żelastwa. Łuk, kołczan, dwa miecze – długi i krótszy do walki w zwarciu, szybkie, wytrzymalsze od moich chorągwi lecz mało odporne na strzały i już zupełnie bezradne wobec ciężkiej konnicy. Ostatni szereg przepływa niemal tym charakterystycznym tanecznym krokiem, obowiązkowa gromadka dziewczynek, tłum na wzgórzu rozpełza się, formuje długą wstęgę zmierzającą w kierunku amfiteatru, ja – Dragon także tam pójdę, w ślad za maszerującymi oddziałami, pośród szpalerów ludzi machających przyjaźnie czapkami i uśmiechających się, nie wiedzą jeszcze nic o poselstwie Seeth, mężczyźni cieszą się pokojem, kobiety się nudzą, tak było zawsze i tak być musi.

Schodzę więc z tarasu, przed schodami czeka już dwudziestka pretorian, krótkie pozdrowienie, moja odpowiedź i ruszamy, pieszo, tropiąc oddziały posiłkowe. Orszak prowadzi samotny Miecznik z wielkim ostrzem skierowanym ku niebu, za nim dziesiątka pretorian, później ja – Dragon mając z każdego boku piątkę pretorian i jeszcze dwa cienie z tyłu, za plecami a dopiero potem reszta dworskiego fraucymeru: pięciu Marszałków, Kanclerze, Cześnicy, Szafarze, Amazonki Przyboczne i cała ta kobieco wojownicza czereda idzie za mną brzękając i poszczękując uzbrojeniem. Ludzie stoją pod ścianami budynków przyciskani przez rozstawionych na trasie gwardzistów, uśmiechają się, wymachują, tak jak być powinno, tylko tam, pod schodami Admiralicji, grupka mężczyzn patrzy złowrogo, zaczynam czuć ten delikatny zapach śmierci, coś jakby kropla krwi we wnętrzu kwiatowego kielicha, ostry gwizd i już, zaczyna się, wyszarpują miecze, krzyki amazonek z gwardii, zamach, dwie z gwardzistek, te stojące najbliżej zamachowców padają z rozciętymi hełmami, pięciu mężczyzn podbiega bliżej, ruchy pretorian są jakby ospałe, moja ręka sama zsuwa się na uchwyt broni, pretorianie wyszarpują swoje lekko zakrzywione miecze i nie mija kilka szalonych sekund pełnych świstu, krzyku, brzęku i charakterystycznego odgłosu jaki wydaje przecinane płótno wraz z wnętrznościami pod spodem a zamachowcy już leżą porozpłatywani straszliwymi długimi cięciami, pretorianie wsuwają miecze do pochw, ich ruchy znowu są powolne jak w transie, idźmy dalej, krew zaczyna tworzyć już kałuże, nie wiadomo skąd nadlatuje kilka czarnych ptaków, czy mogą istnieć stworzenia żywiące się śmiercią? Bzdura; tylko że te ptaki naprawdę to robią. W końcu do wszystkiego można się przyzwyczaić, do amazonek, czarnych ptaków, Machiny, narkotycznych kwiatów, nawet do zamachów.



Jerzy Ozga

Więc, skoro już jestem przekonany co do realności swojego istnienia, skoro krew ofiarnego jeńca spłynęła kamiennym korytkiem, skoro gladiatorzy pozabijali już odpowiednią ilość spośród siebie, skoro aktorzy odegrali już bitwę pod Senno, skoro obiad na trawie z wojskowych racji został spożyty i niemal już strawiony, skoro ma się już ku wieczorowi można wstać i ogłosić Śmierć bez Kary. Więc ja – Dragon staję na nogi za mną z chrzęstem cały fraucymer, unoszę rękę, tłum cichnie jak zwykle jest okazja załatwić w honorowy sposób waśnie, głupie spory o niewolników w kole amfiteatru nabierają rytualnej powagi i kosmicznego sensu odwiecznej walki, zdzierając więc gardło, ogłaszam Śmierć bez Kary, chociaż wiadomo że do reguł tych pojedynków należy walka do pierwszej krwi, chodzi tylko o to aby po pierwszym pchnięciu do zgonu przeciwnika nie trzeba było żadnego następnego. Walki jak zwykle zaczynają najniższe stany, idąc powoli wzwyż kończy się na fraucymerze, kiedyś finałem były walki o koronę, dopóki nie zniosłem tego ostatniego punktu programu. Już są pierwsi chętni, nawet zamiatacze ulic mają swoich życiowych wrogów, szybka walka, wygrywa strażnik wilgów, i następna, teraz już dyplomowany rzemieślnik z mistrzem cechu, ta walka trwa długo, młodzież jednak zwycięża, mistrza znoszą z areny, obcięta dłoń, ma wszelkie szanse na wykrwawienie się. Długie walki żołnierzy, zacięte, twarde. W ich czasie zapalone właśnie pochodnie zdążyły się już wypalić prawie do połowy, tłum jest podekscytowany, tłum pragnie zobaczyć jak leje się krew najwyższych dostojników państwa. Czuć w powietrzu tę żądzę, kumuluje się z wolna i nabiera siły. Żołnierze i oficerowie kończą swoje harce, zapada długa cisza wzmocniona jeszcze szelestem tłumu, herold nie zjawia się, nikt spośród wysokich dostojników nie będzie walczył tego roku, wśród widowni przebiega i narasta grzechot głosów niezadowolenia i jednocześnie ktoś wchodzi w jasność oświetlonej areny, to nie herold, tłum cichnie, coś wisi w wieczornym, wilgotnym powietrzu, groza; drobna, jakby znajoma postać podnosi rękę do góry, cisza, głucha jak dzwon, spada na amfiteatr i w tej głuchej, napiętej ciszy szczupły człowiek na arenie zaczyna mówić. Nie, Boże co w kosmosu czerni... jakie odwieczne prawa, przecież to niemożliwe, zabiłem go czterysta lat temu, duchów nie ma, strzał był pewny, krwawa plama na plecach, Martin do dwustu miliardów ciemnych gwiazd nie możesz, nie masz prawa żyć, po prostu nie możesz, a jeżeli już żyjesz, to dlaczego chcesz mnie zabić, zemsta po czterystu latach, Martinie odpowiedz, tłum czeka, powietrze zamienia się w krew, cały amfiteatr oddycha krwią, moją, z ciemności patrzą na mnie tysiące oczu amazonek spragnionych widoku śmierci, Martinie, powiedz, że to nieprawda, stuletni sen, obudzę się w ciepłej koi rakiety na tydzień światła przed celem, gdzie my wtedy lecieliśmy? Płaszcz wędrowca na plecach, jak ja, kiedyś dawno, dawno temu, Martinie coś ty zrobił najlepszego? Budzisz Dragona z jego snu. Robisz to.

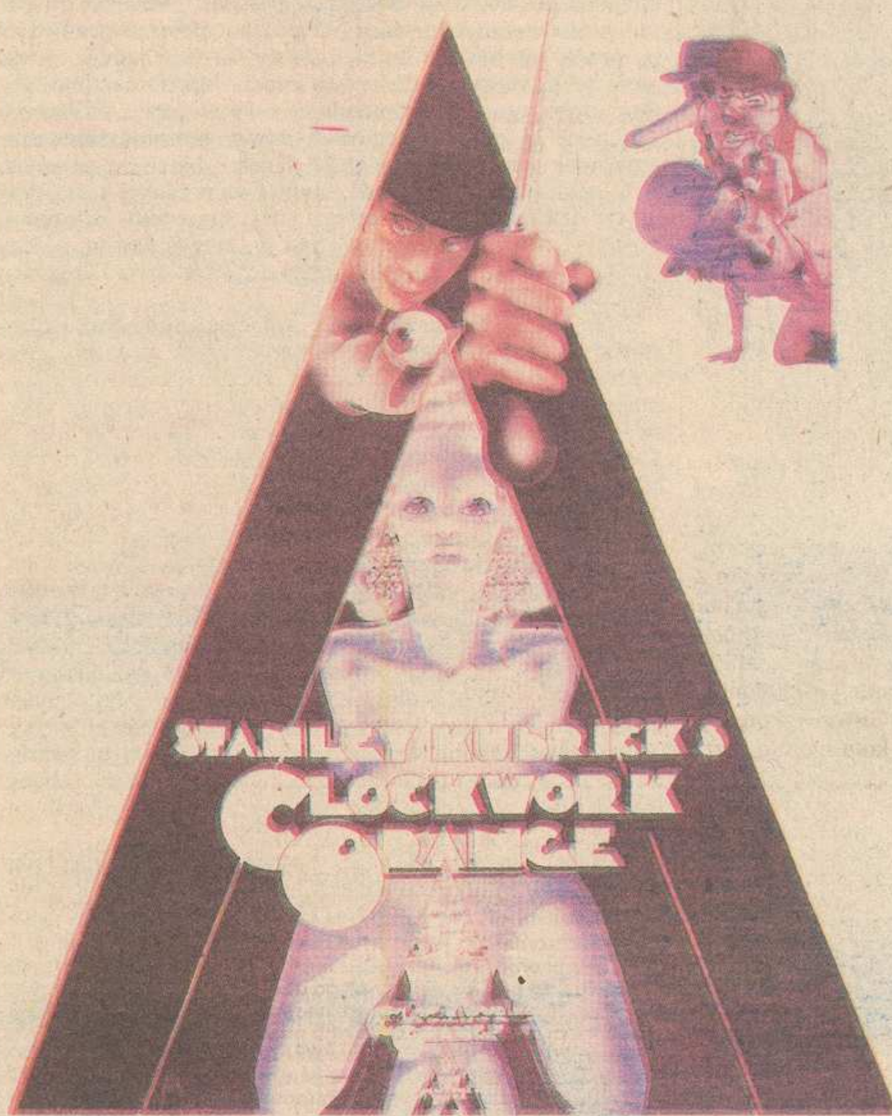
Więc ja – Dragon muszę wstać, zdjąć purpurę z barków, zostawić swoje cienie i szerokimi schodami zejść na arenę. Twarze mijane po drodze będą ciekawe, życzliwie zainteresowane, moją lub jego śmiercią. Człowiek, prawdziwy, zdejmuje także swój płaszcz i nieporuszony będzie czekał na ucznia mistrza Tiech – kto był twoim mistrzem Martinie? Zaś uczeń, który zabił swego mistrza stanie naprzeciwko niego i podobnie jak on obnaży swój miecz i odrzuci na bok pochwę. Potem ja – Dragon zapytam po prostu – dlaczego? Martinie, dlaczego? A on nastawiając miecz do odparowania pierwszego ciosu zacznie mówić. I ja – Dragon walcząc będę słuchał jego opowieści przerywanej brzękiem zderzających się mieczy. Opowieści o czterystu latach samotności, o długiej nauce fechtunku, o nowych ciosach, jakie nie śniły się dotąd nikomu nawet mistrzowi Tiech, będę słuchał o długich wędrówkach po całej planecie uwieńczonych odkryciem wielkiej, niezamieszkanej wyspy, daleko za wschodnim Archipelagiem. Martin ty chyba zwariowałeś, jakie dzieci? jakie szczęście, nawet jeżeli mnie zabijesz to i tak nigdy nie zechcę być z tobą nie mówiąc już o byciu kobietą.

Więc ja – Dragon będę walczył w beznadziejnym pojedynku skazany na los gorszy od śmierci, miecze będą dzwoniły i świszczały do momentu w którym cios precyzyjniejszy od cięcia skalpelem pozbawi mnie władzy w rękach i nogach, jak podcięty upadnę na splamiony krwią gladiatorów piasek a Martin zostanie królem. I będzie udawał, że się mną troskliwie opiekuje aż do momentu kiedy będzie mógł wywieźć mnie do groty Dragonów, do Machiny aby tam, w jej chłodnym wnętrzu przerobić mnie na swoją kobietę. Oto kim mam zostać. Ja – Dragon.

Zbigniew Jastrzębski

Philip Castle





Mój ojciec, Mistrz Wiertarski i zasłużony pracownik zakładów budowniczo-rozbiórkowych Hansa-Dietricha Lehmanna, sapie, pochrząkuje i poświstuje zdejmując z siebie górne, a następnie dolne części garderoby. Czeka go godzina przyjemności-z-osobą-innej-płci. Okupił to nadwyżką swego całotygodniowego trudu, jaka została mu po opłaceniu potrzeb jedzopitnych i mieszkalnych, a także po oddaniu pewnej kwoty na cele moje i moich potrzeb. Od kiedy umarła matka, regularnie co niedzielę odwiedza najbliższy zamtuz zwany „Posępne Westchnienie", by rozładować żądze i frustracje nagromadzone w ciągu sześciu dni roboczych.

Więc teraz sapie i pochrząkuje, a następnie zapewne położy się na łóżku koloru czerwonego, wyzwalającego męskie siły witalne i zacznie wykorzystywać swój czas. Tak to sobie przynajmniej wyobrażam podczas ostatniej destylacji. Zawsze, gdy ojciec obiera kurs na Pos-Westchy, wyciągam z umiejętnie zamaskowanej skrytki zakupiony w głębokiej tajemnicy sprzęt i wytrwale eksperymentuję. W przyszłości zostanę wielkim chemikiem i otrzymam Nagrodę Nobla, a może dwie lub trzy. Przedtem rzecz jasna będę musiał dokonać kilku odkryć, które zmienią bieg ludzkości, tak jak tama zmienia bieg rzeki, a kierowca bieg w samochodzie. Nad jednym z nich właśnie naukowo pracuję. Ojciec jednak w swej zawziętości chce, by moja kariera potoczyła się tunelem utartym przez udarowe końcówki. Najpierw Czeladnictwo, a potem Mistrzostwo Wiertarskie w zakładach budowniczo-rozbiórkowych Hansa-Dietricha Lehmanna. Na razie więc jestem Uczniem. Nie robię jednak postępów oczekiwanych przez ojca, a nawet próbuję cofać się w tył. Nauczyciele czasami odkrywają to i biją mnie młotkami po rękach. Próżne są ich wysiłki, gdyż tak czy inaczej zostanę wielkim chemikiem. Za rok będę pełnoletni i władza rodzicielska mego ojca-wiertacza rozwieje się jak pył na budowie. Wtedy wystąpię ze Szkoły Wiertarsko-Murarskiej im. Hansa-Dietricha Lehmanna i zapiszę się na uniwersytet. Myślę, że gdy dokonam swego odkrycia, przyjmą mnie, mimo braku matury. A ojciec będzie mógł wtedy wskoczyć mi na pukiel i wołać o cukier.

Gardzę środowiskiem wiertarsko-murarskim, jak gardzę środowiskiem bogacko-snobistycznym oraz szpanersko-dyskotekowym. Zachowanie pełne obrzydliwego pseudoluzu i przeżarty żargonowymi naleciałościami język moich rówieśników wywołują u mnie głęboki i silny niesmak. Ich kult przemocy, twardości i pieniądza wydaje mi się nienauko-

wy i godzien najwyższej pogardy. Dlatego staram się mówić i pisać, a także czytać odmiennie niż oni. Na pewno to zauważaliście – jeszcze co prawda nie bardzo mi to wychodzi, ale czynię w tym temacie szybkie kroki do przodu. Trochę przeszkadza mi ojciec, używając na co dzień grubiańskich i oklepanych słów w rodzaju „kurwa" i „pierdolić"; uważa on, że prawdziwy mężczyzna powinien wypowiadać te słowa jak najczęściej. Ale ja lawiruję umiejętnie i wypowiadam je tylko w sytuacjach bez wyjścia.

Reakcje żwawo posuwają się naprzód. Jeszcze trochę i osiągnę pierwszy w swym życiu sukces. Gdyby nie ojciec, zabraniający mi uprawiać naukę, mógłbym uzyskać wyniki wiele miesięcy wcześniej. A tak muszę ukrywać swój sprzęt, jak robili to podczas wojny członkowie konspiracji ze swymi radiostacjami i karabinami, używam go jedynie w chwilach nieobecności wiertarskości w naszym domu. Zielone i brązowe płyny naukowe bulgocą mi w probówkach. Tak samo bulgoce zapewne w tej chwili mój ojciec, odprawiając w Pos-Westchach misterium jebacji. Przepraszam bardzo, ale musiałem użyć tego słowa, gdyż nic lepszego nie przyszło mi do głowy, a dokończyć myśl raz zaczętą trzeba zawsze. No więc płyny bulgocą i bulgocą, a od czasu do czasu syczą. Patrzę z wielkim zadowoleniem, a na twarzy rozlewa mi się uśmiech błogi jak zupa. Zaglądam do swoich notatek. Upewniam się, czy nic nie pomyliłem. Teraz czekam, aż wytworzy się ostateczny preparat.

Płyny zlewają się ze sobą, sycząc i pochrząkując. Tak samo syczy i pochrząkuje zapewne... nie, nie mogę się rozpraszać, bo właśnie w tym momencie zachodzi chwila decydująca. A może jest to moment decydujący i zachodzi w chwili? Nieważne. Oto bowiem na własne oczy widzę, jak tworzy się nowa jakość. Dotychczas pojęcie to znałem jedynie z książek pieczołowicie ukrywanych przed światem wiertarskim. Zdobywałem te książki jak złodziej, zanim nie zrozumiałem że odkrycia, których dzięki nim dokonam, uczynią fakt kradzieży chwalebnym z punktu widzenia interesów ludzkości.

W nabożnym skupieniu patrzę na powstały Preparat. Kontempluję swoje debiutanckie odkrycie jak niegdyś mnisi kontemplowali pojęcie bytu samego w sobie. Dopiero po dłuższej chwili uświadamiam sobie, że muszę uczcić ten fakt wykazując się w jego obliczu tymi okruchami wiedzy, jakie zdołałem do tej pory zgromadzić. Naprędce powtarzam w myślach ciąg reakcji, uważając, by to, co jest substratem było nazywane substratem, a to, co jest produktem, było nazywane produktem. W porządku. Teraz ostrożnie zlewam preparat do wymytej i wyparzonej uprzednio buteleczki. Skończyła się faza produkcyjna odkrycia. Trzeba teraz wypróbować je w praktyce, jako że ta jest według moich książek ostatecznym kryterium prawdziwości czegokolwiek. Składam więc i chowam sprzęt oraz inne materiały; wkrótce przyjdzie tu mój ojciec, Mistrz Wiertarski i będzie oczekiwał atmosfery odpo-

[redacted]

Wielkim chemikiem zostać

Jacek Sierpiński

wiedniej do swych zainteresowań. Wyciągam na wierzch wiertarkę, po czym wietrzę dokładnie pokój. Teraz ojciec niczego nie zauważy. Może spokojnie oglądać tu telewizor i magnetowid, czyli po szpanersku wideo. Wkładam buteleczkę z Preparatem do kieszeni. Wychodzę. Próba odbędzie się w terenie.

Krążę w pobliżu dyskoteki Czerwone Kręgi – siedliska wulgarnego pseudoluzactwa i wyżywactwa. Dochodzą mnie obrzydliwe dźwięki tego, co szpanerzy uważają za muzykę. Słyszałem, że przy jej rytmach oddają się porubstwu (rozpuście) i tańcowi, a czasami dają upust swej sile, która w ich środowisku uchodzi za rzecz imponującą. Myślę też, że piją tam grubiański alkohol i jedzą różne bezsensowne świństwa, o których lepiej nie mówić. Ale to ich sprawa – na starość będą płakać, że się nie samozrealizowali. Ściskam w kieszeni buteleczkę.

Widzę, jak moi rówieśnicy z czubami na głowach awanturują się przed wejściem, wygrażając nawet policjantom czuwającym w pobliżu nad porządkiem. Widzę, jak przed dyskotekę zajeżdżają drogie automobile, z których wysiadają, wypełzają lub wyłażą strojne, wypaczone parki. Widzę rozrycząną grupę murarzy i wiertaczy – poznaję po uniformach – jak prosto z roboty wkraczają w wir tej prymitywnej zabawy.

Wreszcie widzę to, na co czekam. Samotna dziewczyna o bardzo szpanersko-dyskotekowym wyglądzie wychodzi zataczając się z budynku. Nie wsiada do żadnego z autobomili. Idzie pieszo. Nie waham się ani chwili. Skradam się za nią jak kolonia bezgłośnych bakterii. Gwar dyskoteki powoli się oddala. Dookoła rzadko rozrzucone domki z wygaszonymi światłami w oknach. Jest druga w nocy.

Szpanerka przyspiesza kroku; boi się, by ktoś jej nie napadł. Dzisiejszej nocy przeżyje jednak gorzkie rozczarowanie. To właśnie ja ją napadnę.

Napadam. Dziewczyna ani zipnęła, zaskoczona. Zalepiam jej usta grubym, szorstkim plastrem i wiążę ją cienkim drutem, wpijającym się w kostki i nadgarstki. Potem czekam, aż odzyska przytomność.

Gdy tylko otwiera oczy, zaczynam ją bić. Na początek uderzam ją w oblicze. Potem kopię – w brzuch, pomiędzy nogi, w plecy. Nie mam wprawdzie takiej wprawy w biciu, jak moi rówieśnicy, ale muszę je wykonać. To należy do próby. Rejestruję zachowanie się szpanerki; gdy wydaje mi się, że osiągnęła już wysoki stopień nienawiści, przerywam bicie. Teraz muszę ją zgwałcić. Wielokrotnie widziałem w telewizorze i magnetowidzie, jak to się robi. Myślę, że podołam temu zadaniu. Brutalnie, po wiertarsku zdzieram z niej górne i dolne części garderoby. Staram się też pochrząkiwać i sapać. Następnie rozpinam spodnie i kładę się na dziewczynę. Trwa to dziesięć minut. Przez cały czas staram się zachowywać jak moi rówieśnicy ze Szkoły Wiertarsko-Murarskiej im. Hansa-Dietricha Lehmanna. Zauważam, że szpanerka odczuwa to i docenia.

Dobrze. Zapinam spodnie. Ostrożnie wyciągam buteleczkę z Preparatem. Zdzieram ostrym szarpnięciem plaster. Siłą rozwieram szczęki dziewczyny i wlewam parę kropel. Z niepokojem czekam na rezultat. Robiłem wszystko tak, jak dyktowało mi natchnienie podczas bezsennych, twórczych nocy, ale mimo to mam obawy. Co będzie, jeśli któraś z probówek okaże się zanieczyszczona? Jeśli zamiast pierwszej w świecie substancji wywołującej w sposób sztuczny uzależnienie chemiczne zwane miłością, wyszedł zwykły środek odurzający albo wręcz trucizna? Spojrzenie dziewczyny zmienia się. Nie ma w [illegible] już strachu, nie ma nienawiści. N[illegible]t szpanerstwo niemalże znika z jej t[illegible]. Wyciąga do mnie ręce.

– Kocham cię – mó[illegible]

– Naprawdę? – pyta[illegible]. – Pamiętasz, co było przed chwilą?

– Pamiętam – odpowiada. – Ale teraz to nieważne. Przecież cię kocham. Miłość wszystko wybaczy.

Całujemy się w milczeniu. Nawiasem mówiąc, jest to mój pierwszy pocałunek w życiu. I zapewne ostatni, jak sądzę. Ale ostatecznie rozwiewa moje wątpliwości.

Tak. Kocha. Zostanę wielkim chemikiem.

Jacek SIERPIŃSKI

Autor znany naszym Czytelnikom jako Hotlyss-Hotland („Fantastyka" nr 4/87) jest oryginałem tajemniczym i intrygującym. Zasypuje redakcję prowokującymi listami (i opowiadaniami) wysyłanymi z Zawodzia, w których pod sztubacką szatą graficzną i naiwną manierą wyczuwam tęgiego szydercę. Na poziomie zdania i całych fabuł prowadzi Hotlyss-Sierpiński z czytelnikami przekorną grę; zdaje się ich drażnić, obrażać i zarazem zapraszać do tańca. W numerze 2/89 przedstawiliśmy jego opowiadanie „Życie w osiedlach nad Rawą". Kilka innych jego tekstów zatrzymano mi na redakcyjnych sitach; autorzy czwartej generacji, których znam, wypowiadali się o jego propozycji bez rewerencji. Ale, proszę, przeczytajcie Państwo „Wielkiego chemika..." uważnie. Są w tym opowiadaniu tony, których polskiej fantastyce brakuje. Jest drwina z szablonów, z konwencji; jest dystans do świata, pokazanego niby naiwnie, lecz ostro, bez sentymentów. Może jeszcze polubimy Hotlyssa? (mp)

Umiński Władysław (1865-1954)

Dziennikarz, literat, przyrodoznawca

Urodził się 10 listopada 1865 r. w Przedrzeczu na Kujawach. Syn malarza Juliana Umińskiego i Tekli z Bogdańskich. Ukończył Wydział Przyrodniczy na Uniwersytecie w Petersburgu. Prowadził działalność oświatową w „Tygodniku Ilustrowanym" (1897–1904), współpracował z „Kurierem Codziennym" i „Wędrowcem". W 1904 r. był redaktorem i wydawcą czasopisma „Czytelnia dla Wszystkich". W 1905 r. – członek redakcji „Gazety Wileńskiej", następnie – „Dziennika Kijowskiego". W latach 1909–1912 redagował „Wieczory Rodzinne", od 1912 r. wydawał „Miesiąc Ilustrowany". W „Tygodniku Ilustrowanym" prowadził dział popularnonaukowy. Po zakończeniu I wojny światowej pracował jako referent prasowy w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, zajmował się działalnością oświatową, redagował czasopismo „Lot" (1933). Po 1945 r. zajął się wyłącznie twórczością literacką. Zmarł 31 grudnia 1954 r. w Warszawie.

Autor powieści przygodowych i historycznych, m.in.: „Wędrowna wyspa" (1895), „Flibustierowie" (1901), „Pod flagą polską samochodem naokoło świata" (1919). Opublikował kilkadziesiąt książek popularnonaukowych, m.in: „Cuda przemysłu" (1898), „Ocean i jego tajemnice" (1899), „O węglu kamiennym" (1900), „Zwierzęta przedpotopowe" (1900), „Najdawniejsze wynalazki" (1902), „Świat lodów" (1907), „Wycieczka na Księżyc" (1907), „W otchłaniach niebios" (1910), „Samolot na usługach człowieka" (1930).

Rozgłos przyniosły Umińskiemu powieści fantastyczno-naukowe adresowane do młodego czytelnika. Debiutował w 1881 r. książką **„Zwycięzcy oceanu"** (Gebethner i Wolff, Warszawa; pierwodruk: „Wędrowiec" 1890/23–52; powieść przełożona na język czeski). W dalszej kolejności ukazały się: **„Balonem do bieguna. Przygody z podróży powietrznej ponad lodami"** (pierwodruk: „Wieczory Rodzinne" 1891/1–30; wyd. os. Gebethner i Wolff, Warszawa 1884; wyd. powoj. 1947 i 1948 pt. **„Balonem do bieguna północnego. Ponad lodami Antarktydy"**; przekład francuski i rosyjski), **„W nieznane światy. Powieść fantastyczna"** (Petersburg, 1895, przekład rosyjski), **„Samolotem naokoło świata, Podróż fantastyczna"** (K. Trepte, Warszawa 1911, 1926, 1956), **„Na drugą planetę. Powieść fantastyczna"** (L. Fischer, E. Wende, Lwów 1913; przekład rosyjski), **„Czarodziejski okręt. Powieść dla młodzieży"** (Gebethner i Wolff, Warszawa 1916), **„W głębinach oceanu. Powieść fantastyczna dla młodzieży"** (Gebethner i Wolff, Warszawa 1920), **„Zaziemskie światy. Pierwszy lot międzyplanetarny")** (Gebethner i Wolff, Warszawa 1948, druk ukończono w 1956). Wszystkie powieści były wielokrotnie wznawiane również w okresie powojennym.

Władysław Umiński jest jednym z bardziej znanych autorów polskiej fantastyki naukowej: nader często początki rodzimej science fiction kojarzą się z jego nazwiskiem. Autor piszący dla trzech pokoleń czytelników otrzymał – nie bez słuszności – przydomek „polskiego Verne'a", nadany mu w 1895 r. przez recenzenta z „Niwy". To właśnie Umiński spopularyzował u nas gatunek, którego klasycznym przedstawicielem był Juliusz Verne, o ile jednak Verne pisał dla czytelnika dorosłego, Umiński adresował swoje utwory do odbiorcy młodzieżowego, co w nader istotnym stopniu wpływało na zawartość jego prozy i stosowane środki przekazu (sposoby popularyzacji nauki i techniki, elementy dydaktyzmu, sensacyjność fabuły, tło społeczno-obyczajowe etc.).

Fantastyka naukowa w rozumieniu Umińskiego wiąże się z koniecznością prognozy, opisu światów przyszłości. Jest to jednak prognoza nader umiarkowana, sprowadzona w gruncie rzeczy do kreacji nowych środków technicznych z pominięciem tła społecznego, przemian ideologicznych, socjalnych i świadomościowych. Ale nawet w prognozie naukowo-technicznej inwencja Umińskiego nie sięga zbyt daleko, autor udoskonala jedynie istniejące urządzenia (łódź podwodna, samolot, balon, samochód, fonograf), dopasowu-

pożółkłe kartki

Na drugą planetę

Władysław Umiński

Znalazłszy się w szałasie, który leżał na wschodnim stoku góry, Harting zaczął składać stos Volty mający służyć do zapalenia światła z odległości. Uczyniwszy to, nasz astronom wyszedł po raz ostatni przed szałas, ażeby się przekonać czy Mars jest dobrze widziany.

Planeta, której zamierzał dać znać o istnieniu ludzkości, ukazała się zaraz prawie po zachodzie słońca i w tej chwili była już wzniesiona o kilkanaście stopni ponad horyzontem; o jedenastej miała ona zająć na niebie punkt najwyższy.

O tej porze, pogrążony w mroku nocnym, Ekwador znajdował się w ciemnej części ziemskiej tarczy. Sygnał Hartinga powinien był więc przedstawić się umieszczonemu na Marsie spostrzegaczowi jako czteropromienna, geometryczna gwiazdka, leżąca tuż obok oświetlonego przez Słońce skrawka o kształcie sierpa.

– Chciałbym niezmiernie dowiedzieć się za pomocą telegrafu iskrowego, czy w tej chwili panuje równie piękna pogoda w punktach zajętych przez naszych kolegów – rzekł Harting skończywszy swe badania. – Kto mi zaręczy, czy Sims, na przykład, nie jest teraz w rozpaczy z powodu chmur albo dymu wulkanicznego, zasłaniającego mu niebo?

– Sam już nie wiesz, czego się obawiać! – odparł Barrett zniecierpliwiony. – Czyż barometr mógłby stać tak wysoko, gdyby gdzieś w pobliżu znajdowało się dużo wilgoci atmosferycznej? Et, nudzisz w końcu! Zapalajmy światło! Za dziesięć minut dziewiąta.

Harting, nic nie odpowiedziawszy, zbliżył się do stołu, na którym leżał guziczek od baterii elektrycznych, i przycisnął go pewną ręką, spojrzawszy wprzód na swój chronometr.

– Nareszcie! – rzekł chemik oddychając z ulgą. – Zadanie nasze spełnione.

– Pali się? – zagadnął Edwin zbliżając się szybko do okienka przysłoniętego matą.

Nie potrzebował jednak odpowiedzi. Ze szczytu bowiem góry spływało łagodne, księżycowe światło, bladoniebieskawe, podobne zupełnie do elektrycznego... Skały sterczące ponad szałasem poczynały kąpać się w nim samymi swymi wierzchołkami, rzucając długie, ostre cienie na dół. Jasność ta w pierwszych chwilach bladła, nabierając szybko siły, dorównała w parę minut blaskowi błyskawicy i wciąż potężniała.

Harting widział, jak okolica rozwidniała się od padającego z płaskowzgórza światła niby od zorzy polarnej. Ciasny niedawno i zamroczony krajobraz nabierał życia. Ciemności, wypierane przemocą z dolin i zakątków, pomiędzy ponurymi bazaltami pierzchały gdzieś w dal; poza horyzont, ustępując miejsca ostrym promieniom wdzierającym się w powietrze niby strzały. Sylwetki odległych o kilkanaście kilometrów wyniosłości zarysowały się na tle głębokiego nieba z przedziwną, niebywałą wyrazistością. Stojące bliżej odłamy skalne płonęły jak bryły rozpalonego do białości metalu. Dziwne, nie znane oku światło wsiąkało w przestrzeń, nadając całemu otoczeniu jakiś oryginalny, nieuchwytny wyraz.

– Brawo! – zawołał Barrett podnosząc wyżej zasłonę. – Jest widno jak w dzień. Ale to jeszcze nie koniec. Nasz fajerwerk zacznie palić się na dobre nie prędzej niż za pół godziny, wtedy dopiero będzie na co patrzeć z Marsa.

I chemik, zadowolony ze swego dzieła, wodził uśmiechniętymi oczyma po obecnych, jak gdyby oczekując pochwał.

Harting, zająwszy stanowisko przy okienku, patrzył z biciem serca, jak leżący przed nim krajobraz rozświetlał się coraz bardziej. Białe dymy, pędzone silnym zachodnim wiatrem z gorejących

jąc do nich nowe parametry techniczne. W miarę dewaluacji „wynalazków", które poczynają tracić znamiona fantastyczności wobec realnego postępu nauki i techniki, Umiński dokonuje korekt w swoich opisach, w każdym, kolejnym wznowieniu przerabia parametry cudownych urządzeń dostosowując je do aktualnego stanu wiedzy.

Tematem niemal wszystkich powieści „polskiego Verne'a" są losy odważnych podróżników, nierzadko naukowców, genialnych inżynierów, którzy uzbrojeni w najnowsze zdobycze myśli ludzkiej zasiadają za sterami samolotów i łodzi podwodnych, nawiązują kontakty z inną cywilizacją, rzucają wyzwanie przyrodzie, próbują zmierzyć się z oporną, srogą, nieujarzmioną Naturą, pokonać własny strach, udowodnić siłę i moc człowieka, który potrafi przezwyciężyć wszystkie przeszkody zmierzając ku pełnemu samookreśleniu, bezkonfliktowej, szczęśliwej przyszłości. W starciu z przyrodą cywilizacja odnosi bezsprzeczne zwycięstwo, w zmaganiach ze środowiskiem, z opornym, nierzadko zawodnym materiałem technicznym rodzi się siła przetrwania, wyrabia dzielność, intuicja, umiejętność radzenia sobie w każdej, niesprzyjającej sytuacji. Ważną rolę w książkach Umińskiego pełni schemat fabularny związany z defektem, zawodnością, awarią cudownych mechanizmów, które trzeba naprawić, aby zrealizować wytknięty cel, udowodnić zaradność bohaterów (łódź podwodna z książki „W głębinach oceanu"; ptak powietrzny z „Samolotem dookoła świata"). Fantastyka naukowa pełni funkcję służebną wobec strategii dydaktyczno-wychowawczych, ale jest również nader wymownym świadectwem popularyzacji „pracy u podstaw" i „pracy organicznej", dotyczy zatem ogólnych haseł epoki. Z drugiej strony bohaterowie Umińskiego to jednostki nieprzeciętne, obdarzone szczególnym charyzmatem przywództwa. Sytuują się ponad społeczeństwem, rzucają wyzwanie światu, przeciwstawiają opinii społecznej, którą uosabia bezosobowy tłum. Jest w tej koncepcji wiele przemyśleń Verne'a, którego „mocne", „silne" postacie nawiązują do ideału człowieka nietzscheańskiego (np. kapitan Nemo). Nader wymowny staje się zatem ideologiczny zwrot Umińskiego dokonany po II wojnie światowej: w „Zaziemskich światach" autor z wyraźną niechęcią odnosi się do wzorców propagowanych przez cywilizację naukowo-techniczną. Doświadczenia wojenne są bolesnym ciosem dla pozytywistycznego światopoglądu, skłaniają do przyjęcia nowej, odmiennej wersji przyszłości, która musi polegać na duchowym przeobrażeniu człowieka. Jest to zmiana rewolucyjna, ponieważ w całym dotychczasowym dorobku pisarza, człowiek przyszłości był kreowany na podobieństwo człowieka współczesnego, przy milczącym założeniu, że ogólny postęp cywilizacji doprowadzi do udoskonalenia i uszlachetnienia ludzkiej natury.

Pamiętając o zapożyczeniach problemowych powieści Umińskiego, ich wtórności wobec rozwiązań francuskiego poprzednika, nie sposób przemilczeć typowo polskich cech tych utworów. Pisane w okresie utraty niepodległości propagowały nazwiska naszych inżynierów i podróżników (Gromski, Jelski), tutejszych wynalazków (aerostat „Polonia") a cele szaleńczych wypraw były ustanawiane i realizowane przez Polaków (np. zdobycie bieguna południowego).

Książki Władysława Umińskiego mimo dezaktualizacji sztafażu technicznego, odznaczają się nadal istotnymi zaletami lekturowymi – zwartą, ciekawie skonstruowaną fabułą wzorowaną na powieściach awanturniczych Thomasa Mayne Reida i Roberta Louisa Stevensona; prostą narracją, niezbyt natrętnym dydaktyzmem, toteż cieszą się nadal zasłużonym powodzeniem czytelników.

Bibliografia wybrana:

– K. Kuliczkowska (w:) „Obraz Literatury Polskiej" V/3,
– Polski Verne (w:) „Niwa" 1895/2,
– (bezim) Gazeta Lwowska 1895/2,
– (bezim) Ilustrowany Kurier Codzienny 1923/312.

Recenzje wybrane:

– W. Gomulicki, Kurier Codzienny 1891/345,
– W. Gomulicki, Kurier Codzienny 1893/347,
– W. Gomulicki, Kurier Literacki 1905/96,
– N. (A. Niemojewski) Wędrowiec 1895/2,
– P.R. (R. Plenkiewicz) Ateneum 1895, t. I,
– S.C.A. Gazeta Poranna 1913/347,
– Przegląd Oświatowy 1919/12.

pożółkłe kartki

ognisk, unosiły się w jarzących obłokach ponad doliną i napełniały oślepiającym pyłem pobliskie wąwozy.

Było coś wspaniałego, nieziemskiego w tej powodzi światła, odbierającego zuchwale ciemnej nocy berło panowania nad opuszczonym przez dzień obszarem, w tym słońcu stworzonym ręką obawiającego się jego promieni człowieka.

Kondory, drzemiące na podniebnych urwiskach, obudziły się nagle i sądząc zapewne, że dzień nowy zajaśniał, zrywały się do lotu. Harting widział je wyraźnie, jak krążyły ponad skałami, zdziwione rażącym ich oczy blaskiem, i z szybkością strzały śpieszyły ku światłu na swą zgubę.

Natura, złudzona dziełem ludzkim, wstawała ze snu. Rośliny w nizinach rozpoczynały na nowo swoje fizjologiczne procesy. Z daleka dochodził ryk jakiegoś oślepionego straszną jasnością niedźwiedzia, drobne ptactwo opuszczało swe gniazda; słowem – Harting i Barrett naruszyli odwieczny porządek życia mieszkańców ekwadorskich Kordylierów.

– Nie mogę dłużej patrzeć! – zawołał nagle Harting, chroniąc się do szałasu. – Oczy mnie bolą... choć mam żółte okulary.

Barrett wyjrzał ciekawie, lecz wnet się cofnął, uczuwszy bolesne kłucie na całej twarzy.

Wszystko utonęło w oceanie ostrego, rażącego nerwy światła. Szczyt góry zamienił się w jedną olśniewającą pochodnię, która rozpraszała ciemności na setki kilometrów dookoła.

Barrett święcił zupełny triumf.

Nasza garstka, zamknięta w szałasie, z trwogą spoglądała po sobie, teraz dopiero przewidziane przez chemika niebezpieczeństwo było jawne. Śmiałek, który by się odważył choćby na jedną sekundę rzucić okiem w kierunku góry, drogo by za to zapłacił.

Harting zauważył, że gwiazdy, przed godziną jeszcze wyraźnie błyszczące na firmamencie, znikły zupełnie, przyćmione sztucznym słońcem.

– Żałuję bardzo – rzekł Barrett – iż nie możemy dokonać pomiarów fotometrycznych. Ciekaw jestem, jakie też natężenie ma nasze światło?

– Olbrzymie, znam się cokolwiek na tym – odparł Edwin. – W każdym razie rozporządzamy przynajmniej trzydziestoma milionami jednostek. Jest to znacznie więcej aniżeli konieczne minimum. Dzielnie spisałeś się, kochany Józefie! Jeżeli przedsięwzięcie moje uda się, tobie tylko będę to miał do zawdzięczenia.

– Miła mi jest twoja wdzięczność – rzekł Barrett uśmiechając się. – Powiedz mi jednak, czego się spodziewasz w najpomyślniejszym razie.

– Jak to: w najpomyślniejszym?

– No, gdy sygnał twój osiągnie swój cel, to jest zostanie dostrzeżony na Marsie? Przecież nie masz chyba nadziei, że uda ci się nawiązać pomiędzy naszym światem a tamtym jakąś wymianę myśli.

– A to dlaczego?! – zawołał Harting z wybuchem. – Za pomocą prostych, geometrycznych znaków można powiedzieć bardzo wiele. Myśl niekoniecznie musi być wyrażona mową lub pismem, ażeby została zrozumiana. Przyznaję, że przesłanie zdań zawierających ziemskie pojęcia jest mrzonką. Któż nam jednak przeszkodzi używać symbolów wszechświatowych? Czyżbyśmy mało powiedzieli o sobie Marsjanom, pokazując im po kolei wszystkie figury geometryczne, płaskie, poczynając od linii prostej, a kończąc na regularnych wielobokach? Euklides jest powagą nie tylko u nas, ale i na każdej planecie słonecznego układu.

– Zgoda na to, ale cóż mogą odpowiedzieć przypuszczalni Marsjanie na twój sygnał?

– Albo ja wiem? Prawdopodobnie sygnałem podobnym do mojego. Na razie chodzi mi tylko o to, abyśmy się przekonali o ich istnieniu i odwrotnie.

– Cóż za korzyść odniesie ludzkość z przeświadczenia, iż setki milionów kilometrów, w nieprzebytej dla żadnego ziemskiego ciała przestrzeni, znajduje się zbiorowisko inteligentnych istot?

– Skorzysta! Oczywiście, że skorzysta, mój drogi! – zawołał z zapałem Harting. – Rozszerzy swoje poglądy na życie we wszechświecie, dowie się, że nie jest wytworem przypadku, zbliży się do rozwiązania zagadki bytu, nabierze pewności, iż jest przeznaczona do rozwoju, do szczęścia. A kto wie, może z czasem, po wielu wiekach, zdoła zespolić swą wiedzę z wiedzą istot zamieszkujących inne światy... i pocznie czerpać z tego korzyści czysto materialnej natury, które są u ciebie, jak widzę, na pierwszym planie. A zresztą kto zaręczy, czy z czasem nie znajdziemy sposobu dostania się na Marsa?!

Władysław Umiński, „Na drugą planetę", Nasza Księgarnia, Warszawa 1968, wybór ze stron 116-121.

Przygotował Andrzej Niewiadowski

Już po raz piąty sondowaliśmy gusty Czytelników „Fantastyki", prosząc o odpowiedzi na naszą ankietę. Obawialiśmy się więc nieco, że przedstawiane piąty raz podsumowujące uwagi będą nudne, że powtarzamy się z wnioskami, że właściwie wystarczy sięgnąć do wyników poprzednich sondaży, aby przeczytać niemal to samo. Cóż możemy jednak począć? Doskonale wiemy przecież, iż każdy z Czytelników jest inny i niepowtarzalny, ma własny gust i określone upodobania, ale po zsumowaniu kilkuset ankiet okazuje się, że indywidualności giną i otrzymujemy statystyczny obraz „przeciętnego Czytelnika", który od lat się niemal nie zmienia. Dlatego też nasze konkluzje są ciągle zbliżone do siebie. Kolejny, szósty sondaż będzie miał więc trochę inną formę, ale o tym piszemy dalej, zaś teraz zapraszamy do zapoznania się z oceną dwunastu numerów „Fantastyki" wydanych w 1988 roku, dokonaną przez najwierniejszych Czytelników.

Sondaż V – wyniki!

Krzysztof Szolginia

Napisałem: najwierniejszych, gdyż tym razem otrzymaliśmy tylko 563 ankiety. Ta mniejsza niż to ostatnio bywało liczba odpowiedzi (zeszłoroczny rekord – 1652) była z pewnością spowodowana niezależnym od redakcji opóźnieniem w druku numeru z formularzem ankiety (kolejne numery, jak Czytelnicy wiedzą, miały opóźnienie jeszcze większe). Wielu z respondentów opatrzyło swe odpowiedzi dopiskami w rodzaju: *Ufam, że uwzględnicie mój głos, mimo przekroczenia terminu, gdyż grudniowy numer „Fantastyki" w moim kiosku był dopiero 18 stycznia.* Dziękujemy za zaufanie, oczywiście zorientowaliśmy się, że nasz termin (20 stycznia) stał się nierealny i honorowaliśmy w s z y s t k i e ankiety, które do nas dotarły.

Wśród naszych respondentów jak zwykle dominowali chłopcy i mężczyźni, którzy stanowili ok. 91% (poprzednie sondaże: 89-92%). Osób w wieku do 20 lat było więcej niż zazwyczaj – ok. 68% (w latach ubiegłych: 52-61%). W poprzednich sondażach młodsi wiekiem uczestnicy ankiety swe odpowiedzi przysyłali natychmiast, zaś starsi potrzebowali na to więcej czasu – tym razem, ponieważ było już po terminie znaczna ich grupa prawdopodobnie zrezygnowała z wypowiedzi. Najmłodszym uczestnikiem sondażu był 12-letni uczeń szkoły podstawowej, zaś najstarszym 66-letnia pani, ekonomistka z zawodu.

Dwie trzecie naszych respondentów (69% – poprzednio: 58–63%) to osoby uczące się (wśród nich 15% to studenci, pozostali zaś uczniowie: 59% – szkół średnich, 6% – szkół zawodowych, 20% – szkół podstawowych), reszta to pracujący w bardzo wielu różnych zawodach (wykształcenie: wyższe – 38%, średnie – 47%, zawodowe – 14%, podstawowe – mniej niż 1%).

W dużych miastach (ponad 100 000 mieszkańców) mieszka ok. 51% odpowiadających na ankietę, w miastach średnich (21 000–100 000 mieszkańców) – ok. 25%, w miasteczkach (do 20 000 mieszkańców) – ok. 10%, na wsi – ok. 9%, za granicą – ok. 5%. Rok temu odpowiednio wskaźniki były podobne: 50%, 25%, 14%, 10%, 1%.

We wszystkich poprzednich sondażach najliczniejszą grupę respondentów spoza kraju stanowili Czytelnicy z Czechosłowacji. W tym roku zmiana: najczęściej odpowiedzi otrzymywaliśmy z ZSRR (w tym jedna trzecia z Litwy), a ponadto: z Chin, Czechosłowacji, Hiszpanii, NRD, RFN, Rumunii i Węgier.

Jeden egzemplarz naszego pisma czytają przeciętnie 2 osoby, czyli podobnie jak w latach ubiegłych (nie wiadomo jak to jest w bibliotekach i czytelniach). 44% respondentów nie pożycza swego egzemplarza „Fantastyki" nikomu, zaś 5% więcej niż trzem osobom. Nakład pisma był w dalszym ciągu chyba niewystarczający, skoro poszczególne numery w roku ubiegłym rozchodziły się niemal bez zwrotów (minimalne zwroty wynikały po prostu ze złego kolportażu), a wiele osób pisało o swych kłopotach ze zdobywaniem naszego miesięcznika.

Przed przedstawieniem szczegółowych wyników sondażu przypomnę jeszcze w skrócie to, o czym już pisaliśmy w latach ubiegłych:

- kryteria Czytelników oscylują w skali wartości „podoba się – nie podoba" (tak były postawione pytania),
- nie wszystko, co się podobało jest rzeczywiście dobre i nie wszystko co się nie podobało jest naprawdę złe,
- opinie Czytelników były bardzo rozstrzelone, a wyniki sondażu są tylko wypadkową bardzo zróżnicowanych gustów zależnych od wieku i wykształcenia,
- „prawda statystyczna" ujawniona w wynikach sondażu to tylko część prawdy o naszych Czytelnikach i naszym piśmie.

Autorzy roku 1988

Prosiliśmy naszych Czytelników o podanie nazwisk (maksimum po 3) ulubionych autorów polskich i zagranicznych, których teksty (powieści, opowiadania, artykuły, felietony lub recenzje) wydrukowaliśmy w „Fantastyce" w 1988 r.

A u t o r z y p o l s c y (wymieniono 45 nazwisk): 1. Andrzej Sapkowski (286 głosów, tj. ok. 51% respondentów), 2. Maciej Iłowiecki (185), 3. Maciej Parowski (183), 4. Waldemar Płudowski (98), 5. Andrzej Zimniak (89), 6. Adam Hollanek (84), 7. Hanna Hamer (66), 8. Wojciech Maziarski (45), 9. Wojciech Jankowski (43), 10-11. Dorota Malinowska i Rafał A. Ziemkiewicz (po 30 głosów).

Tym razem Maciej Iłowiecki dopiero na drugim miejscu. Piszę „dopiero", gdyż w trzech ostatnich plebiscytach zdecydowanie zwyciężał. W roku 1988 napisał dla „Fantastyki" jednak tylko 4 felietony i to chyba zadecydowało, że został wyprzedzony przez autora „Wiedźmina" oraz „Drogi, z której się nie wraca" – przebojów w sondażu III i obecnym.

Jak co roku w polskiej dziesiątce autorów znaleźli się debiutanci. Przypomnę, że dwa lata temu byli nimi Andrzej Sapkowski i Włodzimierz Różycki, rok temu – Marek S. Huberath, tym razem są to Waldemar Płudowski i Wojciech Maziarski.

A u t o r z y z a g r a n i c z n i (wymieniono 34 nazwiska): 1. Robert Sheckley (344 głosy, tj. ok. 61% respondentów), 2. Poul Anderson (285), 3. Brian Aldiss (149), 4. Larry Niven (130), 5. George R.R. Martin (93), 6. Bob Leman (82), 7. Karl Michael Armer (81), 8-9. Stephen King i Michael D. Miller (po 73 głosy), 10. David Brin (36).

Ścisła czołówka się nie zmieniła: trzy pierwsze nazwiska były rok temu w pierwszej piątce. Nie weszli do niej Gene Wolfe i Frederik Pohl, na których Czytelnicy nie mogli głosować, gdyż nie drukowaliśmy w roku ubiegłym żadnych ich utworów.

Powieści

Wszystkie z pięciu wydrukowanych w roku 1988 powieści pojawiły się na obu listach: zarówno tych, które się podobały, jak i tych, które nie wzbudziły zachwytu. Oto ta pierwsza lista: 1. Poul Anderson – „Trzy serca i trzy lwy", „Fantastyka" nr 10/88 (298 głosów, tj. ok. 53% respondentów), 2. Larry Niven – „Pierścień", nr 3 (155), 3. Thomas R.R. Mielke – „Sakriversum", nr 8 (45), 4. Stephen King – „Ballada o celnym strzale", nr 1 (42), 5. Norman Spinrad – „Jeździec na pochodni", nr 2 (17). Lista druga jest

Komentarz naczelnego

Czy Wy, czy my dobrze się bawimy? Szczerze mówiąc z polskiej fantastyki, którą drukowaliśmy na naszych łamach nic mi szczególnie nie przypadło do gustu. Nawet sam Sapkowski, nasz gwiazdor nad gwiazdory znowu pierwszy na czytelniczej liście. W porównaniu z tym za co przedtem zbierał laury jest, m o i m skromnym zdaniem, tylko cieniem swego cienia. Jedno pewne: tematyka krajowych opowiadań, ale nie tylko, dyszy trudną atmosferą zimnej wojny i złych przeczuć i bywa u nas jak gdyby gorszym dalszym ciągiem zajdlowskich negatywów istnienia, ujemnych obrazów codziennej egzystencji i charakterów ludzkich.

Najgorsze, że w polskich opowiadaniach wszystko się teraz podlewa pożyczonym od trzeciorzędnych czarownic sosem fantasy – naprawdę jakoś u nas trudno o prawdziwe talenty bajkopisarskie, choć mamy w tej dziedzinie niezłe tradycje. Jednakże arystokratycznych twórców dawnych czasów zastąpili dziś populiści, ideał sięgnął autentycznego bruku. Darowałbym jeszcze, gdyby im chodziło o jakiś melanż polskich mniej lub bardziej przyziemnych losów z metodami zapożyczonymi z brawurowego filmu „Willow", ale nic z tego. Ta fantasy, w której pokładaliśmy mnóstwo nadziei w konkursach i po konkursach schodzi nam od razu na manowce.

Polska fantastyka nie dostrzega większych i szerszych perspektyw, zasklepia się jak gdyby i to na stałe w jaskini gdzieś na peryferiach, z której zarówno trudno trafić do naszej rzeczywistości, jak i do fantasy. Na hard SF jest zbyt niedouczona, mimo że tylu studiujących i po studiach ją czytuje na naszych łamach, na fantasy brakuje jej wyobraźni. A jeszcze to dookolne ponuractwo, Boże, może staję się zbyt surowy.

Jest to proza czasem cwaniacka, czasem knajacka (ale nie za bardzo), nie drażni, nie szarpie, nie wzrusza, nie śmieszy. Strasznie to wszystko tradycyjne w sposobach pisania, opowiadające po kolei, jak leci bardzo wymyślone (to się czuje) przygody, powoli, bez emocji, w sumie n u d n o. Brak chociażby odrobiny filozofii, przekory, niestety brak i pastiszu, w którym tyle pokładałem nadziei – z tej prozy nie wyrośnie nowa fala, wody się uspokoją, dużo w nich błota, bardziej do bagna to podobne niż do rozpętanych nurtów. Tu nie ma mowy o wielkiej fali. I jeszcze naśladownictwo. Ci najlepsi starają się pisać pod Amerykanów, zwłaszcza tych, co drukujemy – prawie równie ponurych, ale za to perwersyjnych, przebiegłych, którzy z pełną świadomością żonglują pomysłami, trikami, kręcą charakterami. Niestety tego nasi nie potrafią podkradać, podkradają natomiast blichtr i inne zewnętrzne cechy amerykanizmu. Wątpię, żeby ktoś w USA czy w ogóle fanowie na całym świecie nie poznali się od razu na naszej, krajowej mistyfikacji, gdyby za oceanem się naszym twórcom udało publikować.

Ponuractwo jeszcze da się zresztą jakoś zrozumieć, w utworach odbija się po prostu cała niepewność własnej egzystencji i ten nastrój, który rozwlekł się jak mgła po całym kraju oraz strach, żeby optymistycznego brzasku przypadkiem nie zapeszyć, nie spłoszyć (u nas we Lwowie mówiło się „nie zaziopać") lepszym humorkiem i nie pozostać na zawsze w kręgu piekiełka. Wiele osób już z niego za granicę uciekło, wiele liczy nadal na ucieczkę wystając pod bramami raju – różnych konsulatów.

Niezależnie od nieobecności pastiszu, który bywa zawsze oznaką przezwyciężenia starych i awansu młodych kierunków

niemal dokładną odwrotnością pierwszej: 1. „Ballada..." (170 głosów, tj. ok. 30%), 2. „Jeździec..." (133), 3. „Sakriversum" (106), 4. „Pierścień" (40), 5. „Trzy serca..." (15).

Wyniki głosowania są jednoznaczne: powieści Andersona i Nivena zostały zdecydowanie lepiej przyjęte przez Czytelników niż pozostałe. Czy dlatego, że wolą oni dłuższe seriale („Trzy serca..." – 3 odcinki, „Pierścień – 5 odcinków) od mikropowieści („Ballada..." i „Jeździec..." – po 1 odcinku, „Sakriversum" – 2 odcinki)? Czy też dlatego, że powieści Kinga i Spinrada były jednak nieco trudniejsze w odbiorze?

Opowiadania zagraniczne

Najbardziej podobały się (wymieniono tytuły 29 opowiadań na 34 opublikowane): 1. Bob Leman – „Pielgrzymka Clifforda M.", „Fantastyka" nr 10/88 (129 głosów, tj. ok. 23% respondentów), 2. Michael D. Miller – „Twardy gliniarz", nr 7 (81), 3. Robert Sheckley – „Ręce przy sobie", nr 1 (61), 4. George R.R. Martin – „...za jeden miniony dzień", nr 8 (35). 5. Karl Michael Armer – „Przez wszechświat gnam, szubiduba", nr 2 (34), 6. David Brin – „Kryształowe sfery", nr 11 (31), 7. R. Sheckley – „Danta, ostatni Nowotahitańczyk", nr 5 (24), 8-9. K.M. Armer – „Tubylcy z betonowej dżungli", nr 11, oraz R. Sheckley – „Potwory", nr 10 (po 23 głosy), 10. R. Sheckley – „Bitwa", nr 8 (21).

Rok temu na zwycięskie opowiadanie Poula Andersona „Sam Hall" padło tylko 11% głosów, a więc ponad dwukrotnie mniej niż obecnie na „Pielgrzymkę..." (przypominam jednak, że „Piaseczniki" G.R.R. Martina dwa lata temu zdobyły aż 54% głosów). W roku ubiegłym R. Sheckley umieścił w pierwszej dziesiątce dwa opowiadania, tym razem aż cztery (a piąte na miejscu jedenastym), nic więc dziwnego, że został uznany przez Czytelników za ulubionego autora.

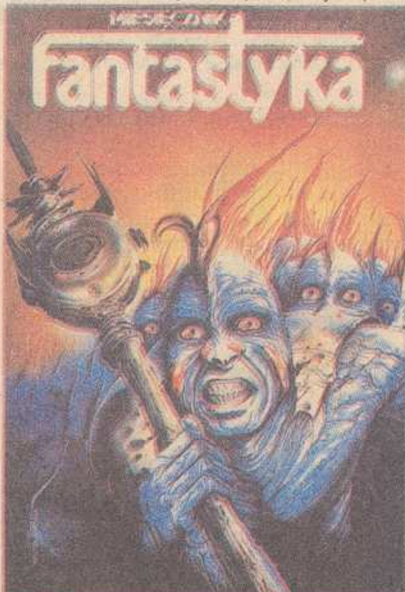
Najbardziej nie podobały się (wymieniano tytuły wszystkich opublikowanych opowiadań): 1. Lubomir Macháček – „Pomocnik domowy", nr 2 (63 głosy, tj. ok. 11% respondentów), 2. Borys Sztern – „Opowiadanie produkcyjne Nr 1", nr 9 (51), 3. Eric Simon – „Clivia Neman", nr 4 (38), 4. István Németh – „Wango", nr 7 (37), 5. Ian Watson – „W duchu Lukrecjusza", nr 3 (28).

Najwięcej kontrowersji wzbudziły opowiadania K. M. Armera: oba znalazły się w obu dziesiątkach – plusowej i minusowej.

Opowiadania polskie

Wśród tych opowiadań polskich, które uznawano za najlepsze w roku 1988 Czytelnicy wymienili 26 tytułów na 30 możliwych. Oto czołowa dziesiątka: 1. Andrzej Sapkowski – „Droga, z której się nie wraca", nr 8 (252 głosy, tj. ok. 45% respondentów), 2. Waldemar Płudowski – „Ballada o rycerzu i dwóch pegazach", nr 11 (53), 3. Wojciech Maziarski – „Wir", nr 3 (38), 4. Maciej Parowski – „Mildgor", nr 2 (36), 5. Hanna Hamer – „Czarownica", nr 10 (31), 6. Andrzej Zimniak – „Opus na trzy pociski", nr 7 (26), 7-8. Piotr Bondel – „Gumpiarz", nr 12, oraz Maciej Gałaszek – „Plantator wydm", nr 6 (po 18 głosów), 9. Wojciech Jankowski – „Zupełnie nowy interes", nr 4 (16), 10. Teresa Iżewska – „Przekleństwo", nr 9 (15).

Andrzej Sapkowski niewątpliwie umie sobie zdobyć uznanie w oczach czytelników. Jego kolejne opowiadanie zwyciężyło równie wysoko jak debiutancki „Wiedźmin" dwa lata temu: teraz 45%, wtedy 46% głosów. Dla porównania przypomnę, że na opowiadania polskie, które zajęły pierwsze miejsca w pozostałych plebis-



cytach padało znacznie mniej głosów: w sondażu I – na „Karlgoro, godz. 18.00" Marka Baranieckiego – 8%, w II na „Regułę przetrwania" Grzegorza Drukarczyka – 12%, a w IV na „Wrócieeś Sneogg, wiedziaam..." Marka S. Huberatha – 25%. Ponowny sukces u odbiorców może częściowo zrekompensuje Andrzejowi Sapkowskiemu niezbyt przychylne tym razem oceny niektórych krytyków.

Mniej zdecydowania i jednoznaczności wykazali Czytelnicy przy wyborze opowiadania, które najbardziej się nie podobało. Wymieniano wszystkie tytuły (łącznie z „Drogą..."), a najwięcej głosów zebrały następujące teksty: 1. Romuald Lenech – „Prezes Zeus i Danajczak", nr 9 (83 głosy, tj. ok. 15% respondentów), 2. Janusz Cyran – „Jeruzalem", nr 11 (57), 3. Jacek Inglot – „SCENCE and FICTION, Inc.", nr 4 (51), 4. Róża Holzman „Inna", nr 5 (46), 5. Adam Hollanek „Fausteron", nr 5 (40).

Artykuły krytyczne

Czytelnicy zgłosili tak na listę plusów, jak i minusów aż po 46 tytułów materiałów krytycznych (esejów, szkiców, recenzji). Plusy: 1. Stephen King – „Nocna zmiana", nr 1 (127 głosów, tj. ok. 23% respondentów), 2. Jerzy Szyłak – „Dużo i mało", nr 5 (57), 3. Jan Plata-Przechlewski – „Fin de siècle w kinie SF?", nr 6 (47) 4. Rafał A. Ziemkiewicz – „Krajobraz po debiucie", nr 1 (27), 5. Adam Hollanek – „A jednak romantyzm", nr 2 i 4 (24).

Tradycyjnie w czołówce znalazły się teksty napisane lżej i przystępniej i wcale nie dotyczące teorii literatury SF (Szyłak o komiksie, Plata-Przechlewski o filmie, a Ziemkiewicz o sytuacji młodych po debiucie). Jak zwykle też okazało się, że w pamięci pozostają raczej większe artykuły niż recenzje (wszystkie omówienia książek znalazły się poza pierwszą dziesiątką). Nieco zaskakuje fakt, że Czytelnikom chyba bardziej podobał się szkic Kinga o horrorze niż jego powieść-horror uznana za najsłabszą z powieści drukowanych w roku 1988.

Aż 37% (rok temu 35%) biorących udział w sondażu V nie wskazało żadnego tytułu na listę minusów (przeważnie argumentując: *nie czytam prawie wcale artykułów krytycznych),* zaś wśród pozostałych rozstrzelenie opinii było bardzo duże. Najczęściej na tę listę typowano następujące teksty: 1. Marek Wydmuch – „Osaczanie fantastyki", nr 4 (38 głosów, tj. ok, 7% respondentów), 2. Stefania Beylin – „Ludwik Sztyrmer – niesamowity...", nr 4 (35), 3. Adam Hollanek – „A jednak romantyzm" (33). Jak widać szkic naszego naczelnego znalazł się w czołówkach obu list. Czyżby przeciw głosowali pozytywiści?

Wśród recenzji największe poruszenie wywołał tekst Rafała A. Ziemkiewicza „Potęga i chała", w którym miażdżył on Conana z Cimmerii. Omówienie książki Roberta E. Howarda wyprzedziło głosami wrogów i wielbicieli barbarzyńskiego herosa wszystkie pozostałe recenzje zarówno na liście plusów, jak i minusów.

Nauka i SF

Po raz pierwszy w tej kategorii nie zwyciężył bezkonkurencyjny w latach ubiegłych Maciej Iłowiecki. Na wszystkie jego teksty głosowało łącznie aż 41% Czytelników, ale ich głosy bardziej niż zwykle rozdzieliły się na poszczególne felietony.

Plusy: 1. Maciej Kuczyński – „Czciciele chromosomów", nr 7 i 8 (157 głosów, tj. ok. 28% respondentów), 2. Maciej Iłowiecki – całość cyklu „Z tamtej strony lustra" (63), 3. M. Iłowiecki – „Arka Noego 1988", nr 2 (57), 4. M. Iłowiecki – „Ewa – nasza czarna pramatka", nr 11 (54), 5. Andrzej Machalski – „Czas ujemny", nr 3 (44).

Minusy: 1. M. Kuczyński – „Czciciele..." (92 głosy, tj. ok. 16% respondentów), 2. Maciej Pa- ☞

---

twórczości, brakuje mi także mocno trzeźwiejszego spojrzenia Czytelników na to, co im się daje do ręki. Zagraniczni faworyci uczestników naszej ankiety to sami – z wyjątkiem Armera – pisarze anglosascy, a i Armer przecież choć z pochodzenia Niemiec jest w gruncie rzeczy bardzo amerykański. A więc znowu atak wielki snobizmu zaślepił tych co czytają, tak że nie widzą już w ogóle utworów pisarzy innych krajów, tych z Europy, tych z bliska, a przecież my ich także prezentujemy, nie dlatego, żeby pokazać jakieś na bezrybiu raki jako ryby. Po prostu wydają się interesujący. Ale zarówno swoich, jak i tych co mieszkają blisko swoich nikt nie poważa. Tego typu snobizmu, który zaślepia należałoby się właśnie bać! Wystrzegać!

I jeszcze ważna sprawa. Zawsze sądziłem, że w okresach największych załamań, trudności, kryzysów sztuka (nie cała wprawdzie) robi się nagle odwrotna do tego, co się dokoła obserwuje. Szuka ona pozytywów wśród autentycznego morza negatywów. Czyżby Sienkiewicze i Rodziewiczówny (wybaczcie mi to zestawienie) przestali się rodzić i przestała w ogóle już działać cudowna magia krzepienia serc – miłością i bohaterstwem? Dlaczego jednak na przemian z rodzimym i zagranicznym fantastycznym ponuractwem młodzi wyczytują Rodziewiczównę jak nigdy przedtem i na pewno ławą pójdą nie tylko na „Przesłuchanie", za którego pokaz w Staszowie kilka lat temu wzięto mego zastępcę i mnie na milicję, ale i na „Ławę" Konwickiego.

Aż dziw bierze jak słabo reaguje w ogóle nasza sztuka na świeże owoce pieriestrojki. Pełno literatury i sztuki rozliczeniowej w Rosji, w „Ogońku" aż kipi od targania sumień dziadków, ojców i własnych – ileż się drukuje na ten temat, a u nas po sukcesie na przykład w fantastyce utworów Zajdla – trafnych i ostrych w swej wymowie, miałkość opowieści o dawnych i dzisiejszych czy jutrzejszych czasach. Jakbyśmy nie żyli nigdy pod Stalinem czy Breżniewem, jakby nie trzeba było bić na alarm w najsilniejsze dzwony dla odkupienia licznych win i błędów. To prawda, takiego tempa przeżyć nie podyktował jeszcze żaden czas – ten, w którym żyjemy pcha nas – dokąd? Budzimy się ciągle kiedy indziej i gdzie indziej, sami coraz bardziej inni. Jaka szkoda, że tak mało kto potrafi w sztuce zatrzymać te chwile – abyśmy się kiedyś mogli w tym co napisano czy sfilmowano przejrzeć jak w lustrze i porównać dzisiejszych z przeszłymi.

Za dużo dupereli w naszej sztuce, za dużo małostkowości, straciliśmy równowagę? Jak mało, poza pamiętnikami, ciekawych, tworzonych z wielką artystyczną pasją utworów ukazuje się w naszym kraju, jak mało dobrych wierszy, tłumaczeń, także i w fantastyce. Jak ubodzy jesteśmy w filmy SF i nie tylko, które potrafiłyby porwać, które byłyby adekwatne do przeciwieństw tej burzy, co nami targa i miota, gdzie my jesteśmy?

I dlaczego, pytając o to, co i jak robimy, szukając kryteriów naszego redagowania, czy może naszego romantycznego posłannictwa (romantyczna jest przecie fantastyka jako gatunek) nie zadajemy ani sobie, ani Czytelnikom zasadniczego pytania: j a k a winna być tematyka, j a k a treść naszych publikacji. A my tylko pytamy *ex post:* c o i k t o, a przede wszystkim k t o się podobał. Tymczasem winniśmy raczej pytać, czy mamy lub czy stać nas na twórców na miarę wydarzeń, które szybko gnają w przyszłość, w nieznane. Nie potrafimy więc dotąd wyjść poza to co było, w co już zostaliśmy uwikłani. Żywię obawę, że jeśli nie będziemy potrafili wyjść poza to w c z o r a j – to j u t r o nie okaże się grubo lepsze. Nie uśmiechnie się do nas serdeczniej ani nawet kpiąco.

Adam Hollanek

rowski – „Fantastyka pod lupą”, nr 9 (73), 3. A. Machalski – „Czas...” (55).

We wszystkich dotychczasowych sondażach ujawniało się duże zróżnicowanie zainteresowań i gustów naszych Czytelników, ale jeszcze nigdy polaryzacja głosów dotyczących jednego materiału nie była tak wielka. Pierwszy raz ten sam tekst nie tylko jest w czołówce list plusów i minusów, lecz przewodzi w obu przypadkach! Spore kontrowersje wywołał też artykuł Andrzeja Machalskiego.

Galeria

Plusy: 1. Siudmak-004, nr 4 (150 głosów, tj. ok. 27% respondentów), 2. Piękna, a bestia, nr 8 (139), 3. Michelangelo Miani, nr 1 (75), 4. Gry, nr 9 (49), 5. Dariusz Chojnacki, nr 2 (41).

Minusy: 1. Stasys Eidrigevičius, nr 12 (217 głosów, tj. ok. 39% respondentów), 2. Naciśnij „Enter”, nr 10 (68), 3. Patric Woodroffe, nr 3 i 5 (52).

A więc znowu Siudmak! Nie pokonali go nawet sprzymierzeni Vallejo, Achilleos i Jones ze swoimi księżniczkami. Tylko raz (rok temu) wyprzedził Siudmaka Frank Frazetta. Upodobania bywalców naszej „galerii” się nie zmieniają. Tradycyjnie głosują oni przede wszystkim na grafikę „wygładzoną”, perfekcyjnie realistyczną w wykonaniu, choć kosmiczną i baśniową w tematyce, często z samego pogranicza kiczu. Tym razem, odmiennie niż w roku ubiegłym, uczestnicy sondażu wykazali większą zgodność w wyborze tego, co się im nie podobało niż tego, co akceptowali. Bardzo żałujemy, że tak znakomity i niekonwencjonalny artysta jak Stasys Eidrigevičius nie znalazł uznania w ich oczach.

Okładki

Najbardziej się podobały: 1. Wojtek Siudmak, okładka nr 7 (210 głosów, tj. ok. 37% respondentów), 2. Andrzej Brzezicki, nr 8 (181), 3-4. A. Brzezicki, nr 7, oraz Dariusz Chojnacki, nr 2 (po 27 głosów), 5. Patric Woodroffe, nr 3 (26).

Najbardziej się nie podobały: 1. Stasys Eidrigevičius, nr 12 (144 głosy, tj. ok. 26% respondentów), 2. Anna Sternik, nr 9 (118), 3. Hanna Bakula, nr 1 (95).

Komentarz zamieszczony przy wynikach głosowania na „galerię” w większej jego części można by powtórzyć i w tym miejscu.

Najlepszy numer

Wybranie najlepszego numeru „Fantastyki” wydanego w roku 1988 sprawiło naszym Czytelnikom mniej kłopotów niż w latach poprzednich. Aż 39% respondentów uznało, że był to numer sierpniowy (rok temu na najlepszy numer padło 19% głosów, a dwa lata temu 23%). Przypomnę, że znalazły się w nim m.in. dwa teksty, które zwyciężyły w swoich kategoriach (opowiadanie Andrzeja Sapkowskiego i artykuł Macieja Kuczyńskiego), „galeria” („Piękna, a bestia”) i okładka (Andrzej Brzezicki à la Vallejo), które zajęły drugie miejsca w głosowaniu, a także w dziale zagranicznym trzy opowiadania renomowanych autorów (George’a R.R. Martina, Briana Aldissa i Roberta Sheckleya). Na następnych pozycjach Czytelnicy umieścili numer październikowy (15% głosów; zawartość m.in.: powieść Poula Andersona i opowiadania Boba Lemana – pierwsze w plebiscycie) i listopadowy (9% głosów; zawartość m.in.: opowiadanie Waldemara Płudowskiego – drugie miejsce w swej kategorii, opowiadania Davida Brina i Karla Michaela Armera – oba w pierwszej dziesiątce, druga część powieści Poula Andersona).

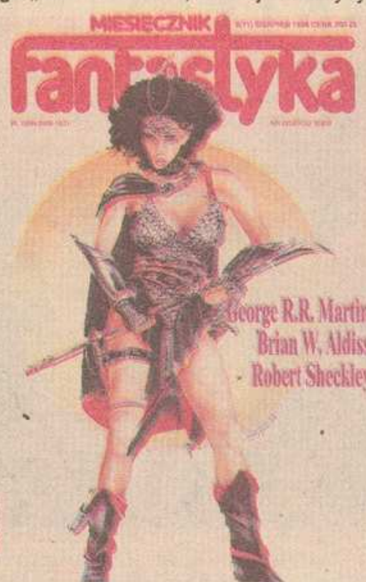
Za najsłabszy nasi respondenci uznali numer wrześniowy (12% głosów), w którym drukowaliśmy m.in. najgorsze według Czytelników opowiadania polskie, drugie na liście minusów opowiadanie zagraniczne, nie najlepiej przyjętą powieść Thomasa R.P. Mielkego.

Ponad jedna czwarta biorących udział w sondażu (27%) nie wybrała numeru najgorszego, argumentując, że nawet w najsłabszym coś się znajdzie dobrego i ciekawego.

Numer przebojów 1988

W roku ubiegłym „superwydanie 1987” było skomponowane z fragmentów aż siedmiu różnych numerów. Podobnie było i tym razem: do takiego bestsellerowego wydania zestawionego z najlepszych, według naszych Czytelników, tekstów i ilustracji opublikowanych w roku 1988 weszłyby materiały również z siedmiu „Fantastyk”. Cieszy nas to, gdyż dowodzi, że nasze starania, aby utrzymywać wyrównany poziom (oczywiście w miarę możliwości jak najwyższy) wszystkich numerów przynoszą chyba efekty.

Na I okładce wydrukowalibyśmy dzikich wojowników Wojtka Siudmaka (nr 4), na IV – uzbrojoną elficę Andrzeja Brzezickiego (nr 8), zaś w „galerii” – „Siudmaka-004” (nr 4). W części literackiej zmieściłyby się opowiadania: Boba Lemana – „Pielgrzymka Clifforda M.” (nr 10), Michaela O. Millera – „Twardy gliniarz” (nr 7) i Andrzeja Sapkowskiego – „Droga, z której się nie wraca” (nr 8) oraz jeden odcinek powieści Poula Andersona „Trzy serca i trzy lwy” (nr 10-12). Dział krytyki otwierałby szkic Stephena Kinga „Nocna zmiana”, a dalej znalazłyby się



recenzje: Rafała A. Ziemkiewicza z „Conana” Howarda (nr 8), Małgorzaty Skórskiej z „Opowieści Okrągłego Stołu” (nr 8) i Marka Oramusa z „Limes inferior” Zajdla (nr 7). Numer zamykałby artykuł Macieja Kuczyńskiego „Czciciele chromosomów” (nr 7-8) oraz recenzja Doroty Malinowskiej z filmu „Robokop” (nr 10).

Jak widać, najwięcej materiałów pochodziłoby z najlepszego według Czytelników numeru sierpniowego oraz z numerów lipcowego i październikowego. Oczywiście planując (z pomocą Czytelników) „numer przebojów 1988” uwzględniłem tradycyjny podział na stałe działy i objętość, jaką zwykle one zajmują.

Zamawiam opowiadanie...

Na naszą prośbę Czytelnicy wymieniali po jednym nazwisku autora polskiego i zagranicznego, których utwory chcieliby przeczytać na łamach „Fantastyki”. Oto listy zamówień:

Autorzy polscy (wymieniono aż 56 nazwisk): 1. Andrzej Sapkowski (158 głosów, tj. ok. 28% respondentów), 2. Janusz A. Zajdel (72), 3. Marcin Wolski (33), 4. Maciej Parowski (29), 5-6. Stanisław Lem i Marek Oramus (po 21 głosów), 7. Jacek Piekara (19), 8. Waldemar Płudowski (18), 9-11. Marek Baraniecki, Feliks W. Kres i Andrzej Zimniak (po 13 głosów).

Nazwisko J.A. Zajdla po dwóch latach spadło na 2 miejsce, mimo że głosowała na nie prawie taka sama grupa osób co poprzednio (teraz 13%, wtedy 12 i 14%). W porównaniu z zeszłym rokiem w pierwszej dziesiątce nie zmieścili się Zbigniew Prostak (jest 12) i Marek S. Huberath (jest 27), a awansowali do niej M. Parowski (był 23), A. Zimniak (był 24) i W. Płudowski (po raz pierwszy na liście zamówień). Zmieniła się też nieco kolejność pozostałych nazwisk.

Autorzy zagraniczni (wymieniono aż 71 nazwisk): 1-2. Harry Harrison i Robert E. Howard (po 78 głosów, tj. ok. 14% respondentów), 3. Poul Anderson (57), 4. Robert Sheckley (44), 5. John R.R. Tolkien (33), 6. Roger Zelazny (30), 7. Stephen King (16), 8-11. Brian Aldiss, Henry Kuttner, Ursula Le Guin i George R.R. Martin (po 13 głosów).

Czołówka się nie zmienia: rok temu na pierwszych dwóch miejscach były te same nazwiska. Z pierwszej dziesiątki wypadli: Gene Wolfe (jest 18), Frederik Pohl (12) i Philip K. Dick (20), a awansowali do niej: R. Sheckley (był 13), S. King (46) i U. Le Guin (12).

Część życzeń zrealizowaliśmy już w roku 1989: wydrukowaliśmy opowiadania Sapkowskiego (nr 3), Wolskiego (nr 4); Piekary (nr 7), Oramusa (nr 10) i Sheckleya (nr 2, 4 i 10) oraz powieść Martina (nr 11-12), zamieściliśmy też nieznany dotąd szerokiej publiczności konspekt najlepszej powieści Zajdla „Limes inferior” (nr 7; w czwartą rocznicę śmierci) i szkic scenariusza filmowego Parowskiego (nr 11). Pozostałe prośby będziemy się starali stopniowo spełniać, lecz sami nie wiemy czy we wszystkich przypadkach szybko się to uda. Wiele przecież zależy tu od autorów, a nie od nas. Zwracamy też uwagę, że wszyscy autorzy wymienieni w obu dziesiątkach (a właściwie jedenastkach) gościli już swymi tekstami na naszych łamach.

*

Serdecznie dziękujemy wszystkim Respondentom za wypełnienie naszych ankiet, a także za dołączone do niektórych z nich listy z życzeniami i żądaniami, pochwałami i krytyką. Zapraszamy do kolejnego sondażu.

Krzysztof Szolginia

Wśród biorących udział w V sondażu rozlosowaliśmy gry fantasy „Magia i miecz”, które wysłaliśmy pocztą. Oto wylosowane nazwiska: Artur Dębicki z Gdyni, Beata Gajewska z Gdyni, Wiesław Mrożek z Łapanowa, Andrzej Pałac z Rzeszowa, Mariusz Pokryszka z Poznania, Krzysztof Węgłowski ze Skierniewic, Krzysztof Wolfinger z Wrocławia, Dariusz Zeug z Chorzowa, Rafał Żukowski z Bytomia, Marek Żurowicz z Krakowa.

SONDAŻ VI – „Fantastyka” w roku 1989

Zapraszamy do kolejnej oceny „Fantastyki”. W przypomnieniu sobie wszystkiego, co mogliście Państwo przeczytać **od stycznia do grudnia 1989 r.** pomoże drukowany na str. 63-64 spis treści całego rocznika. Tym razem proponujemy inną formę wyrażenia swoich opinii. Nie wystarczy nam wymienienie samych tytułów i nazwisk autorów poszczególnych materiałów. Nie będziemy nawet podliczać głosów i ustalać kolejności w każdej z kategorii. Rezygnujemy ze statystyki. Zależy nam natomiast bardzo na uzasadnieniu każdego wyboru.

Prosimy więc o napisanie, co się najbardziej podobało i nie podobało w „Fantastyce” w roku 1989. Chodzi nam o ocenę: a) powieści, b) opowiadań zagranicznych, c) opowiadań polskich, d) artykułów krytycznych, e) pozycji z działu „nauka i SF”, f) „galerii”, g) okładek pisma. Nie stawiamy żadnych ograniczeń formalnych. Wymagamy jedynie uzasadnienia (w miarę możliwości zwięzłego), dlaczego coś się podobało lub nie podobało. Można napisać siedem takich minirecenzji, można napisać tylko jedną. Chcielibyśmy jednak, aby dotyczyły one właśnie takich par – materiału najlepszego i najgorszego w poszczególnych kategoriach. Najlepsze wypowiedzi lub ich fragmenty wydrukujemy w „Fantastyce”.

Wszystkich prosimy o podanie wieku, płci, wykształcenia i zawodu, zaś tych, którzy chcą brać udział w losowaniu upominków – o podanie imion, nazwisk i dokładnych adresów.

Wypowiedzi (z wyraźnym dopiskiem na kopercie SONDAŻ VI) prosimy nadsyłać w ciągu miesiąca od ukazania się tego numeru „Fantastyki” w kioskach (nie ryzykujemy podania konkretnej daty, gdyż mimo obietnic drukarni nie mamy stuprocentowej pewności, czy opóźnienia w druku zostaną zlikwidowane).

(KS)

PS. W miarę możliwości Państwa prosimy o maszynopisy. Jeżeli ktoś nie ma dostępu do maszyny do pisania może przysłać rękopis, ale błagamy – czytelny!

Kilkudziesięciu uczestników V sondażu dołączyło do ankiet własne projekty wzorcowego numeru „Fantastyki" zestawionego z materiałów wydrukowanych w roku 1988. I cóż się okazało? Ż a d n a z tych propozycji nie pokrywa się w stu procentach z „numerem przebojów 1988" przedstawionym na poprzedniej stronie! Jeszcze raz więc podkreślam: suche liczby wskazują t y l k o na to, co w każdej z kategorii podobało się większości (prawie nigdy nie była to większość bezwzględna) odpowiadających na pytania ankiety. „Przeciętny Czytelnik" nie istnieje! Ilu Czytelników – tyle r ó ż n y c h opinii. Do obiektywnej z pozoru statystyki dołączamy więc wybór nie pretendujących do jakichkolwiek uogólnień s u b i e k t y w n y c h minirecenzji, którymi nasi respondenci uzasadniali swoje propozycje numeru wzorcowego.

Komentarze Czytelników

Powieści

*...„Trzy serca i trzy lwy" Andersona to – takie mam odczucie – powieść dla nieco młodszych czytelników. Po dwóch odcinkach była moja faworytką, ale zakończenie wydaje mi się słabsze, przesłodzone, a bohater zbawiający świat w pojedynkę jest najbardziej wyświechtaną postacią z fantastycznego kanonu. O „Sakriversum" pisać nie będę, bo nie mam zwyczaju kopać leżącego. Mimo solidnego poziomu pewien niewielki zawód sprawiły mi utwory Nivena i Spinrada, pierwszy bohaterami wziętymi z bardzo tandetnego komiksu, drugi – nierównym poziomem poszczególnych partii tekstu. Na placu boju pozostał więc samotnie King. Niekoniecznie musimy wierzyć w historię, którą opowiada, nie zdarzyło się przecież nic prócz majaczeń trojga obłąkanych, ale trzeba przyznać, że King superprecyzyjnie i przekonywająco snuje swą opowieść. Horror wart przeczytania przez inteligentnego człowieka – to duże osiągnięcie... (**Jerzy Marek Krzemiński** z Olsztyna)*

*...„Trzy serca i trzy lwy" – kiepski początek i bardzo smutny (moim zdaniem) koniec. Ale cały środek genialny... (**Jarosław J. Nerko** z Legionowa)*

*...Prawie wszystko, co zaprezentowaliście w zeszłym roku było udane i ciekawe. Nawet „Pierścień" Nivena. Ale to chyba przesada, żeby poświęcać 5 miesięcy na tylko jedną powieść. Dwa, trzy odcinki są optymalnym rozwiązaniem. Od czasu do czasu można zaprezentować coś krótszego, jak np. wspaniała powieść Spinrada „Jeździec na pochodni"... (**Grzegorz Świetlik** z Pekinu)*

*...Jako żart, tym razem w bardzo złym guście potraktowałem wydrukowanie STRESZCZENIA „Sakriversum" Mielkego. Mogę to porównać tylko do oglądania filmu w trakcie przewijania z podglądem. Niby wiem o co chodzi, ale TO NIE JEST TO! Drukujcie całe powieści albo nie drukujcie ich wcale! (**Dariusz Anach** z Bielska Białej)*

*...Pracowaliście rozważnie. Na czym ta rozwaga polegała? Cudowne rozpoczęcie historyjką tak typową dla działalności Stephena Kinga, potem nagłe przejście do space opery (no, może nie takiej typowej) Larry'ego Nivena i oddanie się „sconanizowanemu" bohaterowi Andersona! Istny majstersztyk... (**Wojciech Bieńkowski** z Pszasnysza)*

Opowiadania

*...Wśród opowiadań zagranicznych wyłączyłem z klasyfikacji teksty, które nie są fantastyką, przynajmniej tak jak ja rozumiem to nieostre pojęcie – opowiadania choinkowe, utwory Bierce'a, Weinera, Robinsona, Neffa oraz „Tubylców z betonowej dżungli" Armera. Paradoksalnie jako grupa teksty te przedstawiają się lepiej niż cała, stricte fantastyczna, reszta. (...) Nie podobały mi się teksty schematyczne, czyli napisane przez Millera, Williamsona, Cliffona, Watsona i Nowaka-Solińskiego. (...) Numer 1 zeszłego roku to „Przez Wszechświat gnam, szubiduba" Armera. Autor nie ma złudzeń, pisze świetnie, gorzko, a puenta (w przeciwieństwie do tekstu Nowaka i paru innych) wynika logicznie z treści... (**J.M. Krzemiński**)*

*...„Pielgrzymka Clifforda M." Lemana jest tak przekonywająca, że wiele moich koleżanek wraz ze mną omal nie uwierzyło w istnienie wampirów. A wszystko to przez zamieszczony na początku naukowy opis tego „zwierza"... (**Ewa Bocheńska** z II kl. LO w Kluczborku)*

*...Zwyciężyły we mnie gusty raczej prymitywne i postawiłem na „Twardego gliniarza" Millera...(**Marcin Wiliński** ze Złocieńca)*

*...Bardzo podoba mi się dobór opowiadań zagranicznych – można tam znaleźć wszystko co ma do zaoferowania literatura rozrywkowa: ciekawe pomysły, wartka akcja, świetne puenty (Sheckley), a także HUMOR! Pod tym względem polscy autorzy prezentują się bardzo mizernie. Czy naprawdę wszyscy piszą tak drętwo i ponuro jakby wynikało to z lektury „Fantastyki"?(**Michał** z Lublina).*

*...Te filozoficzno-psychologiczne opowiastki jakie z maniackim uporem lansujecie pod hasłem „Fantastyka na wysokim poziomie artystycznym" doprowadzają mnie do obłędu. Przecież w „Fantastyce" dla każdego powinno być wszystkiego po trochu, a tymczasem w ciągu roku nie przeczytałem ani jednego opowiadania zagranicznego, którego treść pamiętałbym na drugi dzień. Opowiadania polskie – piątka. Opowiadania zagraniczne – dwója. (**S. Piwowarczyk**)*

*...Jakoś się tak dzieje, że to co podoba się krytykom, to już na pewno nikomu innemu. Czy nie zastanawialiście się dlaczego opowiadania Sapkowskiego się tak podobają? Bo nie silą się na bycie czymś więcej niż są, czyli po prostu bardzo dobrą literaturą komercyjną! Nie uważam wcale tego za uwłaczające, lecz wręcz przeciwnie... (**Piotr Napora** z Wrocławia)*

*...„Droga..." Andrzeja Sapkowskiego to doskonały przykład na to, że polska fantasy nie musi się upodobnić do howardowskiej tandety... (**Marcin Rzeszutkowski** z Warszawy)*

*...Sapkowski spuścił z tonu, „Wir", „Przekleństwo", „Ballada o rycerzu" – pospolite, niemal bezbarwne. Ostatnią rzeczą polskiego pisarza, jaką przeczytałem z przyjemnością była „Cyberiada"... (**Andrzej Damin** z Lublina)*

*...Najlepsze z opowiadań polskich to „Jeruzalem" Janusza Cyrana. Zawsze marzyłem o napisaniu takiego opowiadania! To znaczy, także o tym, by w ogóle ktoś je napisał. Uważam, że bardzo brakuje nam fantastyki teologicznej i bardzo bym chciał widywać jej więcej. Dodam, że jestem praktykującym katolikiem... (**M. Cieślik**)*

Krytyka

*...Teksty w tym dziale zawsze wieją nudą (przegadane, bezpłciowe, nadęte, puste lub „śmieszne") – są zbędne. W takiej formie na pewno! Szkic Kinga „Nocna zmiana" odświeżył atmosferę i pokazał jak można wiele (i przystępnie) powiedzieć o rzeczach miejscami nawet obcych, nieistotnych. (**A. Damin**)*

*...„Fin de siècle w kinie SF?" Jana Plata-Przechlewskiego to doskonały tekst, który czyta się równie dobrze jak opowiadania Sapkowskiego...(**S. Piwowarczyk**)*

*...Dobry był artykuł „Dużo i mało" Jerzego Szyłaka. Odczuwa się brak takich właśnie publikacji krytycznych o komiksach jakie zaprezentowali p. Szyłak i wcześniej M. Parowski... (**Feliks Szymusiak** z Piekielnika)*

*...Jeśli chodzi o recenzje to najlepiej spisują się R.A. Ziemkiewicz i M. Parowski. Wytkną i wyśmieją, ale to w trosce o gatunek... (**Robert Marchelak** z Łukowa)*

Nauka i SF

*...„Czciciele chromosomów" Macieja Kuczyńskiego to ciekawy artykuł. Autor interesująco wprowadził nas w tajniki starożytnej wiedzy. Dowiedzieliśmy się rzeczy niewiarygodnej: już starożytni znali tajemnice biologii, rozmnażania... (**E. Bocheńska**)*

*...Odnośnie „Czcicieli chromosomów": oglądając kafelki z łazienki ludzie roku 3010 pomyślą, że znaleźliśmy fenomen podprzestrzeni i lotów z prędkościami większymi od prędkości światła... (**Tomasz Nieszporski** z Częstochowy)*

*...Najchętniej czytam artykuły Macieja Iłowieckiego, dlatego że przedstawia on wiele ciekawych odkryć w sposób bardzo przystępny i ciekawy... (**Maciej Wyciślik** z Rudy Śląskiej)*

Ilustracje

*...Większość czytelników nie jest znawcami sztuki, a taką galerię jak Stasys czy Woodroffe uważa za bazgraninę. O wiele fajniej popatrzeć na jakieś schludnie i ciekawie narysowane obrazy niż na jakiegoś pajaca stojącego na głowie i trzymającego nogę na stole... (**Zbyszek Próchnicki** z Bełchatowa)*

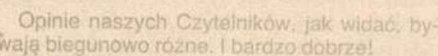
*...Z „galerii" wybrałem Woodroffe'a. Oczywiście podobał mi się też Siudmak, ale on już tyle razy wygrywał... Poza tym Woodroffe prezentuje coś innego, a przecież nawet Wojtek Siudmak może się wreszcie przejeść. Dziękuję też za Stasysa. Uwielbiam go... (**Daria Kwiatkowska** z Zielonej Góry)*

*...Jeśli to coś na okładce numeru 8 to kobieta – przydałoby się troszkę studiów anatomii, jeśli zaś (jak się potem dowiedziałem) elf – to rozpowszechniony topos brzmi: elfy jak świat światem były bezpłciowe. (...) W numerze 4 nareszcie dobra okładka. Rzuca się w oczy. Reklama dźwignią handlu. Zresztą... to Siudmak... (**J.J. Nerko**)*

*...Bardzo dobre były „galerie". Mam tylko jedno zastrzeżenie. Dajcie na razie spokój p. Siudmakowi. Podobają mi się jego rysunki, ale drukowanie go co roku nie ma sensu. Są przecież inni, również dobrzy artyści... (**Piotr Nowiński** z Krakowa)*

...„Piękna, a bestia", a także okładki 7 i 8 – kłania się estetyka kiczu i niezwykła wręcz ubogość wariantów przedstawiania postaci kobiecych w tak zwanych fantastycznych obrazach (tak zwanych, bo fantastyczność jest tu tylko niezbyt istotnym tłem dla atrakcyjnie rozebranych panienek, oczywiście młodych, oczywiście zgrabnych i oczywiście pięknych). Ciekawe, jak bardzo wybrane przez Was dzieła są podobne do siebie. Osobiście wolę już zwyczajne porno, które niczego nie udaje.

*Stasys zaś, niezależnie od obsesyjnego powtarzania motywów, ma coś do pokazania, niepokoi, widać to nawet w niewielkim wyborze pokazanym na Waszych łamach. Tylko czy niezbyt szeroka jest interpretacja fantastyki, w której mieści się nawet Stasys? (**J.M. Krzemiński**)*



Opinie naszych Czytelników, jak widać, bywają biegunowo różne. I bardzo dobrze!

Maciej Iłowiecki

Z tamtej strony lustra

Myszy i ludzie

Urząd Patentowy Stanów Zjednoczonych wydał w tym roku (1989) pierwszy na świecie patent „na zwierzę". Jest to patent na nową generację myszy, których genom (czyli – przypomnę – zestaw genów, dziedziczny „instruktaż") został zmieniony metodami inżynierii genetycznej. Opatentowane myszy zostały tak „przebudowane", iż m u s z ą zachorować na nowotwór, są bezwzględnie skazane na śmiertelną chorobę. Zgłoszono do Urzędu już następny szczep myszy – tym razem nieszczęsne gryzonie mają w sobie elementy ludzkiego układu odpornościowego...

Są to kolejne cuda biotechnologii, przełomowe wydarzenia nauki naszego wieku, wielkie kroki na drodze... właśnie, dokąd prowadzi ta droga?

Zanim podam więcej szczegółów na temat myszy, których nie było w przyrodzie, przypomnę, że Federalny Urząd Patentowy przez wiele lat opierał się przyznawaniu patentów „na istoty żywe", twierdząc, że „żywe organizmy nie mają zdolności patentowej", czyli po prostu nie mogą być uznane za wynalazek człowieka. Kiedy Kongres Stanów Zjednoczonych uchwalił w 1793 r. Ustawę Patentową, ustawodawcy – argumentował Urząd – nie mogli żywić intencji, by prawo patentowe obejmowało istoty żyjące.

Spór zaczął się w 1972 r. Koncern General Electric wystąpił wtedy o patent „na bakterię". Hinduski biolog Ananda Mohan Chakrabarty, pracujący w laboratoriach koncernu, zdołał tak zmienić „normalne" bakterie *Pseudomonas aereoginosa*, że uzyskały one zdolność do rozkładania węglowodorów – to znaczy mogły służyć do usuwania z mórz rozlanej ropy naftowej. Dziś wprawdzie okazało się, że bakterie Chakrabarty'ego nie całkiem nadają się do zastosowań, o jakich wtedy marzono, ale wówczas dla nikogo nie ulegało wątpliwości: oto udało się wreszcie znaleźć sposób na plagę zanieczyszczania mórz! Taki sposób mógłby przynieść ogromne zyski temu, kto by nim dysponował – nic dziwnego, iż General Electric rozpoczął wojnę patentową, która trwała osiem lat.

W 1977 r. o kolejny patent „na bakterię" wystąpił koncern farmaceutyczny Upjohn. Chodziło tym razem o szczep drobnoustrojów *Streptomyces vellosus*, który dzięki odpowiednio czystej hodowli uzyskał zdolność wytwarzania antybiotyku Lyncomycin. Urząd Patentowy i tym razem nie zgodził się na wydanie patentu. Nie możemy stworzyć tak niebezpiecznego precedensu – mówili prawnicy Urzędu – następne może być żądanie patentu na metody prokreacji „in vitro" ludzi (czyli, wedle języka gazet, na „dzieci z probówki"). Czyż, nawiasem mówiąc, historia ta nie jest dobrym wskaźnikiem szybkości zmian, jakim podlegają nasze wyobrażenia na temat zasad moralnych? Kilkanaście lat temu niemoralny wydawał się sam pomysł patentowania jakichś manipulacji z ludzkimi zarodkami – a dziś już otrzymuje się takie patenty bez trudu! Między innymi patent uzyskała właśnie jedna z metod pozaustrojowego zapładniania ludzkich komórek jajowych (czyli produkowania „dzieci z probówki"), a nawet metoda przenoszenia tak uzyskanych embrionów do łona matek zastępczych. Prawnicy Urzędu Patentowego mieli rację, mówiąc o precedensie...

Wojna patentowa przetoczyła się przez różne instancje, w końcu Federalny Sąd Apelacyjny stwierdził (niejednomyślnie), że prawo nie powinno ograniczać rozwoju biotechnologii, której perspektywy „są użyteczne i fascynujące". No dobrze – zapytam w tym miejscu – a jeśli biotechnologia stworzy możliwość genetycznej zmiany embrionu ludzkiego (jest to właściwie możliwość już się rodząca, *in statu nascendi*, jakby powiedzieli ci, co znają łacinę) – czy także nie nałożymy na taką możliwość żadnych ograniczeń? Przypuśćmy, że znajdzie się szaleniec, który – dla dobra nauki oczywiście – zechce zaszczepić nie myszy, a embrionowi ludzkiemu gen rakotwórczy, by móc badać wpływ tego genu na organizm człowieka...

Eksperymenty na ludziach podlegają odpowiednim ograniczeniom prawnym – odpowiedzą mi prawnicy, a w „wojnie patentowej" chodziło o biotechnologiczne zmiany mikroorganizmów. No dobrze – odpowiem – wobec tego nie twierdźcie, iż prawo nie może nakładać ograniczeń na rozwój jakiejś nauki!

Dyskusję można by toczyć długo, ale wracamy do faktów. Sąd przypomniał, iż Ustawa z 1793 r. wśród rzeczy, nadających się do opatentowania wymienia – obok „nowych i pożytecznych procesów, maszyn i technologii" – także „nową kompozycję materii". To ostatnie sformułowanie jest na tyle ogólne – stwierdził sąd – że mieści w sobie także „nową formę życia". Zresztą Urząd Patentowy wydał już ponad sto lat temu patent na „nową formę życia", patentując w USA w 1873 r. otrzymany przez Ludwika Pasteura nowy szczep drożdży, wolny od bakterii, czyli jałowy.

Firma Upjohn patent otrzymała, ale dotyczył on nie tyle „nowej formy życia", ile technologii (procesu) produkcji szczepu bakterii o nowych właściwościach (podobnie patent dla Pasteura dotyczył technologii produkcji jałowych drożdży winnych). Zatem ani Pasteur, ani laboratoria Upjohna nie stworzyły nowego organizmu. Bakteria *Streptomyces vellosus* występuje w naturze, nie występuje w naturze tylko czysta jej kultura (hodowla).

Patent dla firmy Upjohn nie był „patentem na życie" i wszyscy odetchnęli z ulgą, zaś Urząd Patentowy nadal opierał się roszczeniom General Electric Comp. wobec bakterii pożerającej ropę, ponieważ w tym wypadku był to już organizm genetycznie zmieniony, a więc jakby wyraźniej przedstawiał nową formę życia.

Wreszcie w 1980 r. (w osiem lat po rozpętaniu „wojny patentowej") sprawa została w świetle prawa amerykańskiego rozstrzygnięta ostatecznie. Sąd Najwyższy USA stwierdził jednoznacznie (ale niejednogłośnie: pięcioma głosami przeciw czterem!), iż uczeni mogą patentować nowe formy życia.

Ówczesny prezes Sądu Warren Burger uznał, iż ważne jest nie to, czy coś jest żywe czy nie, a to, czy jest produktem natury, czy ludzkiej twórczości. Sędzia William J. Brennan w imieniu głosujących przeciw przypomniał, że Kongres uchwalając Ustawę Patentową w 1793 r. wyraźnie działał w wierze, iż ustawa ta nie dotyczy życia, natomiast decyzja Sądu z 1980 r. rozciąga system patentowy na organizmy żyjące.

Ale decyzję podjęto, żywy organizm może odtąd być uznawany za wynalazek. Żeby zakończyć te nieco formalistyczne rozważania, zajrzyjmy jeszcze do Ilustrowanego Słownika Technicznego (WNT 1978). Pod hasłem „wynalazek" znajdziemy tam: „nowe rozwiązanie określonego zagadnienia technicznego, na które może być udzielony patent". W świetle tej definicji w ogóle nie ma problemu, ponieważ wszystko, co otrzymało patent jest wynalazkiem, a w 1980 r. opatentowano żyjącą istotę... Oczywiście czepiam się złośliwie, choć przy okazji muszę stwierdzić, że tego rodzaju błędy logiczne i oparte na nich wnioskowania spotykamy w życiu częściej, niż się wydaje i rzadko potrafimy je rozpoznać.

Cała opisywana sprawa nie miałaby jednak zbyt wielkiego znaczenia, gdyby chodziło tylko o logikę postępowania urzędów czy poprawność definicji wynalazku i zdolność patentową żywych organizmów. Chodzi przecież o coś więcej – o wielki problem etyczny, który się za tym wszystkim kryje. Jest to problem, który pojawił się dopiero niedawno w związku z rozwojem nauki i dałoby się go sformułować tak: czy w ogóle można wprowadzać do biosfery nowe formy życia, organizmy „przebudowane" w laboratoriach genetycznych? Kwestiami już mniejszej wagi są pytania, czy godzi się chronić patentami istoty żyjące razem z nami na Ziemi i czy istnieje granica takiego patentowania?

Spróbujmy zastanowić się nad tymi pytaniami. Najpierw musimy zdać sobie sprawę, że cokolwiek nie powiedzieć na ten temat, sprawa została przesądzona w praktyce, ponieważ zmienione genetycznie formy życia już pojawiły się na Ziemi. Niektóre zostały opatentowane, a granicę także ustalono: jest nią człowiek. Swoją drogą, to jednak pocieszające, że Federalny Urząd Patentowy już w 1987 r. ustalił, że z listy „przedmiotów mogących podlegać opatentowaniu" wyklucza się ludzi...

Fakt przecież, że coś już się stało, nie oznacza, iż nie powinno to podlegać ocenie. Niewątpliwie nie da się zatrzymać rozwoju biotechnologii, a w dodatku zatrzymanie byłoby wielkim błędem, ponieważ pozbawiłoby ludzi możliwości walki z chorobami, starością, głodem, zatruciem środowiska, marnotrawstwem surowców – chyba wystarczy? Biotechnologia jest przyszłością naszej cywilizacji i na ten temat nie ma co dyskutować. Sprawa polega na tym, że nadal nie wiemy i nie możemy się dowiedzieć „z góry", czy w końcu którąś ze zmienionych genetycznie istot nie rozpocznie jakiejś „lawiny", niszczącej życie razem z nami. Naturalnie, dziś stosuje się wszelkie możliwe zabezpieczenia i jest „praktycznie niemożliwe", by coś – uznanego za niebezpieczne, mogło wydostać się z laboratoriów na zewnątrz.

Istnieją procedury ochronne, szczegółowe przepisy, nad badaniami czuwają powołane do tego instytucje i wydaje się, że bezpieczeństwo jest zapewnione.

Niepokoje jednak nie wynikają nawet z powszechnego odczucia, że nie ma takich zabezpieczeń, które mogłyby ostatecznie i bez wyjątku wyeliminować wypadek (takie odczucia dobrze oddaje znane powiedzenie, iż każda zabezpieczona broń musi kiedyś wypalić...).

Niepokój wynika z czegoś poważniejszego – z tego mianowicie, że nasze techniczne, naukowe możliwości przekształcania życia znacznie wyprzedzają naszą wiedzę o życiu. Mówiąc wprost, nikt nie jest w stanie przewidzieć wszystkich skutków wszystkich manipulacji genetycznych i nie można wykluczyć, że coś, co wydaje się nie tylko całkowicie bezpieczne, ale jest także niezmiernie użyteczne dla rozwiązania któregoś z naszych wielkich kłopotów, dla zniweczenia konkretnego ludzkiego nieszczęścia – otóż, że właśnie akurat takie „coś" w sposób wymykający się kontroli nie zakłóci równowagi w biosferze! Jest to chyba mało prawdopodobne, ale jednak zdarzyć się może. Zresztą, cóż można powiedzieć o prawdopodobieństwie w takich sprawach?

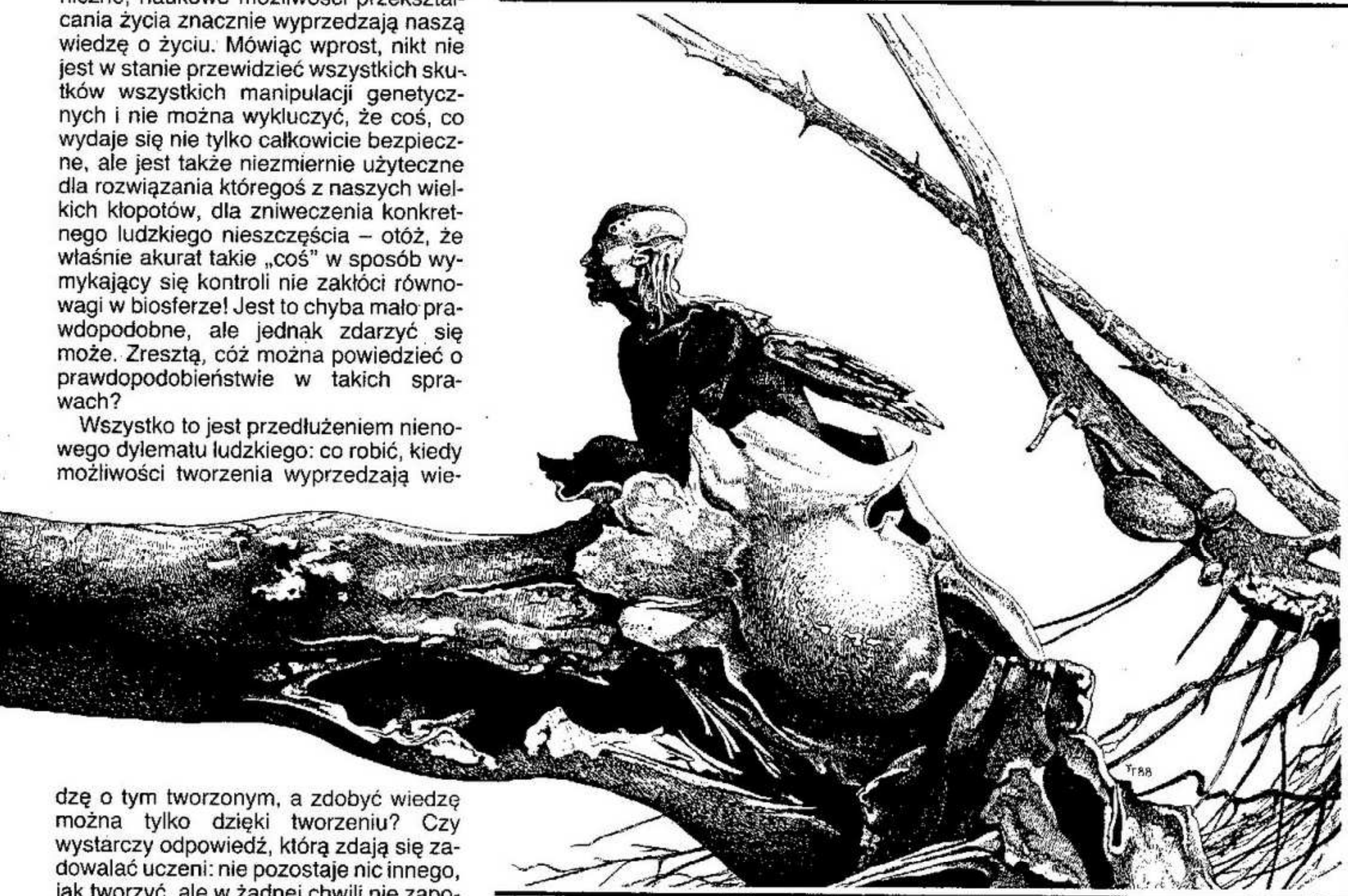
Wszystko to jest przedłużeniem nienowego dylematu ludzkiego: co robić, kiedy możliwości tworzenia wyprzedzają wiedzę o tym tworzonym, a zdobyć wiedzę można tylko dzięki tworzeniu? Czy wystarczy odpowiedź, którą zdają się zadowalać uczeni: nie pozostaje nic innego, jak tworzyć, ale w żadnej chwili nie zapominając o możliwych tego konsekwencjach?

szy, zaprogramowane na nowotwór? Ich los jest smutny, ale nieunikniony, bo los ten został przesądzony przez wyższe racje – nie pierwszy to ciężar, który obciąży sumienia ludzi wobec zwierząt.

Drugim wspaniałym osiągnięciem są myszy z ludzkim układem immunologicznym. Użyto tu szczepu naturalnych mutantów mysich, mających wrodzony ostry niedobór immunologiczny. Są to mutanty, których układ odpornościowy w ogóle nie działa i gdyby nie przebywały w warunkach całkowicie jałowych, musiałyby natychmiast zginąć. Czasami takie mutanty zdarzają się wśród ludzi – może niektórzy Czytelnicy pamiętają historię Davida z Teksasu, który zdołał dożyć dwunastu lat w skafandrze, ofiarowanym mu przez NASA i oddzielającym go całkowicie od ziemskiej biosfery.

Pomysł, by mutantom mysim, pozbawionym własnego układu odporności wszczepić elementy układu ludzkiego był pomysłem genialnym, ale – zdawało się – niewykonalnym. I nagle, prawie jednocześnie, dwa zespoły uczonych dokonały tego dwoma różnymi metodami. Jeden zespół pracuje w Stanford, drugi w La Jolla (oba ośrodki, jak wiadomo, w Kalifornii). Nie trzeba wyjaśniać szczegółów, by pojąć, że uczeni otrzymali kolejny, idealny model do badania ludzkiego układu immunologicznego. Na myszach dozwolone są wszelkie eksperymenty, niedozwolone na ludziach, ale cóż z tego, kiedy organizm mysi reagował zawsze jak mysi, a nie jak ludzki. Teraz ominięto tę zasadniczą przeszkodę: w pewnym zakresie, bardzo istotnym, organizm myszy będzie reagował jak organizm ludzki. Można będzie badać zachowanie ludzkich komórek odpornościowych wobec ataku nowotworu, wszelkich chorób wirusowych (a więc i AIDS!) i wielu innych. Można będzie testować terapie, których nie można było sprawdzać na ludziach. Nikt nie ma już wątpliwości, że zwierzę z ludzkim układem odpornościowym jest jednym z największych sukcesów nauki tego stulecia. Być może jednak najbardziej zdumiewające jest to, że – wedle słów Donalda Mosiera (zespół Instytutu Biologii Lekarskiej w La Jolla), współtwórcy sukcesu – ludzki układ immunologiczny, wszczepiony myszy, działa bez zmian – właśnie jak układ ludzki! Nie mogę powstrzymać się od pytania: jakie jeszcze układy i narządy będzie można zmusić do działania w obcych im organizmach, jakie jeszcze pojawią się żywe konstrukcje, złożone z różnych istot – tak różnych nawet, jak ludzie i myszy? I czy skoro ludzkie systemy życiowe „działają" w organizmach zwierząt, możliwa byłaby sytuacja odwrotna? I czy byłaby dopuszczalna? Trudno nie postawić takich pytań, skoro wiadomo już, że sytuacje, których takie pytania dotyczą, są zupełnie możliwe, są to rzeczy po prostu „do zrobienia"...

Na razie zespoły z La Jolla i ze Stanfordu wystąpiły o patent dla swoich „ludzkich" myszy


Tomasz Tomaszewski

*

Wróćmy jeszcze na chwilę do myszy, które sprowokowały moje rozważania. Mysz opatentowana w 1989 r. wyrosła z genetycznie zmienionego embrionu mysiego, a zmiana polegała na tym, że tylko jeden gen został zmodyfikowany. Jest to tzw. onkogen – gen rakotwórczy, stanowiący część naturalnego dziedzictwa; takie geny występują u wielu wyższych organizmów (także u ludzi), ale na szczęście rzadko spełniają swe złowrogie przeznaczenie. Otóż onkogen nieszczęśliwej myszy został tak uaktywniony, że musi wywołać nowotwór – i wobec tego szczep takich „rakowych myszy" stanowi doskonały, wręcz idealny obiekt do badań nad przyczynami nowotworów, nad rolą onkogenów i rolą rakotwórczych czynników zewnętrznych. Być może, uda się wreszcie odkryć, co w końcu jest „zapłonem", wywołującym procesy nowotworowe i dlaczego naturalne onkogeny u olbrzymiej większości organizmów milczą – ale czasem, rzadko, tylko u niektórych uaktywniają się...

Twórcy szczepu „rakowych myszy" Philip Leder i Timothy Stuart z Uniwersytetu Harvarda w Bostonie mogą marzyć o Noblu, a ich myszy przyczynią się na pewno do zwalczenia jednej z najgorszych chorób wszystkich czasów. A same my-

*

Słynny biolog Erwin Chargaff z Uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku pytał kiedyś w liście do czasopisma „Science": *Czy mamy prawo przeciwdziałać w sposób nieodwracalny mądrości ewolucyjnej milionów lat (..)?* Wtórował mu nie mniej sławny Paul Berg z Uniwersytetu Stanforda: *Teraz i w ciągu następnych lat będziemy robili rzeczy, które jeszcze przed paroma laty uważaliśmy za nieprawdopodobne. W zasadzie geny pochodzące z jakiegokolwiek żywego organizmu można wprowadzić do innego, zupełnie z nim nie spokrewnionego. Czas obrachunku za te eksperymenty może równie dobrze nastąpić i dziś.*

Może jednak istotą ludzkiej natury jest poznawanie i tworzenie za wszelką cenę, nawet za cenę lęku przed „czasem obrachunku"?

Sztuczni ludzie i filmy science fiction

J. P. Telotte

Istoty ludzkie wyróżniają się ze środowiska zwierzęcego tym, że człowiek wprowadza do swego świata zmiany, przy czym samo zjawisko życia pozostaje poza obszarem tych zmian. Niemniej od pewnego czasu wielu naukowców pracuje nad problemem sztucznego życia. Jeżeli ich starania zostaną uwieńczone powodzeniem, przetniemy ostatnie więzy, dzięki którym możemy uważać się za dzieci natury... Nie ma żadnego powodu, żeby wątpić, iż jest to osiągalne, podobnie jak nietrudno nam dziś uwierzyć, że jesteśmy w stanie zniszczyć całe życie na Ziemi.

Hannah Arendt

Wiem, że jestem człowiekiem – twierdzi bohater filmu Johna Carpentera **„The Thing" (Przybysz)**, podczas gdy zapamiętale szuka między swymi towarzyszami obcego, który stanowi zagrożenie dla jego tożsamości. Jest to sytuacja, która stale pojawia się w obrazach gatunku science fiction. Co pewien czas, ostatnio coraz częściej, interesuje nas problem zdefiniowania natury człowieka i zadań jakie stoją przed całą ludzkością.

Głównym tematem wielu filmów staje się kwestia powielania ludzkiego ciała i stworzenia sztucznego człowieka. Są to zarówno współczesne wersje starych dzieł (np. **„Invasion of Body Snatchers" – Inwazja porywaczy ciał**, i **„The Thing" – Przybysz**) jak i filmy nowe, np. **„Blade Runner" (Łowca Robotów), „Star Trek" (Gwiezdna Wędrówka)**. Szczególnie prowokujący dla twórców kina zdaje się być proces klonowania. Temat ten pojawiał się od początku istnienia science fiction. Liczne ekranizacje Frankensteina, Dr. Jekylla i Mr. Hyde'a stanowiły wzór dla rozwijającej się tendencji. Bardzo charakterystyczna jest przy tym pomyłka przypisująca nazwisko Frankensteina zarówno potworowi, jak i jego twórcy.

Temat sztucznych ludzi wykorzystany został już w **„Metropolis"** Fritza Langa, w filmie rozpoczynającym niejako gatunek science fiction w kinie. Osią narracji jest tu stworzenie niszczycielskiego androida, będącego kopią bohaterki Marii (co pozwala na szerokie zastosowanie trików technicznych, jakże często uważanych za istotę filmów SF). Android zagraża rozpętaniem niebezpiecznych pragnień. Sztuczna Maria budzi pożądanie i jest potencjalnie destrukcyjna, toteż doskonale obrazuje groźby wynikające z możliwości sztucznego powielania.

Punktem zwrotnym w twórczości filmowej podejmującej temat „sztucznych ludzi" okazał się obraz **„Inwazja porywaczy ciał"**. Obca forma życia była tu stroną, która zamierzała pozbawić człowieka jego własnej prawdziwej istoty poprzez stworzenie repliki ciała i odebranie zdolności emocjonalnych. Podczas gdy poprzednie filmy ukazywały możliwości powstania takiej kopii jako produktu ludzkiej aberracji, **„Inwazja"** pokazała atrakcyjność samego procesu. Bezkrwawe zwycięstwo kopii głoszą ci, którzy zostali wciągnięci do społeczeństwa nie znającego emocji. Jest to sposób na ukazanie istniejącej w człowieku potrzeby bezpieczeństwa. Jak zauważa jeden z bohaterów, podobna transformacja pozwala na rodzaj eskapizmu, ucieczki przed problemami współczesnego świata.

Don Siegel, reżyser pierwszej wersji **„Inwazji..."** przyznaje, że spróbował pokazać reakcję przerażonego człowieka na wzrastającą komplikację nowoczesnego świata. Za najbardziej przekonywającego rzecznika „innych" wybrał zarażonego obcością psychiatrę, który z całym przekonaniem twierdzi, że lepiej być **„obcym"**, niż delikatnym, zastraszonym i pełnym kompleksów człowiekiem. Jego argumenty są nie do odrzucenia. Jak cudownie byłoby być krową – żucie trawy to jedyne co trzeba by robić. Żadnych niepokojów egzystencjalnych, lęku przed śmiercią czy bólem.

W ten właśnie sposób temat sztucznego życia pojawiał się na ekranach kin od czasu **„Inwazji..."**. Obraz **„The Stepford Wives" (Żony ze Stepford)** pokazuje zastępowanie kobiet z małego miasteczka pozbawionymi umysłów i uczuć androidami (na pozór idealnymi żonami), ukazując z brutalną szczerością, że dla większości mężów jest to spełnienie ich marzeń. Wspominany temat wraca w kilku następnych filmach. Wszystkie podkreślają fascynację człowieka nauką, ale sugerują zarazem, że pęd ludzi ku sztuczności, to jest ku analizowaniu, zrozumieniu i syntetyzowaniu świata, wydaje się grozić zredukowaniem kreowania do kuglarskiej sztuczki.

Paradoks ów rzuca nieco światła na subtelne rozróżnienie, które występuje w filmach science fiction podczas opisywania stosunku człowieka do nauki. Często występuje w nich zestawienie dobrej i złej nauki, białej i czarnej magii, z których jedna służy człowiekowi, druga zagraża jego pozycji w świecie. Przypomnijmy nader charakterystyczny podtytuł powieści **„Frankenstein": „Nowoczesny Prometeusz"**. Ale to Faust, zafascynowany nauką starał się ją posiąść, nie Prometeusz pragnący obdarzyć dobrodziejstwami ludzkość.

Uporczywe powroty do tego tematu świadczą o aktualności problemu fascynacji nauką, która przystosowując wszystko do człowieczego „ja", prowadzi do zmiany tegoż „ja". Kartezjański dualizm między umysłem a ciałem, myśleniem a czuciem wprowadza podział na świat umysłu i świat zewnętrzny. Wytwarzanie innych ciał, innych form owego „ja" pogłębia rozdział między umysłem a ciałem i przewagę pierwszego nad drugim. Rozwijając słowa Hannah Arendt, użyte jako motto, chciałbym podkreślić, że pęd do wiedzy i kontroli nad światem staje się ślepą żądzą, ponieważ nieświadomie zwraca jaźń przeciwko sobie samej, mimo pozornego zwiększania jej wartości dzięki umiejętności powielania. Wspomniany paradoks i niebezpieczeństwa wynikające z ingerowania w proces tworzenia życia dają się zauważyć w konstrukcji takich filmów, jak **„Alien" (Obcy)** – Ridleya Scotta.

Potwór, pasożytujący na człowieku, odporny na jego formy obrony, wydaje się być metaforą sytuacji faustowskiej. Kompania sponsorująca lot zleciła załodze zebranie informacji o różnych odmianach życia. Na straży tego rozkazu stoi android, kopia człowieka tak doskonała, że wprowadza w błąd nawet swoich kolegów z załogi. Android został zaprogramowany w ten sposób ażeby, bez względu na konsekwencje, zapewnić powodzenie misji. Morderczy atak „obcego" przyspiesza jego działanie. W najlepszej – pod względem dramaturgicznym – scenie filmu, stworzenie, które znalazło żywiciela w osobie jednego z członków załogi, wyskakuje nagle z jego klatki piersiowej i zabija go. Uosabia tym samym – w sposób metaforyczny – koszmarną możliwość skutku powielenia procesu, dzięki któremu stwór został powołany do życia.

W rozważaniach nad dążeniem człowieka do kreacji własnych kopii, René Girard kojarzy chęć powielenia z instynktem gwałtu. Zauważa, że „nie istnieje taka kopia, która przy dokładnym zbadaniu nie okazałaby się potworem".

W nowej wersji **„Przybysza"** ze szczególną mocą zaakcentowano problem, jaki sprawia ocena wizualna repliki. Kiedy grupa naukowców popełnia omyłkę, powodując przypadkowe rozmrożenie obcego stworzenia, które przetrwało tysiące lat w polarnym lodzie, uwalnia nie tylko potwora, zagrażającego swoim odkrywcom. Jak zauważa jeden z bohaterów, istota ta „chce się schować wewnątrz imitacji" i posiada zdolność „zmiany kształtu swoich komórek" na wzór jakiegokolwiek innego organizmu żyjącego w danym środowisku. Zdolność doskonałego naśladownictwa jest nie tylko mechanizmem obronnym, jak zmiana koloru skóry u kameleona, ale stanowi też realne niebezpieczeństwo dla człowieka, podkreślone makabrycznymi scenami transformacji, za które film był niejednokrotnie krytykowany. Jak się wydaje, realizatorzy **„Przybysza"** zostali zainspirowani sceną z filmu **„Obcy"**, w której stwór wydobywa się z klatki piersiowej człowieka – jest to nader istotna scena wskazująca na powiązanie obcego z człowiekiem.

Ponieważ człowiek opętany jest chęcią absolutnej pewności lub wiedzy (przynajmniej tak zakłada się w utworach science fiction) może odczuwać niepokój połączony z przerażeniem w obliczu każdego zjawiska, które opiera się jego próbom zdefiniowania. A kiedy zagadkę stanowi własna replika, lęk może mieć głębsze znaczenie. Człowiek nie jest w stanie przeprowadzić pewnych testów – jak określił to jeden z bohaterów – które mogłyby wykryć obecność obcych pośród

ludzi. Dążenie do ustanowienia prawdy i zbadania widzialnego świata zmienia się w podejrzliwość wobec własnego społeczeństwa, w niepokój co do statusu własnej tożsamości. Jedna z postaci stawia pytanie: „jak możemy wiedzieć, kto jest człowiekiem?" Po wizycie obcych „nikt nikomu nie ufa". Pierwiastek obcości tkwi w każdym człowieku, gotowy do ujawnienia się w pewnych okolicznościach.

Konfrontacja kończąca film, kiedy McReady i Murzyn, jedyni z całej grupy, którym udało się przeżyć, patrzą na siebie podejrzliwie, przekonani, że właśnie ten drugi jest kopią stworzoną przez obcych, stanowi przejrzystą aluzję do braku zaufania i strachu charakterystycznego dla współczesnego społeczeństwa. Proces stwarzania ludzkich kopii groził, że wszyscy staną się tacy sami, będąc replikami pojedynczego najeźdźcy. W swoim tożsamym strachu McReady i jego towarzysz spełniają tę groźbę. Co więcej u obu zagrożenie powoduje zwrot w kierunku prywatnego świata jaźni, ostatniego stabilnego, w miarę pewnego obszaru, któremu (jak sądzą) mogą jeszcze zaufać. W konsekwencji, pod koniec filmu, nie mamy pewności, czy któryś z ocalonych nie jest jedynie kopią człowieka, czyhającą na stosowny moment, żeby rozszerzyć swoje panowanie na świat zewnętrzny. Film pozostawia otwartym pytanie o przyszłość ludzkiego życia na Ziemi.

„Blade Runner" dramatyzuje logiczne konsekwencje zasad ewolucji. Sugeruje, że rozwój ludzkiego rozumu stanowi odskocznię dla inżynierii genetycznej, która stworzyła potencjał dla ewolucji kontrolowanej naukowo: zbudowania i zaprogramowania doskonałej repliki człowieka obdarzonej niezwykłą urodą, siłą lub inteligencją służącej swoim twórcom – ludziom. W wyniku tego osobliwego kroku coś jednak zostało stracone. Jak wskazuje Loren Eisely: „Podczas gdy człowiek stawał się w rozumieniu naukowym – naturalny... istota jego „naturalności" zaczęła wymykać mu się z rąk. Być może, jego ludzka wolność postawiła go przed trudnym wyborem określenia, jaka powinna być jego natura".

Problematyczna istota natury ludzkiej jest właśnie tym zagadnieniem, na które **„Blade Runner"** stara się rzucić nieco światła. Futurystyczne środowisko zostaje opanowane przez ciemność i deszcz, posępne jak w obrazach z gatunku filmu czarnego, konwencji, z której **„Blade Runner"** się wywodzi. W tej atmosferze odbija się jak w lustrze wewnętrzna ciemność, którą napiętnowane są postacie. W świecie przyszłości człowiek może projektować i reprodukować wszystko co żyje; widzimy zatem mechaniczne ptaki, węże, psy a zwłaszcza ludzi (replikantów), stworzonych przez naukę w celu spełnienia różnych zachcianek człowieka, uwolnienia od pracy fizycznej, stresów, niebezpieczeństw. Ale mimo wielu dobrodziejstw nikt nie wydaje się być prawdziwie szczęśliwy. Prawdę mówiąc, ci, którzy mogą to zrobić, chętnie opuszczają ów świat przenosząc się do kolonii położonych na odległych planetach, będących kopiami Ziemi, uznanymi za coś lepszego od swego oryginału. Mamy więc wizję człowieka pozostającego nie tylko w niezgodzie z samym sobą, ale i z własną historią. Bunt ludzkich replik jest zapowiedzią kolejnych kłopotów.

Typowe dla gatunku SF jest to, że wykreowane istoty okazują się potworami, mimo że ich stworzenie umożliwiła nauka. Miejsce Frankensteina zajęło dwóch genetyków: dr Tyrell – specjalista od projektowania replikantów i J. F. Sebastian – inżynier genetyk. Obaj – natchnieni duchem prometeizmu – doprowadzają marzenie o skopiowaniu człowieka do granic ekstremalnych, stwarzając androidów zdolnych do wykonania każdego zadania i każdego szaleństwa. Tyrell zamierza budować coraz doskonalsze kopie, które poddane specjalnym testom będą reagować dokładnie tak, jak człowiek. Jego twór, dziewczyna imieniem Rachael, o której mówi „moje dziecko", jest już właściwie człowiekiem. Sebastian zapełnił z kolei swoje samotne życie „przyjaciółmi": małymi, niedoskonałymi, przedwcześnie zniedołężniałymi postaciami – różnymi odbiciami własnego niedoskonałego ciała. Replikanci Tyrella odzwierciedlają marzenia bohatera o doskonałości, pięknie, przekraczaniu mechanicznych ograniczeń; twory Sebastiana odbijają jego ułomności cielesne, ale są także wizerunkiem psychiki kreatora. Obaj naukowcy obdarzyli androidy pamięcią o życiu, które nigdy nie miało miejsca. Dostarczyli im zdjęć krewnych i przyjaciół, przekonali że są ludźmi. Udało się im to aż za dobrze, ponieważ replikanci zapragnęli prowadzić normalne życie (podobnie jak w filmach **„Frankenstein"**, **„Inwazja porywaczy ciał"**, **„Przybysz"**), stając w opozycji do całego gatunku ludzkiego.

Udając, że są grupą kolonistów powracającą na Ziemię, po odkryciu swojej prawdziwej natury zaczynają zabijać ludzi i co łatwo było przewidzieć, interesują się swoimi konstruktorami. Chcą odkryć sekret własnego losu i sposobu na jego przedłużenie. W poszukiwaniu lekarstwa na śmierć zawiera się motyw prometejski. Ale w morderstwach znaczących ślad ich odkryć widzimy wyraźny znak gwałtu, który – jak zauważył René Girard – jest nieodłączną cechą procesów kopiowania.

Dwuznaczność związana z procesem dublowania polega także i na tym, że nasza sympatia nie jest zogniskowana na jednej postaci. Przesuwa się od samotnego łowcy Ricka Deckarda do replikantów, na których poluje bohater. Nader szybko staje się bowiem jasne, że zarówno człowiek, jak i android dzielą ten sam los. Podobnie jak Sebastian, replikanci obawiają się przedwczesnego zniedołężnienia i śmierci, nadchodzącej po czterech latach służby. Androidy muszą stawić czoła tej samej niepokojącej wiedzy, z jaką zmaga się człowiek. Deckard, mając dość pracy płatnego mordercy zaczyna zastanawiać się nad naturą swoich ofiar i walczy z wątpliwościami dotyczącymi jego własnej natury. „Replikanci nie posiadają uczuć, ale podobnie jest z polującymi na nich" – czyli z takimi jak on. Jest to lustrzane odbicie problemu powstałego w wyniku kopiowania człowieka: ludzie i androidy widzą siebie w obrazie innych.

Rachael, która jest niemal doskonałym tworem Tyrella, staje się jaskrawym przykładem zatarcia różnic między człowiekiem a jego kopią. Deckard daje się początkowo oszukać i wierzy, że dziewczyna jest człowiekiem. Co więcej, bohaterka wydaje mu się atrakcyjna i nader pociągająca, a fascynacja ta nie mija, gdy po zastosowaniu testu Voighta-Kampffa na określenie empatii okazuje się, że jest replikantką. Wyniki tego testu zdają się nie mieć żadnego znaczenia w świetle „manifestu człowieczeństwa" Rachael: jej fascynacji muzyką, potrzeby uczucia, zainteresowania innymi ludźmi i nieukrywanej miłości do Deckarda.

Odpowiedź Rachael na wyniki testu: „Czy kiedykolwiek zastosowałeś go wobec siebie?" wprowadza Deckarda w zmieszanie i każe zastanowić się nad samym sobą, naturą płatnego mordercy. Rozkaz zabicia Rachael i pozostałych replikantów sprawia, że Deckard zaczyna kwestionować człowieczeństwo tych, którzy stwarzają i niszczą sztuczne życie. Odmawia wykonania rozkazu i ucieka ze swą ukochaną, żeby spędzić z nią tyle życia, ile jej jeszcze zostało. Los prowadzi ich do innego świata, które stanowi królestwo światła, zieleni i życia – jest kontrastem wobec ciemnego, deszczowego pejzażu miejskiego, z jakiego oboje się wywodzą. Deckard bierze do serca ostrzeżenie Arendt i porzuca przekształcony przez ludzi świat na rzecz naturalnego środowiska, w którym człowiek może odzyskać wiarę we własne siły.

Jak sugeruje wymowa filmu, fascynacja procesem kopiowania może stać się dominującą siłą w życiu człowieka. Ale ten ostatni niewiele będzie się różnił od swych kopii. Potencjalnie będzie mniej ludzki niż obrazy, które stworzył na własne podobieństwo.

Z drugiej strony istnienie owych obrazów może spowodować wzrost naszej samoświadomości. Replikant jest przecież formą archetypalnego sobowtóra. Podczas walki Deckarda z androidem Royem Bathy, płatny morderca zawisa w powietrzu. Tylko pomoc replikanta, który wciąga bohatera na dach, ratuje go przed upadkiem i niechybną śmiercią. Usiłując nakreślić mapę narracji fantastycznej, Tzvetan Todorow podkreśla szczególne napięcie występujące przy ujawnianiu fundamentalnych doświadczeń widzów i czytelników. Zarówno oni jak i bohater „muszą zadecydować", czy dane zdarzenie lub zjawisko należy do świata rzeczywistego czy wymyślonego, to znaczy ocenić, czy jest realne czy nie". Rezultatem wspomnianej nieokreśloności staje się doświadczanie „pewnej wątpliwości", kiedy staramy się umiejscowić opisywane wydarzenie nie posiadając wiedzy bohaterów danej historii. W momencie wahania powinniśmy dostrzec replikę w nas samych i zdać sobie sprawę, że nasza niepewność wywodzi się z zachwiania dotychczasowego systemu wartości. Zjawisko to jest pożyteczne ponieważ skłania do autorefleksji i może stać się powodem subtelnego przeżycia filozoficznego.

W opisie tworzenia sztucznych ludzi, filmy science fiction czerpią z podstawowych wzorów fantastyki. W centrum ich zainteresowań znajduje się jakaś tajemnica, niewiadoma. Mówiąc o losie człowieka sugerują, że istnieje zagadka, której część stanowimy my sami. Fakt, że kopie mają nasze kształty, przypomina o tym jak mało nauka wie o istocie naszej natury. A przecież mamy już spore osiągnięcia w dziedzinie inżynierii genetycznej, dysponujemy potencjałem który filmy science fiction tak chętnie opisują. Toteż zasadniczą ideą wspomnianych obrazów jest przeświadczenie, że ludzie mogą utożsamić się z produkowanymi przez siebie istotami.

Przełożyła **Dorota Malinowska**.

J. P. TELOTTE

Zajmuje się od wielu lat krytyką filmową gatunku SF. Jest profesorem w Georgia Institute of Technology, prowadzi zajęcia z krytyki filmowej. Wiele publikuje. Współredaguje ukazujący się trzy razy do roku „Post Script: Essays in Film and the Humanities", wydawany przez Jacksonville University, George Institute of Technology. Periodyk ten zamieszcza materiały dotyczące związków filmu z literaturą, jego historii, języka, muzyki oraz opisu filmu jako sztuki wizualnej.

J. P. Telotte publikuje swoje artykuły również w innych czasopismach poświęconych X Muzie. Esej przedrukowany na łamach „Fantastyki" ukazał się w cenionym amerykańskim periodyku „Film Quarterly" wiosną 1983 roku.

(D. M.)

Czy warto go zapamiętać?

Za tydzień nie będziecie potrafili nic sobie przypomnieć – powiedział ktoś, kiedy w gronie znajomych oglądaliśmy film „My Stepmother is an Alien", z polskim tytułem na kasecie „Moja macocha jest UFO", a co my woleliśmy tłumaczyć jako „Moja macocha jest nie z tej Ziemi".

Film jest bardzo błahy, ale to jeszcze żadna zbrodnia. Gorzej, że nie ma wyrazu, że jest jak człowiek, którego spotykamy, a potem nie jesteśmy w stanie przywołać w pamięci jego twarzy. Nie pozostawia śladu. A szkoda, bo pomysł scenariusza nie był taki zły, a na dodatek zmarnowało się aktorstwo dwóch znanych wykonawców: Kim Basinger („Bez litości" i „9 i 1/2 tygodnia") i Dana Aykroyda („Pogromcy duchów", „Blues Brothers", „Nieoczekiwana zmiana miejsc"). Ich nazwiska miały dopomóc filmowi, ale raczej stało się odwrotnie – film zaszkodził ich nazwiskom.

Dan Aykroyd kreuje postać dra Millsa, owdowiałego naukowca z Haddonekk Research Lab., zajmującego się problemem życia w kosmosie. Pewnej burzliwej nocy udaje mu się przesłać promieniowanie aż do odległej galaktyki, choć na pozór jest to niezgodne z prawami fizyki. Niestety przy okazji zniszczeniu ulegają urządzenia laboratorium i dr Mills zostaje wyrzucony z pracy, nim jest w stanie zrozumieć co się stało. Prawdopodobnie wszystko by się na tym zakończyło, gdyby nie obca cywilizacja, która oczywiście gdzieś tam istnieje, i którą zaniepokoił eksperyment Millsa. Żeby rozwikłać tajemnicę, zostaje wysłana na Ziemię piękna przedstawicielka tej wyprzedzającej nas o setki lat rasy: Celesta, czyli właśnie Kim Basinger, o której jakiś recenzent napisał, że jest przynajmniej ładniejsza niż E.T. Trudno się z tym zgodzić. E.T. był uroczym i wzruszającym dziwaczkiem, któremu do wywołania u widza uczucia opiekuńczości i sympatii niepotrzebna była uroda w ludzkim znaczeniu tego słowa. Kim Basinger miała być prawdopodobnie Barbarellą lat osiemdziesiątych (co sugeruje pierwsza scena z Celestą, będąca wyraźnym nawiązaniem do tamtego filmu), to znaczy niezwykle seksowną kosmitką, której jednak nie żadne harce w głowie, lecz przykładne życie przy mężu – zgodnie z obyczajowością późnych lat osiemdziesiątych. Celesta przybywa na Ziemię z poważnym zadaniem szpiegowskim, ale prawdziwym jej osiągnięciem jest wniesienie szczęścia do domu doktora Millsa. Zamiast nowoczesnej astronautki mamy prawdziwą kobietę.

Jako wytwór innej cywilizacji, daleko bardziej rozwiniętej niż ziemska, Celesta nie znając naszych obyczajów powinna co i rusz wpadać w kłopotliwe sytuacje. Zresztą kilka pierwszych scen sugeruje, że i scenarzyści zobaczyli wspaniały materiał do dziesiątków gagów. Niestety skończyło się na kilku (co przypomina, niestety przez kontrast, jak obcość została wykorzystana i wygrana w „Przybyszu" czy nawet w „Krótkim spięciu"). Tutaj, poza sceną przyjęcia, którego kulminacyjny moment jest żywcem ukradziony z „Blade Runnera", wszystko dzieje się bardzo po ziemsku. Ważną rolę odgrywa przy tym torebka Celesty, kryjąca w sobie dziwacznego stworka dostarczającego każdej informacji na temat Ziemi. Wiadomości o nas, którymi on (ona?) dysponuje, pochodzą z różnych źródeł, od encyklopedii po filmy pornograficzne – świetny wydawałoby się materiał do komedii pomyłek. Ale tylko materiał.

„Moja macocha jest nie z tej Ziemi" więcej obiecuje niż daje. Z całego filmu najlepsze jest pierwsze piętnaście minut. Może twórcy uwierzyli, że widz który nastawi się już na dobrą zabawę, wysiedzi przed ekranem do końca.

Ten film jest komedią. Być może dlatego scenarzyści uznali, że nie muszą wgłębiać się w ważne problemy, choć nie potrafili ich wyeliminować. Tak więc nie interesuje ich głębiej sprawa zagłady Ziemi czy też jakiejkolwiek innej cywilizacji, ani wątek poszukiwania przez trzynastoletnią dziewczynkę miłości i rodziny, ani po prostu nic z tego, o czym mówią. Cały czas przemykają się tuż pod powierzchnią. Jedyne co ich interesuje to ściągnięcie do kina publiczności – im więcej tym lepiej – i zarobienie na filmie pieniędzy. Na to wpadli nie oni pierwsi. Ale dlatego jest to komedia słaba.

Wymyślili, że najlepiej będzie skorzystać z paru pomysłów SF (bo ten gatunek nadal uchodzi za żyłę złota) i ożenić je z konwencją komediową (niestety SF czuje się znacznie lepiej, gdy jest traktowana poważnie). Pomysł sam w sobie był już więc dość ryzykowny, choć ciekawy. Niestety, dobrą komedię trzeba robić na serio. Do tego dochodzi jeszcze wtórność filmu. Tych paru scen, które sprawdziły się dobrze w innych produkcjach, a tu jedynie zostały posklejane melodramatyczną osnową, nie była w stanie uratować nawet para dobrych aktorów.

Problematyczne w kinie w ogóle, a w filmach science fiction w szczególności staje się powtarzanie stosowanych wcześniej pomysłów czy wręcz całych scen. Przyjęło się uważać, że jest to działanie zamierzone, mające na celu albo nostalgiczne przypomnienie czegoś, albo pastisz. Kiedy jednak takich powtórek jest coraz więcej, zaczynamy mieć wątpliwości, czy jest to hołd oddany poprzednikom czy może raczej wynik indolencji następców.

„Moja macocha..." jest tego typowym przykładem. Kiedy na ekranie pojawiają się trzej starcy w jasnych szatach (z których jeden na dodatek niezwykle przypomina Aleca Guinessa) widzimy przecież trzech rycerzy Jedi. Wspomniałam już o powtórce z „Barbarelli" i „Blade Runnera". Na koniec zaś dostajemy kalkę z „Bliskich spotkań trzeciego stopnia" (i tu znowu Jon Lovitz grający zbzikowanego na punkcie seksu brata doktora Millsa, zabrany na statek obcych, niezwykle wręcz przypomina bohatera „Bliskich spotkań" kreowanego przez Richarda Dreyfussa – a może to podobieństwo sceny jest tak uderzające, że i twarze stają się podobne?). Czy twórczość filmowa SF staje się wężem, który sam zjada własny ogon? Dobrze byłoby, żeby nie musiała się nim udławić publiczność.

„Moja macocha jest nie z tej Ziemi" to film, który obejrzeć można, ale nie trzeba. Można go nawet starać się zapamiętać, tylko po co?

Dorota Malinowska

PS. Film ten został zakupiony do kin. Ciekawe pod jakim tytułem będzie wyświetlany?

MY STEPMOTHER IS AN ALIEN. Reżyseria: Richard Benjamin. Scenariusz: Jerico, Herschel Weingrod, Timothy Harris, Jonathan Reynolds. Muzyka: Alan Silvestri. Zdjęcia: Al Bettcher. Obsada: Dan Aykroyd, Kim Basinger, Jon Lovitz, Alyson Hanning i in. USA 1988.

SF na świecie

Parcon'89

Doroczne spotkanie czechosłowackich fanów „Parcon" bierze swą nazwę od miasta Pardubice, gdzie odbyło się pięć pierwszych takich imprez. W 1987 r. zorganizowano Parcon w Pradze, w 1968 r. w Ostrawie i ostatnio, w 1989 r., w Ołomuńcu na centralnych Morawach. Gospodarzem spotkania był bardzo aktywny klub SF „Futurum" kierowany przez Pavla Konečnego.

W ostatnie dwa dni czerwca i pierwsze dwa dni lipca spotkało się w Ołomuńcu prawie czterystu fanów z całej Czechosłowacji i liczna grupa przyjaciół z Polski – z Gdańska i Katowickiego ŚKF. Niestety nie przyjechał żaden z zaproszonych gości z zagranicy – w tym także z redakcji „Fantastyki".

W pierwszym dniu Parconu – 29 czerwca – organizatorzy pokazali wiele filmów wideo, ale najważniejsze okazały się w tym dniu spotkania kolegów i przyjaciół, dla których takie imprezy są rzadką i długo oczekiwaną okazją. 30 czerwca odbyły się spotkania z profesjonalistami – pisarzami, wydawcami i redaktorami, zajmującymi się SF. Bardzo interesującą okazała się też dyskusja wydawców publikacji i wydawnictw fandomowych. W sobotę 1 lipca zwróciły na siebie uwagę dwa referaty: O. Neffa o sytuacji w czechosłowackim fandomie i o konkursie literackim o Nagrodę K. Čapka oraz relacja J. Veisa z podróży do Stanów Zjednoczonych (m.in. o rozmowie z I. Asimovem) o literaturze postmodernistycznej. Wieczorem nastąpiło ogłoszenie nazwisk laureatów Nagrody K. Čapka i już tradycyjne przyznanie najbardziej znaczących nagród czechosłowackiego fandomu Mlok i Ludvík. Wieczór przebiegał pod znakiem wielkiej dyskoteki, która bardzo się podobała naszym polskim kolegom. W niedzielę, 2 lipca odbyła się aukcja książek i ostatnie pożegnania. Ich hasło – do zobaczenia na Parconie'90 w Bratysławie.

*

Nagrody Karela Čapka: ● za najlepsze opowiadanie – Jan Hlavička „Hurá, hřbitov jede", ● za najlepsze krótkie opowiadanie – Zdeněk Páv „Uchem".

Nagroda „Mlok" za zasługi dla rozwoju SF: Vlastimír Talaš.

Nagroda Ludvík: ● za najlepszą książkę czechosłowacką – František Nowotný „Neštastné přistání", ● za najlepszą książkę zagraniczną – Ursula LeGuin „Planéta exilu" (Planet of Exile), ● za zasługi dla fandomu – Pavel Nosek.

Jiří Pilch

MIESIĘCZNIK
Fantastyka

SPIS TREŚCI – ROK 1989

W roku 1989 ukazało się 12 numerów naszego pisma (numery od 76 do 87); wszystkie o objętości 64 stron. Spis treści zestawiliśmy zgodnie z podziałem „Fantastyki" na stałe działy. W ich obrębie zastosowaliśmy układ alfabetyczny, wg nazwisk autorów oraz chronologiczny wg tytułów (w razie większej liczby tytułów jednego autora). Materiały redakcyjne lub sygnowane jedynie inicjałami, a także te, które są tylko opracowaniami, włączyliśmy do spisu alfabetycznie wg początkowych wyrazów tytułów, natomiast wywiady – wg nazwisk osób, z którymi były przeprowadzane. W przypadku recenzji nie podaliśmy ich tytułów, lecz przedstawiliśmy zestawiony alfabetycznie wg nazwisk autorów wykaz omówionych książek. Pierwsza liczba przy wszystkich hasłach oznacza kolejny numer „Fantastyki" w roku 1989, natomiast liczba po myślniku – stronę, na której zamieszczono wymieniony materiał (np. 3-16 oznacza nr 3, str. 16); liczby rzymskie oznaczają stronę okładki (np. 6-III to nr 6, III str. okładki).

Opowiadania i nowele

ARMER Karl Michael – *It's all over now, Baby Blue* (It's all over now, Baby Blue; przeł. Mieczysław Dutkiewicz), 3-16
BACZIŁO Aleksandr – *Spodziewajcie się niezwykłych wydarzeń* (Žditie sobytij; przeł. Lech Jęczmyk), 12-4
BORGES Jorge Luis – *Fantastyka snem* (zestaw miniatur literackich; przeł. Adam Elbanowski i Dorota Walasek-Elbanowska), 2-4
BRIN David – *Thor spotyka Kapitana Amerykę* (Thor Meets Captain America; przeł. Dorota Malinowska), 6-4; *Czwarte powołanie George'a Gustafa* (The Fourth Vocation of George Gustaf; przeł. Ewa Łodzińska), 8-14
BRUNNER John – *Jak ten facet grał bluesa!* (The Man Who Played the Blues; przeł. Barbara Jankowiak), 9-14; *Człowiek, który lubił złe filmy* (The Man With a Taste for Turkeys; przeł. Dorota Malinowska), 11-11
ETCHEMENDY Nancy – *Obiad w „Chez Etienne"* (Lunch at Etienne's; przeł. Dorota Malinowska), 7-14
HLOUCHA Joe – *Głowa bonzy* (Bonzová hlava; przeł. Andrzej S. Jagodziński), 6-21
KELLY James Patrick – *Taniec z krzesłami* (Dancing with the Chairs; przeł. Dorota Malinowska), 12-12
KOSATÍK Pavel – *Lot na Księżyc potraktowany jako strzał do ruchomej tarczy* (Let na Měsíc pojednaný jako střelba do pohyblivého terče; przeł. Joanna Czaplińska), 8-4
KRIWICZ Michaił i OLGIN Olgierd – *Niemożliwe* (Nie możet byt'; przeł. Sławomir Kędzierski), 9-13
KUBATIJEW Alan – *Sprzedawca książek* (Knigoprodawiec; przeł. Eugeniusz Dębski), 7-19
LASSWITZ Kurd – *Teleszkoła* (Die Fernschule; przeł. Grażyna Werner), 1-20
LEMAN Bob – *Olida* (Olida; przeł. Arkadiusz Nakoniecznik), 5-4
MORRESSY John – *Murphy pokazuje, co potrafi* (The Quality of Murphy; przeł. Lech Jęczmyk), 3-4; *Moggropple po tamtej stronie lustra* (Mirror, Mirror of the Wall; przeł. Lech Jęczmyk), 7-4
NAGIBIN Jurij – *Tajemniczy dom* (Tainstwiennyj dom; przeł. Lech Jęczmyk), 6-18
NEFF Ondřej – *Kirby kontra Dombey* (Kirby versus Dombey; przeł. Zbigniew Foniok), 10-4; *Jak Lali nie dostała zapalniczki* (Jak Lali přišla o zapalovač; przeł. Zbigniew Foniok), 10-8
NOURSE Alan E. – *Słoneczna Strona Merkurego* (Brightside Crossing; przeł. Arkadiusz Nakoniecznik), 9-4
NOWAK-SOLIŃSKI Zygmunt – *Śmierć przez powieszenie* (Death by Hanging; przeł. Jacek Manicki), 2-18
PETR Jaroslav – *Sezon pszczół* (Sezona včel; przeł. Andrzej Sławomir Jagodziński), 5-19
ROBINSON Kim Stanley – *Przeróbka historii* (Remaking History; przeł. Danuta Górska), 11-19
SHECKLEY Robert – *Akademia* (The Academy; przeł. Arkadiusz Nakoniecznik), 2-8; *Zezwolenie przestępcze* (Skulking Permit; przeł. Piotr W. Cholewa), 4-13; *Kobieta doskonała* (The Perfect Woman; przeł. Darosław J. Toruń), 10-22
THURBER James – *Jednorożec w ogrodzie* (The Unicorn in the Garden; przeł. Lech Jęczmyk), 8-12
TIPTREE, Jr. James – *Pośród życia* (In Midst of Life; przeł. Dorota Malinowska), 4-4
WATSON Ian – *Transatlantycki maraton pływacki* (The Great Atlantic Swimming Race; przeł. Dorota Malinowska), 10-18; *Tysiąc cięć* (The Thousand Cuts; przeł. Lech Jęczmyk), 11-4; *Powrót do domu* (Returning Home; przeł. Lech Jęczmyk), 12-17
WEINER Andrew; – *Na spotkanie obcych* (Going to Meet the Alien; przeł. Juliusz Garztecki), 1-4; *Obca stacja* (The Alien Station; przeł. Arkadiusz Nakoniecznik), 3-14
WOLFE Gene – *Słoneczny labirynt* (A Solar Labyrinth; przeł. Darosław J. Toruń), 10-15

Powieści

BURGESS Anthony – *Mechaniczna pomarańcza* (A Clockwork Orange; przeł. Robert Stiller; wersja R; słowniczek neologizmów przed powieścią), 8-21, 9-21
FARMER Philip José – *Gdzie wasze ciała porzucone* (To Your Scattered Bodies Go; przeł. Piotr Cholewa), 4-35, 5-23, 6-23, 7-23
MARTIN George R.R. – *Żeglarze nocy* (Nightflyers; przeł. Darosław J. Toruń), 11-25, 10-23
ROBINSON Kim Stanley – *Ślepy geometra* (The Blind Geometer; przeł. Piotr Cholewa), 10-23
STRUGACCY Arkadij i Borys – *Pora deszczów* (Pora dożdiej; przeł. Irena Lewandowska), 1-23, 2-23, 3-23, 4-23

Z polskiej fantastyki

BORUŃ Krzysztof – *Wiedźma* (fragm. powieści), 5-43
ENGELKING Leszek – *Concerto grosso*, 2-49
FILIPOWICZ Krzysztof – *Habilitacja*, 8-45
INGLOT Jacek – *Sanctus Kobylarius, magister*, 6-43
JABŁOŃSKI Mirosław P. – *Spowiedź Mistrza Mąk Piekielnych*, 2-43
JASTRZĘBSKI Zbigniew – *Ja – Dragon*, 12-43
KOŁODZIEJCZAK Tomasz – Zakaz, 2-47; *Powrót*, 2-47
MALINOWSKI Mirosław – *Technicy z klubu „Futura"*, 7-48, 12-45
MILCZAREK-PANKOWSKA Krystyna – *Trzy sny*, 2-48
ORAMUS Marek – *Król antylop*, 10-43
PAROWSKI Maciej – *Burza – szkic scenariusza filmu dokumentalno-fantastycznego* (ponadto: Maciej Parowski – „Burza – losy pomysłu", Zdzisław Ben. Gałecki – „Konspekt utworu literackiego"), 11-41
PĄKCIŃSKI Marek – *Luigi, książę Piemontu*, 9-18
PIEKARA Jacek – *Baśń o Trzech Słowach*, 7-43
POPIK Emma – *Na zawsze piękni i młodzi*, 6-48
SAPKOWSKI Andrzej – *Ziarno prawdy*, 3-43
SIERPIŃSKI Jacek – *Życie w osiedlach nad Rawą*, 2-47; *Wielkim chemikiem zostać*, 12-50
SOBIERAJSKA Dorota – *Ewolucja*, 2-48
STEFAŃSKI Grzegorz – *Twarz Anioła w Przejściu Podziemnym*, 1-43
SZYŁAK Jerzy – *Komiksowa fantazja*, 2-47
WNUK-LIPIŃSKI Edmund – *Continuum*, 4-43
WOLSKI Marcin – *Telefon zaufania*, 4-48
ZAJDEL Janusz A. – *Limes inferior* (konspekt powieści), 7-54

Poezja i fantastyka

ČERTIK Jozef (przeł. Leszek Engelking), 6-III
FRANCZAK Stanisław, 3-III
WAŻYDRĄG Zbigniew, 9-57

Krytycy o fantastyce

FILIP Grzegorz – *Fantastyka i zło – Przykład Grabińskiego* (sesja „Kontynuatorzy czy kontestatorzy? – Współczesna fantastyka naukowa", Warszawa 1988), 10-58
HOŁDYS Bolesław – *Film fantastyczno-naukowy lat osiemdziesiątych*, 11-61
INGLOT Jacek – *Fantastyczne koneksje Stanisława Ignacego*, 9-54
JĘCZMYK Lech – *Uniwersalny język kosmosu* (sympozjum „Fantastyka: dzieła – przekłady – recepcje", Staszów 1988), 2-53
NICHOLLS Peter – *Pierwsze pięćdziesiąt lat* (film i fantastyka; przeł. Krzysztof Sokołowski i Paweł Ziemkiewicz), 5-53, 6-53, 7-56
NIEWIADOWSKI Andrzej – *Topografia gmachu* (Lem w Teatrze im. Cypriana Norwida w Jeleniej Górze), 8-55
PAROWSKI Maciej – *Małpa Pana Boga* (temat diabelstwa w literaturze i filmie), 2-54; *Następcy czy kontestatorzy* (sesja „Kontynuatorzy czy kontestatorzy? – Współczesna fantastyka naukowa", Warszawa 1988), 3-54
PURSKA Anna – *Dowodów brak* (spór o plagiat – Smolarski kontra Huxley), 4-56
SZYŁAK Jerzy – *Komiks i film fantastyczny*, 11-51
ŚWIAT według Kinga (film i fantastyka; dyskusja z udziałem Danuty Górskiej, Mirosława Kowalskiego, Macieja Parowskiego, Krzysztofa Sokołowskiego, Roberta J. Szmidta, Pawła Ziemkiewicza i in.; oprac. Maciej Parowski), 11-53
TELOTTE J.P. – *Sztuczni ludzie i filmy science fiction*, 12-60
ŻBIKOWSKI Tadeusz – *Kartki z dziejów chińskiej fantastyki (naukowej)*, 1-58

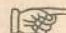
Słownik polskich autorów fantastyki

Wszystkie hasła słownika oraz fragmenty utworów (tytuły w nawiasach) zamieszczone na „pożółkłych kartkach" przygotował Andrzej NIEWIADOWSKI.

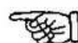
RUSINEK Michał (Bunt w krainie maszyn), 1-56
RYCHLIŃSKI Jerzy Bohdan, 1-56
SAWASZKIEWICZ Jacek, 2-56
SĘKOWSKI Józef Julian (Podróż uczona na Wyspę Niedźwiedzią), 2-56
SIEWIERSKI Jerzy, 2-57
SLAWIK Waldemar 2-57
SŁONIMSKI Antoni (Dwa końce świata), 3-56
SMOLARSKI Mieczysław (Miasto światłości), 4-54
SMÓLSKI Władysław, 5-56
STOFF Andrzej (Dom), 5-56
SZABLICKI Janusz, 6-56
SZARŁAT-KIERLAŃCZYK Aleksandra, 6-56
SZCZEPAŃSKI Ludwik (Król powietrza), 6-56
SZKLARSKI Alfred, 7-62
SZTYRMER Ludwik, 7-62
SZULKIN Piotr, 7-62
TERLIKOWSKA-WOYSZNIC Grażyna (pseudonim: Antoni Armand), 8-60
TOMASZEWSKA Marta, 8-60
TRIPPLIN Teodor (Podróż po księżycu...), 9-58
TREPKA Andrzej, 9-59
TRUCHANOWSKI Kazimierz (Metropolia), 10-56
TWAROGOWSKI Tadeusz, 10-56
UMIASTOWSKI Roman (pseudonim: Bolesław Żarnowiecki), 10-56
UMIŃSKI Władysław (Na drugą planetę), 12-52

Recenzowane książki

W nawiasach podaliśmy inicjały autorów recenzji: LB – Leszek BUGAJSKI, ZD – T. Zbigniew DWORAK, GF – Grzegorz FILIP, AH – Adam HOLLANEK, EI – Ewa IHNATOWICZ, JI – Jacek INGLOT, RJ – Ryszard P. JASIŃSKI, MJ – Marek JAWORSKI, GL – Grażyna LASOŃ, AN – Andrzej NIEWIADOWSKI, MO – Marek ORAMUS, MP – Maciej PAROWSKI, JS – Joanna SALAMOŃCZYK, MS – Małgorzata SKÓRSKA, PS – Piotr STOŁY, RZ – Rafał A. ZIEMKIEWICZ.



AIKEN Joan – *Pokój pełen liści* (GL), 1-55
BION – Opowiadania, wybór i przekład: Piotr Fast (PS), 7-61



Informacje o książkach

Spotkanie z pisarzem

Film i fantastyka

Nauka i SF

SF na świecie

Komiks

Galeria

Podajemy tylko strony, na których zamieszczono noty wprowadzające.

Różne (stałe rubryki, omówienia, informacje itd.)

Notki



Każdy jest wybrańcem

Wypada się przedstawić: nie jestem zwolennikiem komiksu. Uważam komiks za coś w rodzaju pozbawionego dźwięku i ruchu, ułomnego filmu, z którego wyjęto co dziesiątą (setną, tysięczną) klatkę, by opowiedzieć pewną historię. Rzecz jasna klatki są dziełem zręcznego rysownika — choć widziałem też komiksy fotograficzne. Zagadnienie, czy takie medium może służyć do wytwarzania dzieł sztuki, zostawmy teoretykom, w każdym razie miło od czasu do czasu natknąć się na komiks, którego lektura nie powoduje irytacji, a przeciwnie - zadowolenie i iskrę zazdrości: szkoda, że ja tego nie wymyśliłem.

Poniekąd takim właśnie komiksem jest **„Szninkiel"**, dzieło znanej i obsypanej nagrodami spółki Rosiński-Van Hamme. Najpierw dlatego, że jest świetnie narysowaną baśnią dla dorosłych, a i trochę starsza dziatwa sięgnie po nią z ochotą. Później dlatego, że scenariusz nie chełpi się wyuzdanym prymitywizmem, jak większość znanych mi komiksów, a przeciwnie: jego autor (Van Hamme) jak gdyby celowo prowadził czytelnika w stronę typowych rozwiązań pewnych sytuacji, by w ostatniej chwili z gracją je ominąć. Wreszcie **„Szninkiel"** dysponuje galerią malowniczych bohaterów, na czele z tytułowym; ba! na ich użytek została stworzona cała komiksowa mitologia, wewnątrz której zachodzą zdarzenia. I po czwarte: opowiedziana historia nie zanadto buja w obłokach, momentami więcz wykazuje solidny związek z tym, co nas dotyczy i dziś. Mam na myśli nie tylko ważkie spostrzeżenia na temat natury ludzkiej czy ilustrację odwiecznych zmagań dobra ze złem. Między światem szninkli, tawali i koldów a naszym dychawicznym autobusem z końca XX wieku istnieje bezpośredni związek: jest to po prostu ten sam świat.

„Szninkiel" przedstawia bowiem zdarzenia z naszej dalekiej prehistorii, grubo przed triasem, jurą i kredą, przed rybami trzonopłetwymi, które wkrótce zaczną wychodzić na ląd. Świeciły wówczas dwa słońca, co wydaje się grubszym nadużyciem, jeśli w rzeczy samej planeta Daar ma oznaczać Ziemię. Trójka nieśmiertelnych władców toczy ze sobą nieustanną wojnę, w której na rzeź idą hufce Bogu ducha winnych stworzeń, między nimi zbrojne w topory szninkle - „niewolnicy o drżących dłoniach". Jednemu z nich, niedobitkowi na wielkim pobojowisku, ukazuje się Władca Stworzyciel Światów i obdarza go wielką mocą w celu odwrócenia odwiecznego porządku. Szninkiel Y'On przekonany jest, że zdarzenie miało miejsce naprawdę, tymczasem objawienie Stworzyciela było chyba halucynacją, o którą w takim koszmarze nietrudno. Tak też wynika z rozwoju wydarzeń, bo kiedy Y'On w opresji powołuje się z pewną chełpliwością na wielką moc, o mało nie ginie. Moc nie działa. Ale przecież jakimś cudem udaje mu się ocalić - cud ów ma wymiar zwyczajny, ot po prostu w ramach gry wrogowie nadal polują na siebie i niektórzy przez to okazują się jego sojusznikami.

To mi się wydaje w **„Szninklu"** najcenniejsze: po erze cudów efektownych, „nadprzyrodzonych" nadeszła era cudów niepozornych, mieszczących się w realiach zwyczajnego świata. Bóg przestał działać w sposób baśniowy, zwracający powszechną uwagę, stosując taktykę małych kroczków, mało widowiskowych i nieefektownych. Pewność Bożej ingerencji w sprawy świata nie istnieje. I sprawa bodaj czy nie ważniejsza: każdemu może się zdawać, że otrzymał wielką moc. Każdy z nas jest wybrańcem.

Już za to samo podejście można żywić pewien szacunek wobec autora scenariusza. Y'On wypełniając misję poszukuje sposobu zaprowadzenia pokoju na Daarze. Recepta okazuje się niezwykle prosta: pokój zapanuje, gdy trójka nieśmiertelnych się zjednoczy. Niemal tautologia ale żeby poznać to pozornie oczywiste zaklęcie przemiany, trzeba wiele razy narazić życie i obcować cieleśnie z wróżką nimfomanką. Zaś trójka zjednoczy się najlepiej przeciw wspólnemu zagrożeniu, w które niebawem przekształci się Y'On, gdy głoszone przez niego brewerie nabiorą mocy ideologicznej. Nie zepsuję chyba czytelnikom zabawy, gdy powiem, że Y'On osiągnie cel i wyzwoli swój lud, ale za cenę własnej śmierci. Jedno ze słońc naonczas pęknie i zaleje Daar strumieniami ognia, od którego wyginie wszystko co żywe.

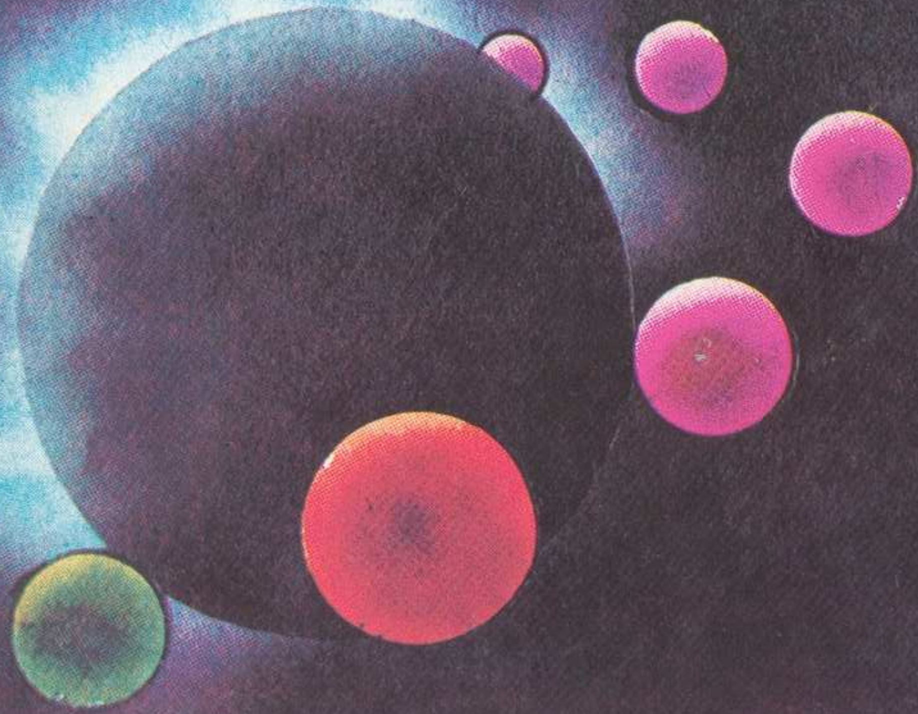


Bodaj dopiero w końcówce zaczynają się nieznośne naiwności i uproszczenia: że taką katastrofę zdolne jest przeżyć jakieś żywe stworzenie. Że drugie ze słońc, znajdujące się wtedy blisko pierwszego, pozostanie niewzruszone na nieboskłonie. No i z miejsca zaczyna drażnić tak ostentacyjne sięganie do mitologii chrześcijańskiej, robienie z Y'Ona Chrystusa wcześniejszego o miliony lat. Dlaczego, chce się zapytać. Władca Stworzyciel Światów przyjmuje w wizji Y'Ona (i autorów komiksu) postać czarnego prostopadłościanu z „Odysei kosmicznej 2001"? Dlaczego **„Szninkiel"**, markując prehistorię naszej cywilizacji, czyni to na obraz i podobieństwo trylogii Tolkiena? Ha, odpowie zagorzały zwolennik komiksu, wszystko to nie są najgorsze wzory. Zapewne; jednak w naszych czasach nie ostały się żadne świętości, każda została wielokrotnie przerobiona na nice (vide choćby „Ostatnie kuszenie Chrystusa") i gdy tylko trzeba mówić o sprawach większych, wznioślejszych, procedura nasuwa się właściwie sama. Czy chce, czy nie chce, pozostaje **„Szninkiel"** nieodrodnym dzieckiem swego czasu i swego gatunku, choć - powtarzam - jako znaczące tego gatunku osiągnięcie.

„Szninkiel" jest znakomitym przykładem, jak delikatnej roboty wymaga produkowanie fantazji. Wystarczy jedno rozwiązanie z innej parafii, by zniweczyć poprzednie wysiłki budowania konwencji, balansowania na wąskiej granicy między kiczem a dobrym smakiem, a tym samym osłabić sympatię odbiorcy, jego chęć poddania się opowieści. Dość potrącić jeden fałszywy klawisz, żeby stracić wszystko. Naśladowanie rzeczywistości dziełem sztuki znosi niektóre potknięcia; sztuczność natomiast musi być bezbłędna. Tu być może leży sedno trudności związanych ze sporządzeniem dobrego komiksu, a także dobrej powieści SF, fantasy itp. Są to wszystko zamiary pokrewne budowaniu domków z kart, zamków na lodzie. Pozbawione życzliwego wsparcia wyobraźni i wiary czytelnika, tym łatwiej walą się pod ciężarem własnych niespójności.

Marek Oramus

Rosiński, Van Hamme: *Szninkiel*, „Orbita" 1993. Cena 1500 zł



Dariusz CHOJNACKI